

JOANNA ROSZAK

SŁYSZYSZ?

SYNAGOGA

WYCHODZĄC SPOD POZNAŃSKIEJ SYNAGOGI PRZY WRONIECKIEJ



LUBLIN - WARSZAWA 2015

SŁYSZYSZ? SYNAGOGA



Fragment pocztówki ze zbiorów Michała Łukomskiego.

JOANNA ROSZAK

SŁYSZYSZ? SYNAGOGA

Wychodząc spod poznańskiej synagogi przy Wronieckiej



LUBLIN-WARSZAWA 2015

Wydawcy:

Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
ul. Grodzka 21
20-112 Lublin
www.teatrnn.pl

Instytut Sławistyki PAN
ul. Bartoszewicza 1B/17
00-337 Warszawa
www.ispan.waw.pl

Recenzenci:

prof. dr hab. Bogusław Bakula
prof. dr hab. Piotr Śliwiński

© Joanna Roszak
© Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”
© Instytut Sławistyki PAN

Redakcja: Joanna Roszak
Projekt graficzny i skład: Michał Kaczkowski
Nakład: 200 egz.
Druk: Standruk Lublin

ISBN: 978-83-61064-76-3
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”

ISBN: 978-83-64031-20-5
Instytut Sławistyki PAN

Spis treści

Joanna Roszak, Pływalnia wokół. Odplywająca synagoga	7
Nie na miejscu. Rozmowa z Zygmuntem Baumanem	35
Baruch z synagogi. Rozmowa z Baruchem (Bronisławem) Bergmanem	39
Dziennik pamięci. Rozmowa z Zwim Steinitzem	51
Oddzielne wejścia. Rozmowa z Krystyną Piotrowską	61
A ty dlaczego nie śpiewasz? Rozmowa z Katarzyną Kuczyńską-Koschany	67
Możliwe do odczytania. Rozmowa z Wojciechem Wilczykiem	75
Nie chcę być aptekarzem słów. Rozmowa ze Zbigniewem Pakułą	81
Nasze podwórka. Rozmowa z Januszem Marciniakiem	93
Co to za napis? Rozmowa z Rafałem Jakubowiczem	103
Pokój z widokiem na. Rozmowa z Bartłomiejem Krupą	113
Wszystko jest iluminacją? Rozmowa z Łukaszem Baksikiem	123
Blau. Rozmowa z Tomaszem Pietrasiewiczem	129
Joanna Tokarska-Bakir, Tam nie było żadnej synagogi	133

Joanna Roszak

Pływalnia wokół. Odplywająca synagoga

Biada ludziom, którzy widzą, a nie wiedzą, co widzą.

– Talmud

*Cisza nie jest ciszą, białe nie jest białe,
[...] a czego nie zauważamy, tego nie ma – dla nas.*

– Georg Christoph Lichtenberg, przeł. T. Zatorski

I wtedy ujrzał czaszkę unoszącą się na wodzie.

– Talmud

*[...] tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny
roztrzaskane szybki synagog*

– Józef Czechowicz

*Szanuj nabyte umiejętności, o dziecię Europy.
Dziedzicu gotyckich katedr, barokowych kościołów
I synagog*

– Czesław Miłosz

*Żydzi różnych religii spotykają się
w korytarzach metra
nad nimi piramidy kościołów i synagog
stoją jak skały, które niósł lodowiec.*

– Adam Zagajewski

*Prawdziwa synagoga
to ta w której już nikt się nie modli
przetacza się po tobie śmiech
przetaczają się łzy
jest teraz pusta
żywej duszy
modlę się*

– Jehuda Amichaj, przeł. A. Pokojńska

„Patrz, on się rusza” – mówi nastolatka do chłopaka z aparatem fotograficznym w dłoni. Migawka pracuje głośno. Dziewczyna ustawia się przy ścianie białych basenowych płytek, przy której klęczy trzech okrytych talitami mężczyzn. W pracy Grzegorza Klamana *Bojaźń i drżenie* (2007) medytują oni nie przy Ścianie Płaczu, pozostałej po zburzeniu drugiej świątyni jerozolimskiej, lecz przy ścianach zbezczeszczonej poznańskiej synagogi, po których spływają strugi czarnej farby. Klęczą tyłem do zwiedzających, z nakrytymi głowami. Kogoś kusi, by odsłonić talit i zobaczyć ich twarz, upewnić się, że to kukły. Wielu innych czuje, że manekiny klęczą w ich imieniu, narażone na dotyk i spojrzenie.

Rytualne zanurzenie (*tewila*) stało się udziałem całego budynku, wraku o odrapanych ścianach, ze zwisającymi niedbale instalacjami elektrycznymi – jak z wyszarpanymi nerwami.

Podczas Mediations Biennale, od 14 września do 14 października 2012 roku, na dnie pustego basenu wyświetlano wizję fantasmagorycznej trzeciej świątyni jerozolimskiej (Ran Slavin, *Ursulimum*). Powyżej rzucono na ekran hipnotyczną mykwową pracę: w zniszczonym lesie pływały na drewnach dwie postaci. Woda przelewała się przez głośniki (*Dead Forest Storm* Charly'ego Nijensohna, berlińskiego artysty, urodzonego w 1966 roku w Argentynie). W małym pomieszczeniu naprzeciwko w niebieskiej cieczy unosiła się książka, rozwijała kartki jak skrzydła, jak parzydełka meduzy.

Stawało się jasne, że nie tylko instalacje wypełniały pustkę byłej synagogi. To ona je dopełniała, wnikając w ich pustkę.

Bywa, że to sztuka staje się najbardziej adekwatną formą ocalania lub uzyskiwania wypieranej przez lata pamięci, jej integracji dzięki odzyskiwaniu zagubionego dziedzictwa. Koncentruje się na artykulacjach przemilczanego, wskazuje białe plamy i miejsca topograficznej amnezji. Moi Rozmówcy są kartografami pustki, przestrzennymi hermeneutami, doznającymi iluminacji. Penetrują sferę wyłaniających się spod fasad przeblysków na temat żydowskiej historii swoich miast. Docierają do źródeł przeszłości, do zredukowanych pozostałości po świecie, który przeminął. Znajdują adekwatne figury opowiadania o niewidzialnym.

Między duchami chodzi się przez tę ciemną przestrzeń, gdy zostaje udostępniona artystom, najpilniejszym strażnikom integralności budynku i pamięci o jego powikłanych losach. A budynek znów osobliwie pełni wtedy swoją pierwotną funkcję, stając się domem zgromadzeń. Dzięki ceremonii artystycznej, wiernej temu miejscu, wraca pamięć. Goi się rozjątrzona, przewlekła rana i nawiązuje się łączność z przeszłością. Brzmi alarm o przewlekle dewastowanej tożsamości budynku. Wprowadzenie doń sztuki jawi się dziś jako jedyna droga wcielenia tam nowej „świętości”.

Roztacza się łuna przypomnienia; odsłaniają się synapsy skojarzeń, uruchamia się *anamnesis*. „Wejście dla mężczyzn”, „wejście dla kobiet”: napisy z czasów pływalni zdają się nacechowane przeszłością, gdy mężczyźni modlili się na dole synagogi, kobiety zaś wchodziły na babiniec, galerię na piętrze. Ale także wyłania się spod owych napisów skojarzenie z obozową segregacją.



Fot. Joanna Roszak.

Jestem ratownikiem, nigdy nie byłem zbyt rozmowny. Pływalnia zamknięta. Od tygodni budynek świeci pustkami. [...] Dla postronnego widza Basen Rekreacyjny i Sportowy może wyglądać na stary, a nawet przestarzały budynek. Liczy prawie sto lat. Otwarto go na początku wieku. [...] braki, których nie zamierzam ukrywać, rekompensują jego wyjątkowe architektura i wyposażenie. [...] dzieją się tu dziwne rzeczy. [...] zdaje się, że umarli powrócili. Zupełnie jak ja. Jakbym był z nimi zamknięty. Niczym cienie siedzą na trybunach i wyczekują, co się wydarzy. [...] Nie wiem, jak się tu dostali. To nie tutaj spotkała ich śmierć. [...] Tu nic nie zniknęło bez śladu [...] ¹.

1 K. Hacker, *Ratownik*, przeł. E. Kledzik, [w:] *Ta sama Europa? Inna literatura? Współczesna proza europejska*, pod red. J. Czechowskiej i A. Kramek-Klickiej, Szczecin–Bezrzecze–Warszawa 2010, s. 154-159.



Pływalnia przy Oderberger Straße w Berlinie, zdjęcia pochodzą ze strony internetowej.



Der Bademeister (Ratownik) z 2000 roku nie jest bynajmniej powieścią o byłej poznańskiej synagodze, ale powidokowo i przez indywidualną postpamięć trudno mi czytać inaczej tę prozę Katheriny Hacker, urodzonej w 1967 roku niemieckiej autorki, przekładającej z języka hebrajskiego (w 1996 roku, po okresie pracy jako tłumaczka niemieckiego w Tel Awiwie, zamieszkała w Berlinie). Deklarujący małomówność ratownik Hugo, który w dwustustronicowym monologu mierzy się z pamięcią o nazistowskiej przeszłości przodków, jest także strażnikiem pamięci miejsca, kryjącego tajemnicę i każącego odczytywać uważnie, jakie komunikaty prześwitują spod odpadającego tynku i kafelków pływalni. Klara Obermüller sugerowała w recenzji dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, że pływalnia jest obrazem późnej NRD².

2 <http://m.faz.net/aktuell/feuilleton/buecher/rezensionen/belletristik/rezension-belletristik-hundert-jahre-nasse-volksgesundheits-113212.html> (data dostępu: 20 XII 2014).

Taka pływalnia istotnie znajduje się w Berlinie, przy Oderberger Straße 57, w dzielnicy Prenzlauer Berg. Mieści się więc całkiem blisko pochodzącej z 1904 roku Synagogi przy Rykestraße³. Budynek pływalni, wznoszony od 1899 roku w stylu niemieckiego renesansu, oddano do użytku w lutym 1902 roku i do złudzenia przypomina on to, co pozostało dziś z wnętrza poznańskiej synagogi przy ulicy Wronieckiej. Wszystkie ozdoby i rzeźby w berlińskim gmachu zostały wykonane według projektów rzeźbiarza Otto Lessinga. W trakcie wojny budynek nie doznał większych szkód, w czasach NRD nadal funkcjonował jako pływalnia, a w 1977 roku wyposażono go w sauny. W latach 80. XX wieku jego sklepione sufity zaczęły pękać, aż w 1985 roku pływalnię zamknięto. Kabiny prysznicowe i sauna działały jeszcze do połowy lat 90. Plan przebudowy i renowacji nie został zrealizowany po zjednoczeniu Niemiec, a obecnie w budynku – uznawanym za jeden z bardziej fascynujących w tej części Berlina – z rzadka odbywają się seminaria, wystawy, koncerty, sesje zdjęciowe. W Światowy Dzień Wody, 22 marca 2012 roku, berlińska pływalnia otworzyła drzwi dla zwiedzających. Eksponowano w niej wystawę fotograficzną Johann Keimeyer *Pool Around Me*, która z perspektywy podwodnej ukazywała ponad pięćdziesiąt pływalni hotelowych na całym świecie.

Pierwotnie budynek miał służyć jako pływalnia i społeczność Berlina zamierza przywrócić mu tę funkcję (rewitalizacja zakończy się najpewniej w 2015 roku).

Holokaust i powojenny podział Europy na komunistyczną i niekomunistyczną wymagają postawienia pytania, jak dziś odczytywać i odzyskiwać materialne ślady żydowskiej kultury, w znacznej mierze wymazane lub zapomniane. Wśród wielu zmian, jakie przyniósł rok 1989, znalazło się miejsce dla odpoiminania żydowskich przestrzeni przez instytucje, artystów, pisarzy. Podejmują oni działania, by chronić żydowskie dziedzictwo materialne i duchowe oraz kształcić na temat obowiązków pamiętania w modelu hermeneutycznym.

3 Cf. *Das jüdische Berlin heute*. Ein Wegweiser von A. Roth und M. Frajman, aus dem amerikanischen Englisch von E. Seligmann, Berlin 1999 oraz H. Simon, *Synagoge Rykestraße. Gedenkveranstaltung*, 9. November 1938–9. November 2008, Berlin 2008.

Po transformacji politycznej szczególny status zaczęły zyskiwać te przestrzenie, które uprzednio wiązały się z kulturą żydowską. „Opuszczone miejsce / często boli”⁴ – pisał w wierszu Miron Białoszewski. Żydowskie dzielnice polskich miast i miasteczek doznały bólu fantomowego, odczuwanego w miejscu nieistniejącej, amputowanej przestrzeni. Opuszczone miejsce niedawno zaczęło boleć.

Konrad Matyjaszek pisał o wyrażeniu „mienie pożydowskie”: „Przywłaszczenie stało się [...] podstawą nowego porządku przestrzennego dla miast oraz nowego porządku społecznego dla ich mieszkańców”⁵. Autor opisuje, jak owe żydowskie relikty, niegdyś „zasłaniane dzielnice ruder”, przemieniały się w „dawne dzielnice żydowskie”, „dumę miast i źródło ich dochodu”. W – dodajmy – atrakcję turystyczną⁶.

Prawdopodobnie już w 1254 roku, a więc przy lokacji miasta, wyznaczono w Poznaniu parcele i ulice, gdzie mogli się osiedlać Żydzi⁷. Eleonora Bergman i Jan Jagielski ustalili: „Miały tu miejsce liczne wystąpienia antyżydowskie – w 1367, 1399, 1434, 1447, [...] od początku XVI wieku była tu najważniejsza gmina w Wielkopolsce i jedna z najważniejszych w Koronie [...] Od 1 czerwca 1833 obowiązywała tu tzw. reforma Flottwella, sprzyjająca

4 M. Białoszewski, *My rozgwiadzy*, [w:] *Wiersze. Wybór*, Warszawa 2003, s. 59.

5 K. Matyjaszek, *Przestrzeń pożydowska*, „Studia Litteraria-Historica” 2013, nr 2, s. 130.

6 Określenie „pożydowskie” pojawia się w prasie godzinowej po utworzeniu warszawskiego getta, kiedy przesiedlono tam 180 tys. ludzi i tyle samo z getta na „aryjską stronę”. Cf. *Literatura polska wobec Zagłady 1939-1968*, Warszawa 2013.

7 *Kalendarium dziejów poznańskiej gminy żydowskiej*, oprac. R. Witkowski, „Kronika Miasta Poznania” (numer tematyczny: *Poznańscy Żydzi II*). V.: *Żydzi w Wielkopolsce na przestrzeni dziejów*, pod red. J. Topolskiego i K. Modelskiego, Poznań 1995; J. Perles, *Geschichte der Juden in Posen*, Breslau 1865, Electronic Edition Frankfurt am Main 2009 oraz R. Witkowski, *Żydzi w Poznaniu. Krótki przewodnik po historii i zabytkach*, Poznań 2012.

germanizacji Żydów”⁸. Aleksandra Paradowska notowała, że najwięcej osób żydowskiego pochodzenia mieszkało w Poznaniu w 1890 roku⁹. W XVIII wieku ok. 15 procent Żydów poznańskich asymilowało się z kulturą niemiecką¹⁰. W 1840 roku urodził się w Poznaniu Józef Jolowicz, znany księgarz, w 1848 – lekarz Joseph Landsberger, 24 maja 1914 przyszła tu na świat znana aktorka Lili Palmer, a 19 listopada 1925 roku socjolog, profesor Zygmunt Bauman.

Pierwsza synagoga powstała w Poznaniu w 1360 lub 1367 roku, przy ulicach Szewskiej i Dominikańskiej. Ale prawdziwym symbolem poznańskich Żydów stała się w XX wieku orientowana (obrócona ku wschodowi) świątynia przy Wronieckiej. Na wiele lat znalazła się ona w strefie ciszy. Pisząc to, mam w pamięci spektakl *site-specific* poznańskiego teatru Strefa Ciszy. Jego homonimiczny tytuł *DNA* sugerował i brodzenie po najdawniejszych pokładach pamięci miejsca, po jego dnach, i odnalezienie genetycznego kodu budynku.

Latem 2014 roku dwaj Niemcy, Andreas Knitz i urodzony w Poznaniu w 1944 roku Horst Hoheisel, zrealizowali projekt *site-specific*, związany z tożsamością dwóch poznańskich budynków: spustoszonej synagogi przy Wronieckiej oraz kaplicy dawnego Zamku Cesarskiego, zniszczonej przez nazistów i przekształconej w gabinet przeznaczony dla Adolfa Hitlera. Do owego wnętrza artyści przenieśli zdemontowane elementy wyposażenia byłej pływalni. Na posadzce Sali Kominkowej ułożyli słupki startowe, basenowe drabinki, kafelki. Ich kontrpomnikowa wystawa *Oko pamięci* to artystyczna wendetta, w której ramach na nowo przemyśleli obie przestrzenie i, przez gest powtórzenia, dokonali symbolicznej dewastacji pływalni, jej rozbiórki, destrukcji, upomnieli się o pamięć na temat synagogi, a następnie metaforycznie zbrukali przestrzeń władzy nazistowskiej.

8 E. Bergman, J. Jagielski, *Zachowane synagogi i domy modlitwy w Polsce. Katalog*, Warszawa 1996, s. 107.

9 A. Paradowska, *Żydowskie domy w „nowym” Poznaniu według Franza Fichtla*, „Kronika Miasta Poznania” (numer tematyczny: *Poznańscy Żydzi II*) 2006, nr 3, s. 73.

10 E. Bergman, *Nurt mauretański w architekturze synagog Europy Środkowo-Wschodniej w XIX i na początku XX wieku*, Warszawa 2004, s. 167–168.

Poznańska Synagoga Wielka przy ulicach Stawnej i Wronieckiej była swego czasu okazałym domem judaizmu na linii Berlin–Warszawa. Zaprojektowała ją berlińska firma Cremer i Wolffenstein¹¹, założona w 1882 roku przez Richarda Wolffensteina (1846–1919) i Wilhelma Cremera (1854–1919). Funkcjonowała aż do śmierci jej twórców¹². Projektowała eklektyczne rezydencje, budynki komercyjne, rządowe (w 1882 roku zajęła drugie miejsce w konkursie na projekt Reichstagu) i religijne (Wolffenstein urodził się w rodzinie żydowskiej). Z jedenastu zaprojektowanych przez ten duet synagog – osiem zostało zbudowanych; wszystkie czekał jednak podobny los. O bożnicy przy Wronieckiej w Poznaniu Eleonora Bergman, badająca nurt mauretański w architekturze synagog Europy Środkowo-Wschodniej, pisała: „Fasada powtarza schemat z Kassel, ale z przeskalowaniem otworów i fryzu arkadowego. [...] Ażurowe gloriety pseudowież, zwieńczone mauretańskimi kopułkami, są tu [...] kontynuacją dolnych kondygnacji, a nie dodatkiem do fasady”¹³.

Poznańską bożnicę poświęcono 5 września 1907 roku (26. dnia miesiąca *elul* roku 5667) o godzinie jedenastej trzydzieści. Uroczyste kazanie podczas otwarcia wygłosił Philipp Bloch (ur. 1841 na Śląsku – zm. 1923 w Berlinie), niemiecki historyk i reformowany rabin (tę funkcję w Poznaniu pełnił w latach 1872–1920). Rafał Witkowski odtwarzał wydarzenie:

11 V.: E. Stęszewska-Leszczyńska, *Poznańskie Synagogi*, „Kronika Miasta Poznania” 1992, nr 1–2, s. 102–118. *W cieniu synagogi. Zabytki kultury żydowskiej ze zbiorów Muzeum Narodowego w Poznaniu*, oprac. Z. Dolczewski, R. Sobczak-Jaskulska, Poznań 2000; T. Sztyma-Knasiacka, *Między tradycją a nowoczesnością. Żydzi poznańscy w XIX i XX wieku*, Poznań 2006.

12 Cf. H. Eschwege, *Die Synagoge in der deutschen Geschichte*, Dresden 1980.

13 E. Bergman, *Nurt mauretański w architekturze synagog Europy Środkowo-Wschodniej w XIX i na początku XX wieku*, Warszawa 2004, s. 169.

Po powitaniu zebranych osiemdziesięcioletni rabin gminy poznańskiej, dr Wolf Feilchenfeld (1827–1913), odebrał klucze do synagogi, otworzył drzwi i wprowadził honorowych gości. [...] Kiedy tłum wchodził do synagogi, chór przy akompaniamencie orkiestry wykonał *Ma tauuwuh* (*Die Himmel rühmen des Ewigen Ehre*)¹⁴.

Poznaniak Noach Lasman przez pewien czas pracował w Komitecie Żydowskim, mającym siedzibę przy Żydowskiej (na rogu tej ulicy jego ojciec prowadził sklep z pierzem), w dawnym Domu Starców. Po wojnie wrócił na pewien czas do miasta i tu ukończył studia, wyemigrował na stałe w 1957 roku. Wspominał: „Wielka Synagoga przy ulicy Stawnej nawet w najbardziej uroczyste święta nie była wypełniona. Żydzi niemieccy, po ustaleniu granic po 1919 roku, wyjechali, sprzedając swoje nieruchomości, ale domy należące do gminy pozostały własnością uszczupłego kahału. [...] To były jeszcze czasy, kiedy w Poznaniu na ołówek mówiło się *blajsztyft*, na podpis *unterszryt*, przedstawiony bilet *nie giltował*, a do Warszawy jechało się *baną*”¹⁵.

W czasie okupacji, w roku 1941, synagoga została zdewastowana; przekształcono ją w krytą pływalnię dla żołnierzy Wehrmachtu. „W trakcie przebudowy nie tylko całkowicie zniszczono wnętrze, ale też uproszczono bryłę, rozebrano kopuły, zmieniono wszystkie otwory”¹⁶. W czasach powojennych należała do „niechcianego dziedzictwa” miasta¹⁷. Funkcję pływalni pełniła do września 2011 roku, kiedy to zamknięto ją ze względu na zły stan techniczny. Reaktywowana w Poznaniu w 1999 roku gmina żydowska niebawem po swym ukonstytuowaniu przejęła budynek (6 maja 2002).

14 R. Witkowski, *Poświęcenie Nowej Synagogi na Pl. Stawnym*, „Kronika Miasta Poznania” 2006, nr 3, s. 244.

15 N. Lasman, *Dzieciństwo poznańskiego Żyda. O poznańskich Żydach i organizacji Haszomer hacair w przedwojennym Poznaniu*, „Kronika Miasta Poznania” 2006, nr 3, s. 331 oraz N. Lasman, *Wspomnienia z Polski*, Warszawa 1997, s. 74.

16 E. Bergman, J. Jagielski, *op. cit.*, s. 107.

17 Posługuję się wyrażeniem M. Wróblewskiej z tekstu pt. *Katalog pamięci*, [w:] W. Wilczyk, *Niewinne oko nie istnieje*, katalog wystawy w galerii pf, 7-31.03.2009, CK „Zamek”, Poznań 2009, s. 2.

Fira Melamedzon-Salańska (1915–2014), która mieszkała z rodziną przy Wronieckiej 12 (jej ojciec, Abram Melamedzon, prowadził sklep z konfekcją męską), tak wspominała synagogę:

Religijnymi Żydami nie byliśmy, żyliśmy jak chrześcijanie. Ani nie trzymaliśmy koszernego domu – jadałam wieprzową kielbasę i szynkę – ani nie urządzaliśmy szabasowej kolacji. Nie chodziliśmy też do synagogi, choć mieszkaliśmy tuż obok niej. W soboty nasz skład był otwarty, jak prawie wszystkie żydowskie interesy w Poznaniu. Jedynie gdy nastawało wielkie święto – Nowy Rok albo Jom Kippur – i wstyd było pracować, tatuś zamykał interes. Wychodził na dziesiątą do synagogi modlić się – w sercu, bo słów modlitwy nie znał – a w domu pościł i pił herbatę [...]. Synagoga była za wielką jak na liczbę Żydów w Poznaniu, ale też na co dzień niewielu do niej chodziło. Z nas młodych tylko garstka, chociaż podczas ważnych świąt zbieraliśmy się liczniej. Szłam wtedy na nabożeństwo chętnie, bo wiedziałam, że spotkam przyjaciół. Wyjdziemy na zewnątrz, stanjemy przed synagogą i będziemy rozmawiać¹⁸.

W jej pamięci utkwiał obraz Zeewa Żabotyńskiego, przemawiającego w Nowej Synagodze we wrześniu 1938:

We wrześniu [1938 roku – przyp. J.R.] poruszenie wśród poznańskich Żydów wywołał Zeew Żabotyński. Ten znany polityk rewizjonista objeżdżał wówczas Polskę, ostrzegając ludzi przed szykowanymi przez Niemców pogromami. Poszłam na spotkanie z nim w synagodze. Było popołudnie, bóżnicę zapelniał tłum ludzi, jaki rzadko w niej bywał. Cały parter był pełen: sześćset, siedemset, a może nawet więcej osób, dostawiano krzesła. Przyszli nie tylko Żydzi o poglądach prawicowych, także polityczni przeciwnicy

18 A. Niziołek, K. Kosakowska, *Fira. Poznańscy Żydzi. Opowieść o życiu*, Poznań 2014, s. 73.

Żabotyńskiego, ludzie z lewicy, młodzi z Haszomer Hacair. [...] Stał, pamiętam, przed Aron Hakodesz, wokół niego pełno ludzi i zaczął przemawiać. Gestykułował z ekspresją, ale nie wymachiwał rękoma. – „Żydzi, uciekajcie stąd!” – wołał. „Wierzcie Hitlerowi! To, co on głosi, jego słowa, jego groźby, są prawdziwe. Zaufajcie mi, on wycisnie z Was krew, jak wyciska się cytrynę” – wyciągnął rękę i ścisnął pięść. Mam ten gest przed oczyma. Ludzie słuchali go uważnie, ale to, co mówił, mało kto traktował serio. Po spotkaniu przed synagogą potworzyły się grupki, w których żywo omawiano jego słowa. Myślano, że przesadza. Nie wierzono w wojnę¹⁹.

Zmarła w 2011 roku w Tel Awiwie Ida Fink w tytułowej metaforze swojego zbioru opowiadań *Odpywający ogród* zamknęła świat, który przez lata był dla niej naturalny. Wraz z początkiem wojny został najpierw oddalony, a później – usunięty²⁰. W opowiadaniu *Julia* obrazowała Poznań międzywojenny:

W drugim roku pobytu w P. zaszły dwa wypadki, które gwałtownie osłabiły jej sympatię dla miasta, które polubiła za **czystość i porządek**. Starszego syna, Dawida, pobili w szkole koledzy, wołając: „bij Żyda, bij Żyda”, i chłopak od tego czasu zaczął się garbić, jakby stale czekał na cios. Drugi wypadek miał miejsce w pięknym holu filharmonii i wymowę miał równie silną, choć dyskretniejszą w formie. W przerwie recitalu znanego pianisty usłyszała Julia półgłosem wymówione zdanie: „Nawet tutaj nie można się od nich opędzić...”. Zrezygnowała z dwóch ostatnich, ulubionych sonat Beethovena (była melomanką intuicyjną, bez wykształcenia) i opuściła gmach filharmonii, by więcej tam nie powrócić [podkr. J.R.]²¹.

19 *Ibidem*, s. 196.

20 Cf. Z. Pakuła, *Ida Fink* (hasło), [w:] *Poznański przewodnik literacki*, pod red. P. Cieliczko i J. Roszak, Poznań 2013, s. 80–81.

21 I. Fink, *Julia*, [w:] *Odpywający ogród*, Warszawa 2003, s. 194-195.

W *Korzeniach* Izabeli Filipiak z tomu *Niebieska menażeria* także mowa o poznańskiej synagodze. Narratorce w poniższym fragmencie brakuje wiedzy na temat budynku przy Wronieckiej, ale przeczuwa, że unosi się nad nim pneuma hańby:

Nie wyobrażam sobie chwili, kiedy zapytasz, co to jest, ten przysadzisty budynek z podłużnymi oknami, niezaznaczony wcale na planie zabytków miasta. Chronię się przed tym wyobrażeniem. Nie wiem nawet, z którego wieku pochodzi. Nic o niej, tak naprawdę, nic o niej wciąż nie wiem, oprócz tego, że przestała być synagogą już na początku wojny. [...] Jest tylko wstydem, miejscem, [...] od którego odwraca się oczy. [...] nie rozumiem mojego narodu, [...] to nie jest nędza, nędzą można wytłumaczyć rozbijanie posągów, żeby zrobić z nich drogę, kocie łby, droga bywa dla wielu sprawą życia, przetrwania, ale tutaj to jest sprawa luksusu, miejskiej łaźni, jakby można było w niej umyć własną duszę. Mówię, że napelnia mnie grozą, że ludzie, którzy niegdyś tam się modlili, również poszli do łaźni.²²

Podobna groza uobecnia się w traumatycznej balladzie Agnieszki Kuciak zatytułowanej *Wroniecka*, wartej, jak sugerowała Katarzyna Kuczyńska-Koschany, zestawienia z *Królem olch* Goethego²³. W niej także bohaterem jest widzące duchy i przeczuwające śmierć dziecko, układające apostrofy do rodzica. Rodzic i dziecko z przedromantycznej ballady pędzą konno, ci poznańscy – pływają. Niewykluczone, że Kuciak, poznanianka, odmalowuje swoje wspomnienia z lekcji pływania odbywającej się w murach bylejsz synagogi przy Wronieckiej. Woda stawia łagodny opór, zdaje się rytualną, mykwową kąpielą. Pływanie – zapewne żabką, gdy dłonie na przemian składa się i rozwiera – kojarzy poetka z modlitwą i odnosi je do błagalnego psalmu. W ostatnim wersie ta zbezczeszczone przestrzeń zostaje zwieńczona „jarmulką dachu”. Kuciak ubiera budynek w żydowską powłokę:

22 I. Filipiak, *Korzenie*, [w:] *Niebieska menażeria*, Warszawa 1997.

23 K. Kuczyńska-Koschany, „Все поэты жи́ды”. *Antytotalitarne gesty poetyckie i kreacyjne wobec Zagłady oraz innych doświadczeń granicznych*, Poznań 2013, s. 63.

Lekcja pływania: „Trzymaj się powierzchni”
Od chropawego chloru wargi spierzchły

Dłoniom łagodnie stawia opór woda
Ciało w niej brodzi jak w żydowskich brodach

Ale łagodny, płynny ruch upartych
Dłoni rozcina jej poźółkle karty

Jakby chciał wiedzieć: „Mamo co się mieni
Na dnie tej wody jak ławica cieni?”

„Przez taką wodę mogą śnić się zmarli
A woda woła, żeby ich nakarmić.

To tylko cienie, które wzięły prysznic
Pod ścianą płaczu. Gdy je płacz oczyścił,

Przyszły do domu. Mają zwyczaj na noc
Brać kąpiel, tę w obozie obiecaną”

„Lecz płyn spokojnie, echo w tej świątyni
Nie cichnie, ale nikogo nie wini.

Pływanie składa i otwiera dłonie
Jak psalm błagalny, czysto i pokornie.

Mierzy oddechem jak wersetem świętą
Przestrzeń (jarmułki dachu jej nie zdjęto)²⁴.

Sąsiedztwo dla powyższego utworu może stanowić powidokowy projekt *Pływania*, który 4 kwietnia 2003 roku, w 63. rocznicę pierwszych dewastacji budynku poznańskiej synagogi przy Wronieckiej, zrealizował Rafał Jakubowicz. Na awersie pamiątkowej pocztówki powstałej po jego akcji znajduje się ujęte wieczorną porą wejście do dawnej synagogi. Nad nim wyświetlony został napis w języku

24 A. Kuciak, *Wroniecka*, [w:] *Retardacja*, Kraków 2001, s. 19.

hebrajskim: „pływalnia”. Adam Mazur pisał o „efekcie obcości”, analizując projekt fotografowania byłych synagog przez Wojciecha Wilczyka²⁵. Taki sam efekt osiągnął Jakubowicz. Izabela Kowalczyk interpretowała:

[...] wydobyla ona żydowską historię miejsca, wyrzuciła na zewnątrz poważny problem tego miasta. Słowo „pływalnia” w języku hebrajskim zabrzmiało w tym miejscu wstydliwie i oskarżycielsko. Ten napis jest jak podpis, inskrypcja, ale zarazem dopiero ten napis poprzez swoją wewnętrzną sprzeczność (bo raczej spodziewalibyśmy się, że autor w języku hebrajskim umieści na fasadzie tego budynku słowo „Synagoga” [...]) wskazuje na niestosowność, nieprzystawalność, pomieszanie czy też pogubienie pierwotnych znaczeń tego budynku²⁶.



Rafał Jakubowicz, *Pływalnia*.

- 25 A. Mazur, *Czy tu była synagoga?*, [w:] W. Wilczyk, *Niewinne oko nie istnieje*, Łódź 2009, s. 12. Naukowym niemieckim pendant projektu Wilczyka jest książka: T. Altaras, *Synagogen und jüdische Rituelle Tauchbäder in Hessen – Was geschah seit 1945*, Königstein 2007.
- 26 I. Kowalczyk, „Pływalnia” Rafała Jakubowicza – przeszłość, której nieobecność się manifestuje, http://www.jakubowicz.art.pl/wp-content/uploads/nowe/plywalnia_nowy3.pdf (data dostępu: 23 XII 2014).

Tylko kształt liter – niemożliwych do odczytania przez większość mieszkańców miasta – (re)prezentował żydowską pamięć miejsca. Na rewersie pocztówki widać, i stąd skojarzenie z dystychową balladą Kuciak, trzech kąpiących się młodzieńców, prawdopodobnie nieznaną historią budynku.

Misteria pamięci tworzy także Janusz Marciniak. W 2004 roku w budynku przy Wronieckiej położył na tafli wody gwiazdę Dawida (*Atlantyda*). Dwa lata później w ramach XVI Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego „Malta” pokazywał projekt *Alfabet*. Żałobną instalację zatytułował *9.09.1939* i zbudował z niebieskich zniczy na wodzie; odwzorowywała wygląd nieba nad synagogą w dniu i godzinie ostatniego nabożeństwa. Była sobota. O dziewiątej rano Żydzi rozpoczęli swoje modlitwy.



Janusz Marciniak, *9.09.1939* i *Atlantyda* 15 stycznia 2004 roku.

Andrzej Osęka *Atlantyde* Marciniaka zestawiał z działaniem artystów w Sztokholmie, nie kryjąc braku zrozumienia dla idei tych drugich, doceniając natomiast oszczędność środków i drogę odzyskiwania pamięci miejsca w Poznaniu:

W połowie stycznia w dwóch miastach [...] pokazano dzieła z gatunku tzw. instalacji. Oba dotyczyły losu Żydów i w obu użyto basenu wypełnionego płynem. Nie ja pierwszy te wydarzenia zestawiam, lecz międzynarodowa agencja JTA [...]. JTA pocieszała zasmuconych tym, co stało się w Sztokholmie, opisując to, co można było zobaczyć w Poznaniu²⁷.

Instalację *Królewna Śnieżka (Snövit)* na dziedzińcu sztokholmskiego muzeum przygotowali emigrant z Izraela Dror Feiler oraz jego żona Gunilla Sköld, Szwedka. Napełnili basen płynem w kolorze krwi i umieścili tam białą łódkę z portretem uśmiechniętej Palestynki, Hanadi Jaradat, która 4 października 2003 roku w restauracji w Hajfie rozerwała ładunkiem wybuchowym siebie i dwadzieścia innych osób.

Janusz Marciniak odzyskuje pierwotny charakter poznańskiego gmachu także jako eseista. W 2012 roku notował: „Budynek jako narzędzie pracy pamięci. Budynek Nowej Synagogi to samoistny i największy pomnik Holokaustu w tej części Europy”²⁸. Myśląc o przeznaczeniu tych ścian, kreślił słowa: „Proponuję zachować fragment basenu. Basen jest częścią historii budynku, która nie może zostać zapomniana”²⁹.

27 A. Osęka, *Dwa baseny i synagoga*, „Gazeta Wyborcza”, 31 stycznia–1 lutego 2004, s. 11.

28 J. Marciniak, *Koncepcja nowej Synagogi w Poznaniu*, „Miasteczko Poznań” 2012, nr 1 (10), s. 12.

29 *Ibidem*, s. 16.

Bramę Wroniecką w Poznaniu wzniesiono wraz z pierwszą linią murów obronnych w drugiej połowie XIII wieku w miejscu dzisiejszego placu przed synagogą. Nie stworzono jednak w tych okolicach instytucji na kształt lubelskiej „Bramy Grodzkiej – Teatru NN”. Bramę Grodzką nazywano też Żydowską, ponieważ stanowiła przejście między Starym Miastem a dzielnicą żydowską. Od 1992 roku znajduje się tam siedziba ośrodka działającego na rzecz ochrony dziedzictwa kulturowego i edukacji w miejscach pamięci, dyskutującego temat kształtu pamięci. Jego pracownicy piszą: „Polacy pytają: dlaczego to robicie? Przecież jesteście Polakami, a miasto żydowskie to nie nasza historia. [...] Cierpliwie tłumaczymy, że to jest nasza wspólna polsko-żydowska historia. Aby pamiętać o zamordowanych Żydach, nie trzeba być Żydem. W świecie, w którym żyjemy, potrzeba więcej takich bram. Nie tylko pomiędzy Polakami i Żydami”³⁰.

Hebrajski wyraz *sziwiti* znaczy „widziałem” i otwiera psalm: „stawiam sobie zawsze Pana przed oczy”. W dzisiejszej kulturze hegemonii obrazu należy spytać o przestrzenie miast ukrywające obecność dawnych żydowskich mieszkańców, rzadko stawiające ślady przed oczy.

Kategoria spektralności odnosi się do jednoczesnej obecności i nieobecności, widoku i transparentności obiektu³¹. Poświęcone poznańskiej synagodze–pływalni wypowiedzi pisarzy i artystów plastyków składają się w katalog utworów spektralnych. Spod dzisiejszego wraku, spod funkcjonującej jeszcze do niedawna pływalni wynurza się mglisty, odmazywany widok budynku z początku poprzedniego wieku. W działaniach artystycznych jednocześnie

30 Wstęp, [w:] NN. *Opowieści zasłyszane*, Lublin 2013, s. 3.

31 S. Bräunert, *Spektrale Identitäten. Fotografische Erinnerungsräume in Arbeiten von Sophie Calle und Monika Maron*, [w:] *Nach Bilder der Wende*, hrsg. von: S. Inge, A. Tacke, Köln 2008, s. 87. V. też: *Literatur im Krebsgang: Totenbeschwörung und memoria in der deutschsprachigen Literatur nach 1989*, hrsg. von: A. De Winde, A. Gilleir, Amsterdam, New York 2008 (tu szczególnie: B. Philipsen, *Literatur und Spektralität: zur Einführung*).

uwidaczniają się wszystkie formy jego istnienia. *Niewinne oko nie istnieje* – można powtórzyć tytuł książki Wojciecha Wilczyka, autora cyklu zdjęć poświęconych zapomnianym synagogom i domom modlitw, który sfotografował aż 307 takich obiektów żydowskiej kultury materialnej, wśród nich także gmach przy Wronieckiej.

Międzynarodowy Festiwal Poezji „Meridian” w Czerniowcach ma za cel ożywienie wielokulturowego dziedzictwa miasta, w którym do czasów II wojny światowej niemal połowę mieszkańców stanowili Żydzi. Iryna Vikyrchak, jego organizatorka, powiedziała mi:

Widziałam już wiele różnych transformacji byłych synagog, także w Czerniowcach, lecz pływalni – nigdy. To brzmi niecodziennie. Problem w moim mieście polega na tym, że nawet gdyby synagogi zostały odbudowane, nie ma ludzi, który utworzyłiby żydowską społeczność. Obecnie mamy w Czerniowcach dwie działające synagogi. I to naprawdę więcej, niż potrzeba.

Największą czerniowiecką synagogę przemieniono w teatr–kino. Bożnicę przy ulicy Mickiewicza – w siłownię, a ta przy ulicy Barbuisa służy za warsztat. Podczas jednej z edycji festiwalu „Meridian” na te budynki nałożono projekcje świetlne przedwojennych fotografii. Uwolniło się spektrum, Morinowskie „widmo”, Benjaminowska „aura”³².

Artyści uwzględniają i uwiarygodniają niespójną przeszłość miejsca, scalają to, co rozszczepione, by przez artefakt na nowo wejść w dzisiejszą pustkę byłej

32 W. Benjamin, *Dzieło sztuki w dobie reprodukcji technicznej*, przeł. H. Orłowski, [w:] *Anioł historii. Eseje, szkice, fragmenty*, wybór i oprac. H. Orłowski, Poznań 1996.

synagogi. Poznański budynek jest doskonałym przykładem „architektury braku”. Duch przeszłości coraz rzadziej nawiedza jego archiwum, stojące na skraju zniknięcia. Wrak synagogi staje się figurą nietrwałości pamięci³³.

Ida Fink pisała o P., mieście gospodarnym i czystym. Owo czyszczenie, owo wymazywanie stało się losem społeczności żydowskiej po 1933 roku i wryło się głęboko w jej tożsamość. Poznań przez lata zaniedbał pamięć o żydowskości miejsca w zbiegu Wronieckiej i Stawnej, odżydawał je. Poświęcony temu problemowi, znany i często cytowany czterowierszowy utwór Ryszarda Krynickiego *Miasto* miał się ukazać w 3. numerze „Solidarności Wielkopolski”, lecz – jak informuje sam autor – całe archiwum zaginęło po akcji ZOMO 13 grudnia 1981 roku.

Nade wszystko ceni **gospodarność, porządek i czystość**:
zamieniło synagogę w miejską pływalnię,
na parkingach targowych
nie ma śladu po żydowskim cmentarzu³⁴ [podkr. J.R.].

„Gospodarność, porządek i czystość” Zygmunt Bauman w eseju *Sen o czystości* wskazywał jako centralne pojęcia Zagłady³⁵. Ideą „paranoi czystości” było – jak pisał – usunięcie skazy, wymazanie (*Endlösung*) czegoś niezgodnego z harmonią obrazu, zlikwidowanie „brudnych” sąsiadów–obcych.

Wiersz Krynickiego przypomina też o macewach z cmentarza przy ulicy Głogowskiej, zniszczonego przez Niemców podczas II wojny. Posłużyły one do utwardzania poznańskich chodników. Po wojnie teren cmentarza przejęły Międzynarodowe Targi Poznańskie. Dzięki staraniom członków gminy

33 Cf. D. Murphy, *The Architecture of Failure*, London 2012, s. 59.

34 Wspomniany w wierszu *Miasto* żydowski cmentarz znajdował się przy ul. Głogowskiej. Powstał w 1804 r. po likwidacji domu grobów w okolicach dzisiejszego Placu Wolności.

35 Z. Bauman, *Sen o czystości*, w: *Ponowoczesność jako źródło cierpienia*, Warszawa 2000.

żydowskiej w Poznaniu odtworzono fragment zamienionego w piaskownicę kirkutu w podwórzu przy ulicy Śniadeckich. 3 czerwca 2008 roku odbyły się tam uroczystości poświęcenia nekropolii z grobem najsłynniejszego poznańskiego rabina, Akiwy Egera, zmarłego w 1837 roku cenionego talmudysty, rektora poznańskiej jesziwy. Takim wstydliwym miejscem jest także zaniedbany Stadion im. Edmunda Szycy, na którego terenie podczas wojny mieścił się obóz koncentracyjny dla żydowskich obywateli Wielkopolski.

8 lutego 1942 roku Viktor Klemperer opisywał przeszukiwanie przez nazistów mieszkania znajomej rodziny. Hitlerowcy bezczęścili symbole, profanowali *sacrum* i szyderczo przemianowywali *profanum*: „»Siadajcie na arkę przymierza« (wskazywali zwykły kufer)” – relacjonował ich rozkazy Klemperer. Przeszukiwane przez nazistów mieszkanie mogłoby więc nazwać synagogą, bo w niej miejsce Arki Przymierza zajmuje aron ha-kodesz, święta skrzynia, przechowująca zwoje Tory.

Już-nie-pływalnia-i-już-nigdy-synagoga, jednocześnie miejsce pamięci i miejsce heterotopiczne, stała się przedmiotem codziennego użytku, by sparafrazować tytuł projektu jednego z moich rozmówców, Łukasza Baksika, *Macewy codziennego użytku*. Projektu, który można odczytywać jako spóźnione o pół wieku „Mane, Tekel, Fares”. Na ścianie poznańskiej synagogi przy Wronieckiej inne ręce wypisują hasła o zgoła odmiennym wydźwięku. Tymczasem chciałabym wierzyć, że ów budynek może jeszcze czerpać „życie” ze swojej przeszłości, ze swej przez lata odpychanej historii. Ogłasza on po rimbaudowsku: „ja to coś innego”.

Biedni poznaniacy patrzą na synagogę.

Na stronie 31 pocztówka ze zbiorów Michała Łukomskiego.

Posen

Neue Synagoge



– Do kogo, kuzynie, ma prawić [kamień]? On nie prawi, on mówi, a kto mówi, kuzynie, ten nie prawi do nikogo, ten mówi, nikt bowiem go nie słucha, nikt ani Nikt, a wtedy powiada, on, nie zaś jego usta ani jego język, powiada on i tylko on: Słyszysz?³⁶

Powyższy fragment, pochodzący z *Rozmowy w górach* Paula Celana, zainspirował tytuł niniejszej publikacji, w której podjęłam się odtworzenia w wyobraźni przestrzeni mojego miasta, jego wyglądu sprzed wieku.

Eleonora Bergman bogate opracowanie „*Nie masz bóżnicy powszechnej*”. *Synagogi i domy modlitwy w Warszawie od końca XVIII do początku XXI wieku* charakteryzowała jako próbę „nałożenia »żydowskiej przestrzeni« na materialną tkankę ulic i domów, dziś w większości znanych tylko z przekazów ikonograficznych”, przymiarke do „osadzenia synagog i domów modlitwy w substancji miasta”. Ja, wychodząc spod budynku synagogi, wsłuchuję się w odpowiedzi tych, którzy pamiętają ją jako jedną z najważniejszych dla ich rodzin budowli Poznania (jak urodzony w stolicy Wielkopolski w 1925 roku Baruch Bergman, jedyny ocalały Żyd, który został w „czerwonej” synagodze obrzezany), jak Zwi Steinitz, urodzony w niemieckojęzycznej, spolonizowanej poznańskiej rodzinie jako Helmut Steinitz (jedyne ocalone pośród rodziny, która zginęła w Bełżcu). Rozmawiam z tymi, którym okrutna historia XX wieku przypominała, że są Żydami (Zygmunt Bauman, Krystyna Piotrowska). Z tymi, którzy owo niechciane żydowskie dziedzictwo poznawali samodzielnie w dzieciństwie, by później świadomie i konsekwentnie je odpominąć – jak Janusz Marciniak. Z tymi, którzy na różne sposoby przypominają i odtwarzają utracony świat żydowskiego miasta, sprawiają, że kamień nie zamilknie: to Katarzyna Kuczyńska-Koschany, Zbigniew Pakuła, Tomasz Pietrasiewicz, Wojciech Wilczyk, Rafał Jakubowicz, Bartłomiej Krupa.

36 P. Celan, *Rozmowa w górach*, przeł. A. Kopański, cyt. za: *Kartki Celana. Interpretacje*, pod red. J. Roszak, Kraków–Budapeszt 2012, s. 173.

Jedni rozmówcy, wyruszając spod synagogi, przywołują swoje wspomnienia, sięgając do pamięci (Steinitz, Bergman, Bauman), inni – wychowywani nie w cieniu opowieści, ale raczej w milczeniu na temat synagogi jako symbolu żydowskiego świata – ze skąpej, szczątkowej literatury, z incydentalnych wzmianek i rozmów rekonstruowali wygląd Poznania z czasów, gdy w krajobrazie miasta nie brakowało żydowskich mieszkańców. Owa „odpływająca synagoga” stała się w naszych rozmowach punktem orientacyjnym i *punctum* – raną, draśnięciem w rozumieniu Rolanda Barthes’a. Rozmawialiśmy o niej, a więc nabierała ważności. Ale w rozmowach wysuwaliśmy na wierzch przede wszystkim milczenie, z poczuciem, że żaden *tikun* nie jest tu możliwy. Patrząc na upokorzony budynek, widzimy, jak nicość przeplata się z istnieniem.

Praca nad tą książką miała dla mnie szczególne znaczenie z wielu powodów. Jej znaczącej części nie pisałam, lecz wydobywałam ją z Rozmówców. Im oraz profesor Joannie Tokarskiej-Bakir pragnę wyrazić wdzięczność.

Poznań, 27 stycznia 2015, Dzień Pamięci o Ofiarach Holokaustu



Zeew Żabotyński przemawiający w synagodze przy Wroneckiej. Fotografia pochodzi ze zbiorów Firy Melamedzon. Zdjęcie opublikowane dzięki uprzejmości Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu.



Fira Melamedzon z przyjaciółmi przed synagogą. Fotografia pochodzi ze zbiorów Firy Melamedzon. Zdjęcie opublikowane dzięki uprzejmości Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu.

Nie na miejscu.

Rozmowa z Zygmuntem Baumanem

W jednym z wywiadów wspominał pan profesor poznański dowcip: „Przyjechał z Krakowa Żyd, taki z pejsami, w chałacie. Zbiegowisko się zrobiło, a ten się rozzłościł i mówi: coście, krakowiaka nie widzieli?”. Komentował pan ten żart: „Rzeczywiście w Poznaniu nie widzieli”. Poznań nie widział czy nie chciał zobaczyć swoich Żydów? Czym tutejsza społeczność żydowska różniła się od krakowskiej?

Tu wszak nie tylko o Żydów szło, ale i o krakowiaków, nawykłych do pejsów i chałatów, od jakich Poznań się uwolnił wraz z pruskim zaborem. W toku lat porozbiorowych poznaniacy nabrali awersji (poczuciem wyższości podszytej) i dorobili się alergii na współziomków ze wschodu i z południa. Nasłuchałem się w dzieciństwie nie mniej dowcipów o warszawiakach niż tych o Żydach.

A co do Żydów: ze wszystkich dużych polskich miast Poznań miał bodaj w okresie międzywojennym najniższy ich procent (około dwóch tysięcy w ćwierćmilionowym mieście), a nadto jeszcze ci w chałatach i z pejsami, bardzo w Poznaniu pod zaborem liczni, gremialnie optowali po powstaniu wielkopolskim (być może zrażeni antysemityzmem w kręgach powstańczych) za przeniesieniem do Niemiec. Na Jeżycach byliśmy jedyną żydowską rodziną, a ja jedynym Żydem w szkole...

Paul Celan wspominał, że o antysemityzmie w rodzinnych Czerniowcach za swoich czasów szkolnych mógłby napisać grubą księgę. Ile stron miałaby księga o antysemityzmie z pana profesora lat szkolnych?

Chyba niewiele. Monotonne byłyby wpisy. Z chleba naszego powszedniego da się ugnieść co najwyżej parę gniotków, a z powszedniej rutyny – nie więcej niż parę akapitów. Przez sześć lat powszechniaka przy Słowackiego ani razu (z wyjątkiem lekcji gimnastyki) nie wyszedłem na szkolne podwórze. Nie potrafiąc zapobiec kuksańcom i kopniakom, które by się tam na mnie posypały, nauczyciele pozwolili mi, a raczej zalecili, bym spędzał wszystkie przerwy w klasie... Zważywszy, że brak mi Celanowych talentów, za skąpe to tworzywo na epopeję.

Pana edukacja szkolna uwzględniała ten żydowski komponent tożsamości?

Chyba tylko usiłując, bezskutecznie zresztą, mnie przekonać, że jestem inny od reszty Polaków.

Bywał pan w synagodze?

Raz do roku, z ojcem, w Jom Kippur... Jako że kolegów Żydów nie miałem do ostatniego roku przedwojennego (kiedy to dostałem się do Gimnazjum im. Bergera, jedyne w Poznaniu stosującego *numerus clausus* zamiast, jak reszta, *numerus nullus* – mnie i czterech innych chłopców usadzono w getcie ławkowym), były to dla mnie dni samotności głębszej jeszcze od codziennej...

W domu rodzinnym pana profesora wspomniane święto Jom Kippur, upamiętniające zejście Mojżesza z góry Synaj i przekazanie tablic z Dekalogiem, przypadało na przełom września i października czy raczej na 10. dzień miesiąca *tiszri*?

Nie wiem, jakim rachunkiem czasu posługiwał się ojciec, od którego dowiedziałem się o nachodzącym poście i wyprawie do synagogi.

O poznańskiej dzielnicy żydowskiej wiemy o wiele mniej niż choćby warszawskich Nalewkach czy Bałutach w Łodzi. Na Wroniecką często zaglądam do filii Biblioteki Raczyńskich, ale trudno mi odtworzyć sobie ten świat, kiedy zwoływano nabożeństwo w synagodze, kiedy umieszczane po prawej stronie framugi drzwi mezuzy były znakiem rozpoznawczym żydowskich domów, a w święta przechodzili tędy mieszkańcy w białych kitlach i odświętnie haftowanych jarmułkach, którzy np. w dzień Simchat Tora w korowodzie siedem razy, tańcząc i śpiewając, okrążali synagogę...

Wyraźnie wie pani o tych sprawach więcej niż ja... Nie widziałem nic z tego...

Pamięta pan złą, antysemicką aurę Poznania przedwojennego?

Mało miałem grosza w kieszeni, ale lubiłem odwiedzać księgarnię Wilaka przy Dąbrowskiego, niedaleko mostu Teatralnego – ciągnęło mnie tam choćby po to, by popatrzeć na grzbiety książek, na jakich nabycie nie było mnie stać. Aż tu pewnego dnia pojawia się w oknie wystawowym napis „Lokal chrześcijański”, a pod nim starannie wykaligrafowane wezwanie: „Kupuj u Wilaka / popieraj Polaka”. Sztuka dla sztuki poniekąd – nie sądzę, by wśród konkurentów pana Wilaka znalazł się w Poznaniu jeden choćby księgarz Żyd... Książki wypożyczałem w bibliotece Towarzystwa Czytelni Ludowych przy Słowackiego – za dwadzieścia bodaj

groszy miesięcznie. Jako czytelnik gorliwy i na tym, co między okładkami, coraz lepiej się znający, cieszyłem się szczególnymi względami bibliotekarki, która nie skąpiła mi czytelniczych porad, a i odkładała dla mnie co smakowitsze lektury. Wiele jej zawdzięczam... Aż tu pewnego dnia wśród czasopism na gazetowym wieszaku, i to najbardziej widocznym jego miejscu, pojawia się w bibliotece świeżo zaprenumerowany „Pod Pręgierz”. Zwróciłem książki, ale kolejnych do czytania już nie wziąłem, powiedziałem bibliotekarce, że się nie pcham, gdzieś niechciany, a ona, Bogu ducha winna, zalała się rumieńcem, i, jak mi się zdawało, puściła leżkę na pożegnanie.

W rok po obu wydarzeniach uciekałem z ojczyzstego miasta ostatnim pociągiem odchodzącym z poznańskiego dworca.

Chodził pan w Poznaniu do kina?

Tak, choć z rzadka. Na Focha³⁷. I też dwadzieścia groszy za bilet.

Jakie inne miejsca Poznania są dla pana nośnikiem indywidualnej pamięci o Żydach?

No chyba też Prusa 17, gdzie się urodziłem, abecadła nauczyłem i miłością do tego, co z niego komponowane, zapalałem.

Dla wielu pisarzy niemożliwa okazała się po Szoah neutralizacja języka, odkażenie go. Liczne słowa nie pozostawały już do ich dyspozycji. Takim słowem zdaje się „czystość” – wspomniana w poznańskim opowiadaniu Idy Fink oraz w wierszu Ryszarda Krynickiego o poznańskiej synagodze. Czy są takie słowa, które po Zagładzie nie znajdują się już w rezerwarze pana profesora?

O *Marzeniu o czystości* i jego zbrodniczych konsekwencjach pisałem szeroko w *Ponowoczesności jako źródle cierpień*. Niestety, na wyrzucenie „czystości” ze słownika socjologa grubo za wcześnie – marzenie trwa i nadal określa nasze ludzkie współlistnienie. Tylko poeci mogą sobie na zapomnienie o tym marzeniu pozwolić – a i im bym nie radził.

W opracowaniach niemiecko- i anglojęzycznych dotyczących współlistnienia Żydów i Niemców pojawia się wyrażenie „German-Jewish symbiosis”. Używane w polskiej wersji – „symbioza niemiecko-żydowska” – budzi opór, także licznych

³⁷ W 1929 r. przy ulicy Marszałka Focha (dzisiaj Głogowska) powstały kina „Stylowe” (późniejszy „Bałtyk”, nr 4), „Bajka” (nr 23) oraz „Polonia” (nr 177) – wszystkie przypisy pochodzą od autorki.

badaczy zajmujących się wątkami żydowskimi w literaturze i sztuce. Dlaczego nie pisze się o „symbiozie polsko-żydowskiej”?

O rzekomej symbiozie niemiecko-żydowskiej, jej nieporozumieniach i tragicznej w swych skutkach dialektyce pisałem obszernie w studium *Wieloznaczność nowoczesna. Nowoczesność wieloznaczna*. A znów o zawiłych losach „symbiozy polsko-żydowskiej” napisał Artur Sandauer w książce *O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego w XX wieku. Rzeczy, którą nie ja powinienem był napisać*. I do tego studium niewiele potrafiłbym dodać, albo i niczego – bo w odróżnieniu od tamtej była ona poniekąd przedmiotem moich przeżyć, ale nie studiów.

Mieszkał pan w różnych miejscach – i w Poznaniu, i w Izraelu, i w Leeds w Wielkiej Brytanii... Gdzie czuł się pan najpełniej w domu?

Kiedy dotarłem wreszcie do Wielkiej Brytanii, w której zapewne już do końca pozostanę, uderzyła mnie trafność spostrzeżenia Frederica Raphaela, angielskiego dramatopisarza: „Żyd to taki człowiek, który w każdym miejscu jest nie na miejscu”.

Leeds–Poznań, lipiec 2012

Baruch z synagogi.

Rozmowa z Baruchem (Bronisławem) Bergmanem



Plac Wolności w Poznaniu, 1928 r. Baruch Bergman trzyma za rękę mamę, a jego o trzy lata starszy brat Dadek (Dawid, Tadeusz) – ojca. Zdjęcie przekazane do druku przez Barucha Bergmana.

Urodził się pan w święto Rosz-Ha-Szana, 20 września 1925 roku. Jako że obrzezanie odbywa się osiem dni później, dzień ten wypadł na Jom Kippur, jedno z najważniejszych żydowskich świąt. Został pan obrzezany w synagodze przy Wronieckiej, po konsultacjach poznańskiego rabin z naczelnym rabinem Berlina.

I to był jedyny raz, kiedy obrzezano kogokolwiek w „czerwonej” synagodze.

Czerwonej?

Nazywano ją tak, gdyż zewnętrzne ściany były wykonane z czerwonej cegły. Pamiętam wyraźnie te kolory. A wewnątrz, w samym centrum synagogi, na suficie, w słoneczny dzień pięknie mieniła się kopuła z kolorowymi szymbami.

Często bywał pan w synagodze z rodziną?

Ojciec zabierał mnie i moich dwóch braci do synagogi przy Wroneckiej i Stawnej w każdą sobotę rano, na nabożeństwo. A że byliśmy bardzo pobożni, nie pamiętam, byśmy choć w jedną sobotę się tam nie modlili. W piątek wieczorem, przed nastaniem szabatu, który zaczyna się z pierwszą gwiazdą na niebie, szliśmy z ojcem do mykwy przy ulicy Szewskiej, a stamtąd do domu, czyli na Żydowską 32, do mieszkania z numerem 5, gdzie przebieraliśmy się w świąteczne ubrania. Później szliśmy modlić się do *beth midrasz* przy ulicy Żydowskiej (w tym samym domu mieścił się żydowski dom starców i mieszkał rabin Dawid Szija Sander).

Co robiła wtedy pana mama?

Co piątek mama szła z żywym kurczakiem do gminnego szlachtuza przy Szewskiej i tam ktoś do tego upoważniony podcinał kurczakowi gardło. Ostatnia kropla krwi musiała się wykropić, bo Żydom nie wolno krwi jeść czy pić. W każdy piątek wieczorem i w każdą sobotę w południe mieliśmy na obiad rosół z makaronem i kurę. No i na deser placek z kruszonką.

Zatem chodził pan do synagogi tylko w męskim towarzystwie?

Do bóżnicy, którą ty nazywałeś synagogą, chodziłem z ojcem i dwoma braćmi. Mama zostawała w domu, przygotowywała dla nas świąteczny obiad. Zwykle towarzyszył nam jakiś obcy wędrowiec, którego tata zapraszał na posiłek. Taki był zwyczaj wśród poznańskich Żydów: prawie każdy zapraszał do siebie na obiad obcego wędrowca, który przypadkowo znalazł się w sobotę w bóżnicy. Dzieliliśmy się, mimo że – jak zresztą większość Żydów w Poznaniu – byliśmy biedni. Nie mieliśmy ciepłej wody, ubikacji ani łazienki. Przed początkiem zimy przyjeżdżała do nas furmanka pełna kartofli, które przynosiliśmy do piwnicy. To samo z węglem.

Jako dziecko rozumiał pan wszystkie judaistyczne rytuały?

Jako dziecko nie zastanawiałem się nad ich znaczeniem. Po prostu, uwielbiając mojego ojca, naśladowałem jego słowa, uczynki i styl życia. A ojciec był szlachet-

nym człowiekiem. Nie miał formalnego wykształcenia. Jego szkołą była żydowska księga, jej komentarze pisane przed wiekami i historia Żydów. Żydowską biblię można streścić w jednym zdaniu: „Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe”.

Czy mezuzy umieszczane były po prawej stronie framugi wszystkich żydowskich drzwi? Czy pana tata nosił kitel?

Mezuzę miał każdy żydowski dom. Co do białych kitli, to ojciec nosił je tylko w mieszkaniu i tylko na Wielkanoc.

Mówiąc „Wielkanoc”, ma pan na myśli święto Paschy?

Tak, święto Paschy. Choć u nas nazywano je Wielkanocą...

Dlaczego pana tata wdziewał kitel tylko w mieszkaniu?

Gdyby Żyd pokazał się w białym kitlu na ulicy, to Polacy by go zlinczowali. Nienawiść i pogarda dla Żydów, podjudzana m.in. w dwóch tygodnikach wydawanych w Poznaniu, „Pająk” i „Pod Pręgierz”, wybiegały daleko poza wyobraźnię czytelników naszej rozmowy. Gdyby Żyd pokazał się w jarmulce na ulicy, prawdopodobnie wyładowałby w szpitalu.

Wróćmy do synagogi. Śpiewał pan w jej chórze.

Przed każdą modlitwą dyrektor chóru dawał każdemu z nas surowe jajko z dziurką na czubku, przekłutą igłą. Musieliśmy je połknąć na surowo, aby mieć czystszy głos.

Miał pan swoją ulubioną pieśń?

Kol nidre. Śpiewaliśmy ją raz w roku podczas najważniejszego żydowskiego święta Jom Kippur (Sądny Dzień). Ta rzewna melodia doskonale odzwierciedla smutek i wielowiekowe cierpienie narodu żydowskiego na wygnaniu. Gorąco ci ją polecam.

Kol nidre – modlitwa żydowska, która unieważnia pochopnie lub przymusowo złożone przysięgi... Jehuda Amichaj, który urodził się w Niemczech, w pobożnej rodzinie – jak pan – i czuł się Niemcem tak, jak pan czuł się Polakiem, w wierszu *Psalm* pisał, że kiedy był dzieckiem, śpiewał w synagogalnym chórze, że śpiewał, aż załamały się jego dwa głosy i złamały oba serca. Zna pan ten wiersz?

Nie znam poezji Jehudy Amichaja, ale doskonale rozumiem jego uczucia związane z przymusem ucieczki z rodzinnego kraju. Mnie nie pozwolono uciec. Dano mi ultimatum: jeżeli się nie stawię do punktu zbiorowego pewnego listopadowego dnia 1939 roku, z bagażem nieprzekraczającym dwudziestu funtów, to będę bez ostrzeżenia rozstrzelany. Tak się zaczęło moje wygnanie. Tak się zaczęła moja wędrówka. Jak Amichaj ja teraz też śpiewam, ale bezgłośnie i w sobie. Bo wielu naokoło wydaje się głuchymi.

Te dwa głosy i dwa serca były niemieckie i żydowskie. U pana: polskie i żydowskie. Bardzo pana miłość do kraju zawiodła.

Wiesz, że choć tak bardzo chciałem, to nigdy nie mogłem zdobyć ani jednego kolegi nie-Żyda? Antysemityzm w Poznaniu był obłędem. Nie było dnia, żeby mnie nie obrażano. „Parszywy Żydzie, skurwysynu, hej, Żydzie, hamanie, weź dydy na ramię, do Palestyny”. Co tydzień musiałem płacić pięć groszy „Orłowi”, królowi ulicy Żydowskiej, za protekcję. Miejscowe „juchciki” wiedziały o tym i mnie nie biły. Jak przyszedł odpowiedni czas, chciałem wstąpić do harcerzy. Powiedziano mi, że tylko polskie dzieci mogą być harcerzami. W 1938 roku zdawałem egzaminy do Gimnazjum im. Paderewskiego w Poznaniu. Po egzaminach otrzymałem stamtąd list: „Gratulacje. Zdał Pan egzamin z bardzo dobrym wynikiem, ale z powodu braku miejsc Baruch Bergman nie może zostać przyjęty”. Ponieważ nasze mieszkanie składało się z jednego pokoju (w „Hameryce” nazywają to „studio apartment”), było dość miejsca tylko na dwa łóżka. Tatuś i mamusia spali w jednym, a my w drugim. Z tego powodu spędzałem większość dnia, bawiąc się na ulicy Dominikańskiej z innymi żydowskimi dziećmi, grając w palanta, w sztekla, w srulki. No i goniliśmy się naokoło Żydowskiej, Dominikańskiej, Szewskiej i Stawnej. I bardzo często graliśmy w piłkę nożną.

Polscy i niemieccy Żydzi funkcjonowali w Poznaniu na tych samych prawach?

Tak. Pamiętam, że niektórzy niemieccy Żydzi mieszkający w pobliżu Poznania od dziada pradziada przyjeżdżali do synagogi w bryczkach zaprzężonych w konie, co bardzo gorszyło mojego ojca, gdyż w sobotę nie wolno korzystać z żadnego pojazdu. Ci, co przyjeżdżali bryczką, byli zamożniejsi od przeciętnych poznańskich Żydów. I jak większość zamożnych ludzi, Żydów czy nie-Żydów, mieli trochę wyżej zadarty nos.

Polscy Żydzi osiedlili się w Poznaniu zaraz po I wojnie światowej, przyjeżdżając z terenów, które do 1918 roku znajdowały się pod zaborami rosyjskim i austriackim. Większość Niemców i Żydów uważających się za Niemców, którzy mieszkali w Poznaniu od setek lat, uciekła ze strachu przed zwycięskim narodem polskim. Niemcy traktowali Polaków nawet przed I wojną światową jako „untermenszów” i na ogół obchodzili się z nimi okrutnie. Dlatego gdy

wojna się skończyła, większość Niemców uciekła na teren Rzeszy, obawiając się zemsty i kary ze strony poniżonych. W mojej klasie Szkoły Powszechnej nr 14 uczył się Rzejmi Sonabend, syn ubogiego kantora w czerwonej bóżnicy. W domu rozmawiali między sobą po niemiecku. Ale w szkole i z nami tylko po polsku.

Poznańscy Żydzi mówili głównie po polsku?

Większość poznańskich Żydów – tak. Pamiętam, że raz siedłem z trzymającym mnie za rękę ojcem i jego przyjacielem, rozmawiającymi ze sobą po żydowsku. Ni stąd, ni zowąd zjawił się obcy pan i grożąc ojcu palcem, powiedział: „To polski kraj, tu się nie rozmawia po niemiecku”.

Pamięta pan rabina?

Wyraźnie pamiętam rabina Sendera, poważanego i lubianego. Z rudą brodą, raczej wysoki, zawsze obdzielał uśmiechem dzieci. Jego żona była bardzo łagodna i rabin stałe był w niej zakochany.

Był on jednym z pierwszych zamordowanych, wraz z żoną i jednorocznym synem.

To prawda...

Mówi pan o „żydożerczej” atmosferze, strachu o własne życie. Odsyła pan do antysemickich pism „Pod Pręgierz”, „Pająk” z lat 30. W jaki sposób poznańscy Żydzi radzili sobie z antysemityzmem przed rokiem 1939?

Kiedy doszło do tego, że polskie dzieci czekały na nas tam, gdzie zwykle graliśmy w piłkę nożną, gdy goniąc i przeklinając nas, zabierały nam piłkę – pan Hirszhorn, który miał tartak na Łazarzu, pozwolił nam grać w piłkę nożną na terenie tartaku, ogrodzonego drewnianym płotem. A w koszykówkę graliśmy na podwórku żydowskiego sierocińca przy Stawnej, rabin, doktor Rettig, dyrektor tego sierocińca, dał nam pozwolenie.

Ponieważ dzieci żydowskie były bite w szkołach powszechnych przez polskie dzieci i dorosłych Polaków, w Poznaniu założono w 1920 roku wspomnianą Miejską Izraelicką Szkołę Powszechną numer 14, przy ulicy Noskowskiego 3. Tam uczęszczały tylko dzieci żydowskie, choć uczyli Polacy. Ponieważ żydowskie dzieci nie mogły wstąpić do harcerstwa, 350-letnia gmina żydowska w Poznaniu pomogła stworzyć żydowski klub sportowy „Bar-kochba” przy Szewskiej, gdzie graliśmy w ping-ponga, uprawialiśmy boks i inne sporty. Działały w Poznaniu również dwie syjonistyczne organizacje młodzieżowe.

Rewizjonistyczny Bejtar i socjalistyczny Haszomer Hacair. Gdy miałem dziesięć lat, zostałem członkiem Haszomer Hacair. Raz na tydzień spotykaliśmy się przy Szewskiej w domu gminy i tam śpiewaliśmy hebrajskie piosenki, tańczyliśmy hebrajskie tańce i nasz kierownik, Zalus Mordkowicz, który mieszkał przy ulicy Garbary 50 i którego ojciec był kamasznikiem, a brat Borys chodził ze mną do klasy, dawał nam do przeczytania książkę. Musieliśmy ją omawiać i komentować w tydzień później. Był wśród nich *Krótki zarys ekonomii politycznej* Bucharina. Mogłem mieć wtedy jedenaście lub dwanaście lat. Co tydzień szedłem do biblioteki i pożyczałem trzy książki – przeważnie laureatów Nobla; zazwyczaj je pochłaniałem.

Pana lata szkolne w Poznaniu były więc brutalne.

Ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy, akceptując, że taka jest rzeczywistość, która mnie otacza, i nic nie mogę wskórać, by ją zmienić.

Przed wojną mieszkało w Poznaniu trzysta pięćdziesiąt żydowskich rodzin. Przeżyło wojnę dwudziestu Żydów. Trudno uwierzyć, że mógłby pan tęsknić za Poznaniem.

Ale tęsknię, tylko, jak mówisz, z niezrozumiałych dla mnie samego powodów. Gdy przyjeżdżam do Poznania, mam szaloną przyjemność z chodzenia jego ulicami. Czuję radość, patrząc na dom, w którym się urodziłem, na koziołki o dwunastej na ratuszu. I odżywają wspomnienia.

U nas słońce tak kojąco dziś świeci... jak w Poznaniu.

Dziś pachnie trawa.

Jak na Sołacz czy w Gołęczynie. Oj, pamiętam, pamiętam...

Dziwi mnie i nie mogę zrozumieć, dlaczego, mimo tych przykrych doświadczeń z dzieciństwa – podczas wojny i po wojnie w Polsce – mieszkając w USA, wciąż ma pan ogromny sentyment do wszystkiego, co pachnie Polską.

Wożę w samochodzie nagrania polskich poetów (ballady Mickiewicza, mnóstwo Tuwima, którego najbardziej podziwiam, Słowackiego, Fredrę, Słonimskiego, Herberta, Szymborską, Gałczyńskiego, Miłosza i wielu innych), jak również wiele przedwojennych szlagierów. Ponieważ spędzam dużo czasu w samochodzie, często słucham tych nagrań. Uważam, że Mickiewicz jest piękniejszy i bardziej uczuciowy od Wilusia Szekspira. Gdybyś, Asiu, chciała się o mnie więcej dowiedzieć, to, gdy będziesz w Warszawie, znajdź w Muzeum Powstania Warszawskiego budynek archiwalny i spytaj o nagranie wywiadu z Bronisławem Bergmanem, kombatantem

tego powstania. Nie mówiłem ci jeszcze, że skończyłem szkołę oficerską z rangą podporucznika.

W sierpniu 2011 roku jako weteran został pan zaproszony wraz z żoną przez prezydent Warszawy, Hannę Gronkiewicz-Waltz, i przez Muzeum Powstania Warszawskiego na obchody 67. rocznicy wybuchu powstania. Później z żoną Julią, ocaloną z ataku na World Trade Center w Nowym Jorku, trzema córkami, wnukiem Danielem i wnuczką odwiedził pan Poznań. Zakołatał pan do drzwi swojego byłego mieszkania, tego, w którym się pan urodził, w którym stały dwa łóżka i do którego wracaliście z przybyszem na sobotni obiad.

Po Poznania przyjechałem po uroczystościach. Pan Jarek Przyborowski czekał na mnie na stacji kolejowej i podwiózł nas wszystkich do mieszkania przy ulicy Wszystkich Świętych, które nam oddał do dyspozycji. Prawie codziennie byliśmy – cała siódemka – zapraszani przez dobrych poznaniaków na kolację lub obiad i traktowano mnie, jakbym był jakimś bohaterem. Pokazałem córkom, wnuczce i wnukowi mieszkanie, gdzie się urodziłem, wskazałem ulice, na których się bawiłem jako dzieciak.

Gdy zapukałem do drzwi przy Wronieckiej, oznajmiłem pani, która mi otworzyła, że chciałbym jeszcze raz zobaczyć wnętrze. Nie minęło pół godziny, a wręczyła mi klucz i powiedziała, że mogę zostać, jak długo zechcę. Nie zapomnę, jak bardzo serdeczni byli wszyscy, gdy się dowiedzieli, kim jestem. Byłem wzruszony takim przyjęciem.

W USA mieszka pan od sześćdziesięciu pięciu lat.

A jeszcze mi nikt nie wytknął, że jestem Żydem! Żyję beztrudnie, radośnie. I chciałbym, żeby już tak zostało „do końca świata i po końcu świata”. Podczas mojego pobytu wtedy w Warszawie taksówkarz poinformował mnie, że „Ameryka jest pod żydowską okupacją i że Żydzi wykupują Polskę”.

Tęskni pan za Polską, która tęskni za Żydami ...

Moje korzenie w Polsce są tęgie i sięgają głęboko. Praprababcia mojego ojca, Baila Gitl Cohen, witała Napoleona chlebem i solą, gdy przechodził przez miasteczko Widawa koło Pabianic, w województwie łódzkim, w drodze na Moskwę. Ponoć została wybrana jako przedstawicielka tego miasteczka, bo umiała czytać i liczyć.

Urodził się pan przy ulicy Żydowskiej w mieszkaniu na parterze. Dwa okna w tym mieszkaniu wychodziły na Dominikańską, gdzie stoi kościół.

Na rogu Żydowskiej i Kramarskiej, następny róg od naszego domu w kierunku ratusza... Z tyłu, na suficie, dwa malowidła przedstawiają okropnie wyglądających Żydów, z orlimi nosami, brodami i oczyma pełnymi nienawistnej żądz. Wbijają oni długie noże w świętą hostię. Papież, prymas, kardynałowie, arcybiskupi, biskupi i ksiądz proboszcz o tym wiedzą. Może nawet są dumni z tego, że te obrazy wciąż są dostępne szerokiej publiczności.

„Jestem rodzonym poznaniakiem, którego wysiadali przemocą z Poznania w listopadzie 1939 roku za to przestępstwo że się urodziłem Żydem, i nadal jestem z tego dumny, choć to nie moja zasługa” – mówił pan. Z czego w kontekście żydostwa jest pan dumny?

Od dziecka Polacy przeklinali mnie i traktowali jako parszywego Żyda. Podejrzewam, że w samoobronie starałem się siebie przekonać, że nie jestem gorszy od nich. Drugim powodem było to, że gdy uciekłem z warszawskiego getta, pod koniec 1942 roku, to po okropnych tarapatkach udało mi się wykupić fałszywe papiery i zacząłem żyć jako Polak, udając gorliwego chrześcijanina. Nauczyłem się katechizmu na pamięć i, pokonując strach, odważyłem się wejść do kościoła św. Anny na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. To było już po horrendalnych doświadczeniach z rąk Niemców i Polaków, kiedy to zacząłem wątpić we wszechmocność żydowskiego Boga, w dobroć ludzi, kiedy zacząłem myśleć, że może ten Pan Jezus jest miłosiernym Bogiem.

Ale nienawiść, którą siał ksiądz z ambony, przekonała mnie, że katolicka religia jest tak samo fałszywa jak wszystkie inne religie. Pamiętam, jak podczas kazania w tym kościele powiedział: „Wiem, że są wśród nas tacy, którzy pomagają ukrywającym się Żydom. W imię Boga wam tego zabraniam. To Żydzi ukrzyżowali Pana Jezusa i za to zostają teraz ukarani”. Dla mnie modlitwa straciła smak, aromat i sens.

Dziś byłem na zebraniu żydowskich ofiar Holokaustu, gdzie między innymi pokazano nam film o tym, jak Bułgarzy pod kierownictwem swojego metropolity, głowy bułgarskiego chrześcijańskiego Kościoła, uratowali wszystkich swoich Żydów od deportacji do Oświęcimia i Treblinki. Cały bułgarski naród, składający się głównie z chrześcijan i muzułmanów, odważnie sprzeciwił się rozkazom zbrodniarzy niemieckich. Gdy pomyślałem o gorliwości polskiego społeczeństwa w polowaniu na Żydów, to mi lzy stanęły w oczach i zacząłem szlochać niczym dziecko. Czy ten polski obłęd narodowy na punkcie Żydów jest nieuleczalny? Pamiętam, jak zabolalo mnie, gdy zaraz po końcu wojny prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński, w jednym z swoich apeli do Polaków powiedział: „Polska wtedy będzie wolna, gdy będzie wolna od Żydów”.

Gdy wojna się skończyła, mógł pan żyć nadal jako Bronisław Krawczyk, „katolik”?

Wprawdzie przez doświadczenia wojenne straciłem wiarę w bogów, ale to, co mnie przyciągnęło, by wrócić do żydostwa, to wspaniała szczodrość etyczna, ogólne dobro i brak nienawiści.

Zatem nie Bronisław, ale Baruch i Brian.

Imię Baruch dano mi po urodzeniu, po mojej babci (Brucha), matce mojej mamy. Zaraz po końcu wojny musiałem z Polski uciekać ze zrozumiałych powodów. Przeszmuglowałem się przez niemiecką granicę i w końcu znalazłem się w obozie dla dipisów³⁸ koło Frankfurtu nad Menem. Wstąpiłem na Uniwersytet Johanna Wolfganga Goethego we Frankfurcie i po pewnym czasie przyjąłem sobie nowe, po niemiecku brzmiące imię „Bruno”. Gdy zaś wyemigrowałem do Ameryki, dla wygody przysposobiłem sobie imię „Brian”.

Czy zechciałby pan opowiedzieć, choć pytam o to z wewnętrznym oporem, jakie były losy pana rodziny – rodziców i braci – po tym, jak musieliście opuścić Poznań?

Losy naszej rodziny były niesamowicie okrutne. Przeżyliśmy całą tęczę horrendalnych doświadczeń, tak z rąk Niemców, jak i Polaków. Ojciec i o trzy lata starszy brat Dadek (Dawid) polegli na Wolskiej 6 w Warszawie podczas powstania w sierpniu 1944 roku.

Mój o pięć lat młodszy brat Genio (Gerszon), bawiąc się z innymi żydowskimi dziećmi przed domem starców na ulicy Żydowskiej w Poznaniu, został tak silnie pobity przez żołnierzy SS w październiku 1939 roku, że wyładował w szpitalu miejskim. To polskie dzieci sprowadziły Niemców i wskazując na bawiące się żydowskie dzieci, krzyczały: „Jude, Jude”. Po dwóch tygodniach wyszedł ze szpitala całkowicie głuchy. Miał wtedy dziewięć lat. Jakim cudem Genio przeżył wojnę, nikt nie wie. Żyje dzisiaj w Marylandzie w „Hameryce”. Wyobraź sobie, że obronił doktorat po angielsku na prestiżowym George Washington University. Z żoną i córką żyją sobie jak u Pana Boga za piecem. I mimo że jest całkowicie głuchy, są szczęśliwi... Tylko w Ameryce!

Imię i nazwisko pana brata można znaleźć w Muzeum Powstania Warszawskiego.

Po kapitulacji Niemcy wysłali brata do obozu dla młodocianych jeńców wojennych, gdzie na trzy dni przed końcem wojny jego tak zwani współtowarzysze wydali

38 Potoczna nazwa tzw. *displaced persons*, jak alianci określali jeńców czy byłych więźniów obozów, których koniec wojny zastał poza ich państwem i którzy przed powrotem tam lub znalezieniem nowej ojczyzny trafiali do specjalnych obozów.

go Niemcom jako Żyda. Dzięki postawie niemieckiego komendanta obozu bratu udało się przeżyć wojnę i wrócić do Polski, skąd, niestety, musieliśmy wszyscy uciekać w trwodze o własne życie.

Mama z kolei podczas powstania została wywieziona do Pruszkowa, pod Warszawą, i stamtąd na przymusowe roboty do Naumburgu w Niemczech.

Kiedy pan poczuł, że znów ma dom?

W Ameryce łatwo się zdomowić i poczuć częścią społeczeństwa. Mieszkam w 25-piętrowym domu, w którym cztery razy do roku urządzone są przyjęcia dla wszystkich mieszkańców. Na ostatnim proszono, aby każdy sąsiad przyniósł jedzenie charakterystyczne dla kraju jego pochodzenia. Każdy stół miał dziesięć krzeseł i siedzieli tam przyjemnie uśmiechnięci ludzie z Polski, Rosji, Niemiec, Grecji, Hiszpanii, Argentyny, Brazylii, Syrii, Chin, Japonii, Korei ...

I mimo widocznych różnic wszyscy byli zaraźliwie przyjaźni. Czuję się obywatelem Ameryki, Polski i Izraela, ale jednak Ameryka jest moim domem – do niej pasuję. Co rano wychodzę na trzykwadransowy spacer z moim ośmiofuntowym, beżowym jorkiem i nie mogę się nadziwić, że przechodząc, obcy ludzie mówią mi „hallo” z uśmiechem.

Opowiadał pan o Zagładzie swoim dzieciom? Kiedy dowiedziały się, czym był Holokaust?

Doświadczylem tylu piramidalnych poniżeń, głównie ze strony Niemców, ale również Polaków, że wstydzę się o tym wspominać. A szczególnie moim dzieciom i wnukom. Czy mogłabyś powiedzieć swoim dzieciom, że – by uratować sobie życie – wskoczyłaś do latryny? Ja skoczyłem ...

Jak mogę powiedzieć swoim dzieciom, że Niemcy nazywali mnie w obozie „gówno”? „Hej, gówno, chodź tutaj, przynieś mi to, zrób tamto”. „Gówno” było moim imieniem, bo nazwiska wtedy nie miałem.

Masz jeszcze jakiegokolwiek pytania? Ja nie mam żadnych tajemnic. W moim wieku? Chętnie odpowiem na każde.

Poznań, lipiec–wrzesień 2012



Baruch Bergman w Warszawie. Zdjęcie drukujemy dzięki uprzejmości Rozmówcy.

Dziennik pamięci.

Rozmowa z Zwiem Steinitzem

Wuj Helmuta Steinitza, znakomity pianista, często grał na fortepianie w poznańskim mieszkaniu przy ulicy Kochanowskiego 4. Każdemu takiemu koncertowi sąsiedzi przysłuchiwali się na balkonach. Na dywanie siedział zasłuchany mały Helmut, urodzony w Poznaniu w 1927 roku. Dziś to wokół niego siadają młodszy, by słuchać opowieści. W październiku 1939 roku rodzina została, wraz z setkami innych, aresztowana przez niemiecką policję, wysiedlona i przetransportowana do Ostrowca Kieleckiego. Stamtąd Steinitzowie pojechali do Krakowa, gdzie brat matki miał dla nich pokój. Trafili do krakowskiego getta. Tam Helmut na zawsze utracił bliskich. Podczas selekcji wraz z matką, ojcem i bratem stali w tej samej kolejce do śmierci, a on, korzystając z sekundy nieuwagi nazisty, przeskoczył do innej grupy. Steinitzowie zginęli w Bełżcu. Helmut z getta trafił do obozu w Płaszowie, do Auschwitz, Buchenwaldu i Sachsenhausen. Po ocalańczym skoku przybrał imię Zwi (hebr. jeleń). Mieszka w Tel Awiwie.



Hermann i Salomea Steinitzowie, 1937 rok, w Poznaniu. Druk dzięki uprzejmości Z. Steinitza.



Zwi Steinitz (po prawej) z ojcem i bratem Rudolfem, w Poznaniu.
Druk dzięki uprzejmości Z. Steinitza.



Zwi Steinitz z żoną i synem, 1956 rok. Druk dzięki uprzejmości
Z. Steinitza.

Mówi pan, że miał wspaniałe dzieciństwo.

Wspaniałe dzieciństwo z kochającymi, wzorowymi rodzicami. I ciepły dom, „my home is my castle”, urządzone z gustem, w którym często wspólnie muzykowano i organizowano wieczory lekturowe³⁹.

Pamięta pan sąsiadów?

W ciągu ostatnich kilku lat w Poznaniu mieszkaliśmy przy ulicy Kochanowskiego 4, a w moim wczesnym dzieciństwie przy Szwajcarskiej. Pamiętam, że bawiłem się z dziećmi z sąsiedztwa. Była wśród nich dziewczyna, Iza Mornel, jej matka uczyła w szkole żydowskiej. Po przeprowadzce ten kontakt się urwał.

Uczył się pan w niemieckiej szkole im. Schillera (*Schillergymnasium*)⁴⁰.

Mój ojciec nauczał w tym gimnazjum angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Był bardzo lubianym nauczycielem i przeżyłem wspaniałe chwile podczas szkolnych przerw, będąc małym przyjacielem jego uczniów. Wszystko to zakończyło się, gdy ojciec z powodu żydowskiego pochodzenia musiał zostawić posadę i przeszedł w stan spoczynku. Po tym na przerwach zaczął się tworzyć żydowski kącik. W gimnazjum Schillera uczyło się w sumie mniej niż dziesięcioro żydowskich uczniów, ale mogli oni zamknąć rok szkolny 1938–1939.

Nie zostałem zaproszony na urodziny do żadnego niemieckiego znajomego ze szkoły. Nie doznałem innego, bardziej bezpośredniego przejawu antysemityzmu ze strony uczniów. Wszyscy nauczyciele znali mego ojca. Jeden z nich był nazistą, podczas jego lekcji czułem się niepewnie, trzech żydowskich uczniów krzywdził w nader wyszukany sposób. Ale był to w szkole odosobniony przypadek.

Dzielnicę żydowską znał pan powierzchownie. Ale rodzeństwo pana mamy prowadziło tam sklepy.

Od czasu do czasu mama składała im razem z nami wizytę. Niestety, nazwy ulic z tymi małymi żydowskimi sklepikami uleciały mi z pamięci. Bardziej zresztą interesował mnie wspaniały ratusz, dwa trykające się koziołki oraz piękne budynki przy placu Wolności.

39 Cf. Z. Steinitz, *Przed katastrofą: wspomnienia żydowskiego dziecka z Poznania*, przeł. i oprac. J. Kubiak, „Kronika Miasta Poznania” 2009, nr 1.

40 Budynek dzisiejszego VI Liceum Ogólnokształcącego przy ulicy Paderewskiego. Po I wojnie światowej Gimnazjum im. F. Schillera było przeznaczone dla mniejszości niemieckiej.

Bywał pan w synagodze?

Wychowałem się w zasymilowanej rodzinie i zwyczaje żydowskie nie były w niej praktykowane. W wielkiej synagodze byliśmy kilka razy z naszą matką: w święto Simchat Tora dla uczczenia Tory z flagami stawaliśmy w kręgu z innymi dziećmi⁴¹. Wrażenie robiły na mnie zdobienia w bożnicy, jej architektura miała w sobie coś symbolicznego. Nie pamiętam, bym w samej synagodze widział ortodoksyjnych, praktykujących Żydów, tylko czasami przy Starym Rynku, w pobliżu sklepów żydowskich. Co ciekawe, czarno odziani chasydscy Żydzi nie wzbudzali mego zainteresowania. Żyłem w zupełnie innym świecie.

W jakim języku mówiło się w pana domu?

Codziennym językiem w naszym domu był niemiecki, ojciec prawie w ogóle nie mówił po polsku, w przeciwieństwie do mojej mamy. Krąg przyjaciół rodziców składał się głównie z kolegów taty – nauczycieli z Gimnazjum im. Schillera i z ich żon. Te przyjaźnie ustały wraz z opuszczeniem szkoły przez ojca.

Jako dzieci mieliśmy polską opiekunkę, Wiktorię – złotą kobietę. Mieszkała z nami. Dopiero z racji podeszłego wieku musiała zostawić pracę. Była niemal częścią naszej rodziny, to rozstanie i dla Wiktorii, i dla mojej mamy było bardzo bolesne. Mieliśmy polską gosposię, Zosię, która także mieszkała z nami – kobieta o dobrym sercu i pięknej duszy. Moi rodzice pod drzewko bożonarodzeniowe także swoim pracownikom kładli prezenty. Wszystkiego tego doświadczyliśmy jako dzieci.

W przeciwieństwie do mojego brata – byłem maminsynkiem chętnie spędzającym czas w domu. Dużo czytałem, zwłaszcza interesowali mnie naukowcy, Amundsen, Nansen, ich biografie mnie zachwycaly. Także opowieści o Indianach. Mieliśmy fortepian, na którym grała głównie mama, Salomea, towarzyszył temu jej śpiew. Wtedy polubiłem Schuberta, Schumanna.

Mówił pan płynnie po polsku.

Uczyłem się go w szkole.

Z jakimi innymi elementami polskiej kultury się tam zapoznaliście?

W ramach zajęć muzycznych w szkole poznaliśmy wspaniałe koncerty Chopina, które zdobyły moje serce. Kocham je do dziś. Podobnie jak polski folklor.

41 Sukkot (Święto Namiotów) upamiętnia wyjście z Egiptu i wędrówkę do ziemi Kanaan. Ósmego i jednocześnie ostatniego dnia świętuje się Simchat Tora („Radość Tory”) – procesja z Torą siedmiokrotnie okrąża synagogę. Tego dnia możliwość dotknięcia świętej księgi judaizmu mają także dzieci.

Po emigracji w marcu 1946 roku nauczył się pan hebrajskiego.

Ale krąg nowych znajomych w kibucu składał się wyłącznie z przyjaciół niemieckojęzycznych. Moja żona, Regina, berlinianka, nie знаła ani słowa po hebrajsku⁴², z nią przez długi czas rozmawiałem po niemiecku. I tak język polski zatraciłem całkowicie. Prawdopodobnie kilkutygodniowy pobyt w Polsce oddałby mi moją polszczyznę. Z czytaniem jest prościej i ze zrozumieniem fragmentów zdań, ale nie umiem prowadzić rozmowy. Podczas moich dwóch wizyt w Poznaniu czułem wręcz wstyd, że jako były poznaniak nie potrafiłem mówić po polsku. Mój ojciec, jak już wspomniałem, uczył trzech języków: angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Studiował we Wrocławiu i w 1923 roku przyjął posadę w Gimnazjum im. Schillera. Mama rozmawiała z rodzeństwem po polsku, nigdy w innym języku. W tamtym czasie nie słyszałem jidysz czy hebrajskiego. Co dotknęło mnie do głębi – to wygnanie Żydów z Niemiec w 1938 roku. Niektórzy z nich znaleźli się w Poznaniu. Moi rodzice przyjęli matkę z małym chłopcem, którzy zostali z nami prawie rok, aż znaleźli rodzinę we Lwowie. Tragiczniejszy był los ludzi wziętych do szpitala żydowskiego.

Czy państwo coś dla nich robili?

Moja mama była im bardzo oddana i pomagała na wiele sposobów, także gromadząc zabawki. Jeśli się nie mylę, współpracowała z syjonistyczną Organizacją WIZO⁴³.

W Poznaniu przeżył pan dwanaście lat. Dość, by mieć ulubione miejsca.

Moją ulubioną cukiernię prowadziła rodzina Hirschlików⁴⁴, czasami odwiedzałem ją z rodzicami: panowała tam świetna atmosfera i podawano doskonale ciasto czekoladowe. Kino szczególnie mnie nie interesowało. Z przyjemnością zaś odwiedzaliśmy ogród zoologiczny, dokąd w niedzielę z moim bratem Rudolfem chodziliśmy słuchać koncertów na świeżym powietrzu, na scenie w parku.

Wrzesień 1939 roku był zwiastunem tragicznego końca rodziny Steinitzów.

W listopadzie 1939 roku wysiedlono nas z Poznania w ramach akcji germanizacyjnych.

42 Regina Steinitz urodziła się w 1930 roku w Berlinie, tam chodziła do żydowskiej szkoły dla dziewcząt. Po zakończeniu wojny osiadła w Palestynie.

43 Women's International Zionist Organization.

44 Mieściła się w nieistniejącej dziś kamienicy u zbiegu Maształarskiej i 23 Lutego.

Jak odnalazł się pan w Poznaniu po latach?

Pierwsza wizyta miała miejsce po niemal siedemdziesięciu latach i oczywiście towarzyszyły jej mieszane uczucia, wiązała się zresztą z kręceniem filmu. Nie miałem zielonego pojęcia, jak spotkam się z miastem mojego urodzenia. Przyjaciele z Freiburga przywieźli nas do Poznania samochodem. Droga dojazdowa była dla mnie zupełnie nieznana. Za „moich czasów” podróżowaliśmy pociągiem.

Dopiero kiedy dotarliśmy na plac Wolności, który tak często przemierzałem, poczułem się z powrotem w Poznaniu. Byliśmy zakwaterowani w Hotelu Rzymskim, nasze okna wychodziły na Bibliotekę Raczyńskich. Tak, miałem lzy w oczach. Kręcąc film, odwiedziliśmy dawne Gimnazjum Schillera, które nieco się zmieniło, i dom przy ulicy Kochanowskiego 4. Wszystkie pomieszczenia domu właśnie ekskluzywnie wyremontowano i, ku mojemu zaskoczeniu, miałem dostęp do naszego dawnego lokum.

Pewnego wieczoru poszliśmy na Stary Rynek: moja żona Regina, Ami, nasz syn, i nasi przyjaciele z Freiburga. Ulubiony Ratusz dobrze zachował się w mojej pamięci. Odnowione i pomalowane na jasne kolory kamieniczki wyglądały jak domki dla lalek. Nie byłem jednak tym Helmutem z czasów, gdy z mamą i Rudolfem przemierzaliśmy Rynek, idąc z wizytą do cioci.

Nagrywając film, pojechał pan też do Ostrowca, miejsca przesiedlenia, i później do Bełżca, trzeciego największego obozu śmierci, gdzie pana rodzina została zamordowana.

To była moja pierwsza wizyta w miejscu grozy i niewiarygodnego cierpienia. Bełżec zajmował mnie od długiego czasu, nieustannie. Ten obóz zagłady pozostawał stosunkowo mało znany i nie był odwiedzany przez tłumy. W muzeum wisi teraz moje rodzinne zdjęcie, rodzice i brat nie są już anonimowymi ofiarami. To osiągnąłem...

Napisał pan kilka książek autobiograficznych, m.in. *Als Junge durch die Hölle der Deportationen (As a Boy Through the Hell of the Holocaust: From Poznań, Through Warsaw, the Kraków Ghetto, Płaszów, Auschwitz, Buchenwald, Berlin-Haselhorst, Sachsenhausen, to Schwerin and Over Lübeck, Neustadt, Bergen-Belsen and Antwerp to Eretz-Israel, 1927–1946)*. Jako jedyny ze swojej rodziny przeżył pan piekło Zagłady: ucieczki, krakowskie getto, obóz w Płaszowie, życie więźnia, pracę w fabryce Siemens, marsz śmierci. O tym, jak mając piętnaście lat, stracił pan całą rodzinę, napisał pan dopiero po pięćdziesięciu latach, w 2000 roku. Kierowała panem potrzeba, by zrozumieć, by ocalić od zapomnienia? A może raczej był to rodzaj terapii?

Psychologiczne leczenie, które nagle stało się konieczne, dało mi po latach wystarczające duchowe siły, by spisać wspomnienia w języku hebrajskim, na 550 stronach,

i położyć mojej rodzinie kamień nagrobny. Nie powinni odpłynąć w zapomnienie, a moim obowiązkiem było spisać ich życie i czyny. To pragnienie żywiłem lata wcześniej, ale nie dorastałam jeszcze do zmierzenia się znów z tragiczną przeszłością. Rodzinie bez wątpienia zawdzięczam nie tylko przeżycie, ale i to, że pozostałem człowiekiem. Ich obraz towarzyszy mi od naszego tragicznego rozdzielenia w getcie krakowskim, w dniu moich urodzin, 1 czerwca 1942 roku, do dziś.

Od 2004 roku w Niemczech intensywnie obcuje pan z przeszłością w szkołach i miejscach pamięci.

Wspominam ofiary. Bo my, ocaleni, mówimy także w imieniu ofiar, które znikły bez śladu. Młodzież musi się dowiedzieć, że przodkowie popełnili straszliwe zbrodnie, musi wiedzieć, jak niebezpieczna jest dyktatura. To wieczne przypomnienie i ostrzeżenie dla dzisiejszej młodzieży w Niemczech.

Brał pan udział w trzech filmach dokumentalnych.

A teraz czekam na czwarty, na temat marszu śmierci z Sachsenhausen do Schwerina, przez jedenaście dni, od 21 kwietnia 1945 do 3 maja 1945 roku, dnia wyzwolenia. Widzę to jako swoje powołanie, jak długo zdrowie mi na to pozwala.

Czy po wojnie czuł się pan wolny?

Dyskusja o wolności wymagała czasu. Byłem doświadczonym więźniem, wolnym, ale wykorzenionym człowiekiem, na obcej ziemi, zupełnie sam, bez grosza, bez zajęcia. Odczuwałem chęć, by koniecznie wyemigrować do Palestyny, do ziemi dzieśięciu przykazań. Europa była dla mnie ziemią wroga, którą jak najszybciej chciałem opuścić, gdyż wszystko, co drogie, zostało mi tu zrabowane. Jeszcze w Auschwitz śniłem utopijny sen o emigracji. Cierpiałem z powodu mojego żydostwa i w konsekwencji chciałem wyemigrować do kraju, w którym ofiarowano narodowi żydowskiemu dzieśięć przykazań. Ale Anglia zaryglowała bramy Palestyny dla ocalałych, chciała nas wysłać z powrotem do miejsc utraconych, skradzionych nam. Nawet po wyzwoleniu nie miałem fundamentalnego prawa do wolności, o co zatroszczył się brytyjski rząd, który zignorował tragiczny los ocalałych. Za to bestialstwo Anglia musiała później słono zapłacić, ale mnie i tysiącom ocalałych pozostało szukać nielegalnych sposobów, by spełnić nasze marzenie o kraju, w którym czekało nas zresztą bardzo ciężkie życie. Aby zdobyć wolność, należy walczyć, ale nikt nie jest i nie może być absolutnie wolny. Wszystko ma swoje granice i w ich ramach człowiek może zmierzać do osiągnięcia upragnionego celu. Po wyzwoleniu nie byłem w stanie określić swojej przyszłości, byłem zbyt niedoświadczony, zbyt młody, zbyt sam, by ułożyć sobie życie w Ziemi Obiecanej.

Mieszkał pan przez trzy lata w Holandii, miał pan dobrą pracę w Aalsmeer, pracował pan na giełdzie kwiatowej. Później trafił pan do swego prawdziwego domu.

Pracowałem jako przedstawiciel handlujących tam ogrodników. Nie czułem się w Holandii jak w domu. Zdobyliśmy, co prawda, przyjaciół, ale nic nie łączyło nas z narodem holenderskim, który nie mógł dzielić naszego poczucia przynależności. Moja ojczyzna była w Izraelu i w żadnym innym kraju. Mimo że żyjemy tu w ciągłym zagrożeniu, życie za granicą oznaczałoby powrót do diaspory, a to klóci się z moimi uczuciami i sposobem myślenia. Nie chcę znowu być obcym wśród obcych. Już nigdy nie chcę żyć w innym kraju. Także nasze dzieci tu mieszkają i prowadzą życie pełne treści. Izrael to mały kraj. Dziewczyny i chłopcy odbywają służbę wojskową, związaną ze stałym zagrożeniem życia i wieczną troską o rodziców, ale ogromna większość rozumie, że nie mamy innego domu.

Lata po tym, jak opuścili państwo kibuc, przyjął pan stanowisko w firmie eksportowej, która handlowała z Europą produktami rolnymi. Pracował w dziale kwiatowym i z czasem także niemieccy klienci zaczęli odwiedzać lokalne centra ogrodnicze.

Ja jeden władałam w firmie niemieckim i dlatego musiałem towarzyszyć klientom z Niemiec. Tylko młodzi Niemcy, których nie podejrzewano o nazizm, mogli wtedy odwiedzać nasz kraj. Miałem dwa wyjścia: opuścić swoją pracę lub towarzyszyć niemieckim gościom. I postanowiłem pozostać, wszyscy widzieli mój numer na przedramieniu i o niego pytali. Byłem żonaty, z dwójką dzieci, więc miałem już poczucie odpowiedzialności jako mąż i ojciec. Wszystko to działo się w latach 60. i 70.

Zna pan wiersz Nelly Sachs: *By prześladowani nie stali się prześladowcami?*

Dobrze, że pani o to pyta. Byłem ofiarą Niemców, ale nigdy nie oskarżałem całego narodu za jego straszliwe zbrodnie. Nawet tuż po wyzwoleniu nie żywiłem nienawiści i nie pałam chęcią zemsty; były mi obce, nie leżały w mojej naturze. W Schwerinie po wyzwoleniu miałem ochotę się wykąpać, po latach zjeść przy stole posiłek i spać całą noc, jak człowiek, w łóżku. Schwerin został właśnie zajęty przez Amerykanów, nikt mnie nie zatrzymywał przed wdarciem się do jakiegoś mieszkania. Ale miałem przed oczyma wspomnienia, obraz moich rodziców, nie chciałam stać się jak naziści, chciałem pozostać człowiekiem, mimo wszystkiego, co przeżyłem.

Kolysanek słuchał pan zapewne po niemiecku, który był zarazem językiem matki i morderców. Wydarzenia wojenne oddaliły pana od niemczyzny.

Zgadza się, kołysanek słuchaliśmy po niemiecku. Mój język ojczysty należał także do morderców. Ale po I wojnie wiele osób żyło z nadzieją, że naród niemiecki nie będzie gotowy do drugiej krwawej wojny. Do tych naiwnych marzycieli należał również mój ojciec, co potwierdza nasza ostatnia wakacyjna podróż w sierpniu 1939 roku do Zaleszczyk... W środku wakacji szybko musieliśmy wracać do Poznania. Nie byliśmy jedyni. Do dziś zastanawiam się, jak to możliwe, że w czasach, gdy mówiono o wybuchu wojny, jechano na wakacje. Wielu Polaków ufało militarnej sile Polski i traktatowi z Anglią i Francją. Ale wiadomo, co miała pokazać przyszłość.

Pana syn, Ami, urodził się w listopadzie 1952 roku. W jakim języku z nim państwo rozmawiali?

Postanowiliśmy mówić z naszymi dziećmi tylko po hebrajsku i pozostaliśmy konsekwentni. Ami do dziś nie mówi po niemiecku, ale za to doskonale po hebrajsku i angielsku⁴⁵.

Ale ostatnio nierzadko bywa pan w Niemczech.

Moja pierwsza książka w języku niemieckim przyniosła mi zaproszenia do Niemiec, do szkół i miejsc pamięci, czasami trzy–cztery razy w roku. Żona i ja nawet sporo rozmawiamy teraz po niemiecku. Jest przejawem starości, że ludzie wracają do ojczystego języka. Tak jest z nami. Mamy już w Niemczech szeroki krąg przyjaciół, którzy pracują dla pamięci i przeciwko zapomnianiu, nie ma ich wielu, ale ich pracy nie należy lekceważyć, gdyż tylko ci, którzy mają poczucie odpowiedzialności, nie pozwolą na zapomnienie o mrocznych czasach.

Wielu pisarzy – jak Jehuda Amichaj, Jean Améry czy Paul Celan – zmieniło swoje nazwiska i imiona. Pan po ocaleniu przeniósł się do Palestyny i przybrał hebrajskie imię Zwi, co po hebrajsku znaczy „jeleń”.

Hebrajskie imię nadała mi przyjaciółka w obozie dla osób przeniesionych w Neustadt, po wyzwoleniu i krótko przed moim wyjazdem do ówczesnej Palestyny, w październiku 1945 roku. Imię Helmut wydawało jej się nazbyt niemieckie i brzmiało obco dla żydowskiego chłopca. Ona sama pochodziła z Wilna, dobrze mówiła po hebrajsku. Ja nie mówiłem i nie znałem imienia Zwi. Ponieważ wszystko, co niemieckie, chciałem zostawić za sobą, od razu zaakceptowałem to imię i z nim dostałem się do Brytyjskiego Mandatu Palestyny. Imię „Helmut” wróciło ponownie do moich niemieckich książek, ale tutaj, w kraju i w kibucu, znano mnie tylko

45 Ami Steinitz był m.in. kuratorem Izraela na Biennale w San Paulo i Ankarze.

jako Zwi Steinitza. I tak jest do dziś. W mojej hebrajskiej książce na stronie tytułowej nie widnieje imię „Helmut”. Także w paszporcie i dowodzie osobistym jestem Zwim Steinitzem.

lipiec–sierpień 2012

Oddzielne wejścia.

Rozmowa z Krystyną Piotrowską

Urodziłaś się w Zabrze. Mieszkasz i pracujesz w Warszawie. Po studiach w Krakowie studiowałaś grafikę na poznańskiej ASP. Czy właśnie w tym czasie po raz pierwszy zobaczyłaś gmach poznańskiej synagogi–pływalni przy Wronieckiej?

Do Poznania przyjechałam na studia w roku 1973. Miasta nie znałam. Synagoga w Poznaniu była obiektem dziwnym i niejednoznacznym, ale nie wyzwała we mnie żadnych uczuć i żadnych skojarzeń.

Wiedziałaś, że jesteś Żydówką?

Wiedziałam od dawna, wiedzieli o tym moi przyjaciele, ale ta świadomość nie miała prawie żadnego przełożenia na postrzeganie otaczającego mnie świata. Świat Żydów w Polsce kojarzył się z Zagładą i wykluczeniem, a ja nie odczuwałam potrzeby, aby się w niego wpisywać. Lubiłam jasną stronę życia.

Co zatem czerpałaś z tradycji żydowskiej?

Tylko to, co było ciekawe i egzotyczne na tle szarej komunistycznej rzeczywistości. Dopiero w środowisku pomarcowej emigracji żydowskiej w Szwecji odnalazłam się jako Żydówka. Po powrocie stamtąd, a przede wszystkim po śmierci mamy, która zabrała do grobu bolesną historię swojego żydowskiego pochodzenia, zważyłam się na mnie bagaż przeszłości.

W Lund, w Szwecji odnalazłaś „rodzinę”.

Nazywała się „emigranci marcowi”. Stanowiło ją kilkadziesiąt osób mniej więcej w tym samym wieku, o podobnej rodzinnej sytuacji, podobnych doświadczeniach życiowych. Najważniejsze dla nas jako nowych emigrantów było to, że spotkaliśmy

się z niezwykłą solidarnością i życzliwością, która pomogła nam przetrwać wiele trudnych chwil i która towarzyszy nam do dzisiaj. Słowo „Żyd” obracane było w niezliczonych dyskusjach na tysiące sposobów bez traumy i kompleksów. Naturalnie i po prostu. Poczułam się w tym środowisku doskonale.

Wróciłaś z emigracji do Polski i już ci to żydostwo zostało.

Czuję, że jestem częścią pewnego historycznego i kulturowego dziedzictwa. Niektóre sytuacje, szczególnie dotyczące przeszłości, dotyczą mnie niemal fizycznie. Mam poczucie że jestem winna świadectwo mojej żydowskiej rodzinie, która zginęła w Holokauście, a której moja mama się wyrzekła i zatarła wszelkie ślady świadczące o jej istnieniu.

Ale nie czujesz się przypisana do jednej identyfikacji.

Oczywiście, że nie. Mam też polską tożsamość. Najczęściej jednak każda z moich tożsamości uruchamia się, gdy muszę jej bronić przed schematami i nietolerancją.

Myślisz, że poznańską synagogę spotkał archetypiczny los dla żydowskiej kondycji w Polsce, los budynków i ludzi, którzy nie mają „niebieskich” oczu – nawiązując do tytułu jednego z twoich projektów, który zrobił na mnie ogromne wrażenie: „Oczy niebieskie – życie królewskie, oczy czarne – życie marne...”

Poznań był przed wojną jednym z najbardziej endeckich i antysemitycznych miast w Polsce. Jednocześnie bogatym i czystym. Powszechnie znana jest też gospodarność i pragmatyczność jego mieszkańców. W tych „okolicznościach przyrody” tak długo trwające upokorzenie poznańskiej synagogi, będące kontynuacją losu, który wyznaczyli jej Niemcy, staje się zrozumiałe... Nie do przecenienia jest umiejętność pływania, którą tak wielu poznaniaków zawdzięcza właśnie temu miejscu. W tym mój mąż. Że była to synagoga, dowiedział się jako dorosły człowiek. A Żydów w Poznaniu było i jest teraz jak na lekarstwo...

Katarzyna Kuczyńska-Koschany, która także uczyła się tam pływać, mówi o winie niezawinionej. Jest ona też udziałem twojego męża. Ale dziś już wiemy, próżno więc szukać alibi.

Oczywiście. „Niewinne oko nie istnieje”. Sami często nie jesteśmy bez grzechu. Powinniśmy zabierać głos, gdy otacza nas obojętność, zła świadomość lub brak świadomości.

Które działania artystyczne w przestrzeni poznańskiej synagogi szczególnie cenisz?

Znakomitą pracą, przewrotnie puentującą los synagogi, był hebrajski napis „Pływania”, wyświetlony na frontonie budynku przez Rafała Jakubowicza. Bardzo to cenię, bo preferuję prace z dystansem, bardziej skłaniające do myślenia niż działające na uczucia. Wydaje mi się, że najlepszy sposób, aby synagoga i związana z nią historia poznańskich Żydów nie zniknęła ze świadomości Poznania, to uruchomienie w niej ośrodka kulturalnego, z programem niepozwalającym zapomnieć o tym, że historia potrafi się powtarzać.

Projektowi Próżna – upamiętniającemu warszawskie getto – kuratorowałaś przez lata. W 2005 roku wypełniłaś puchem jedno z wnętrz opuszczonej kamienicy. W wywiadzie dla „Wysokich Obcasów” tłumaczyłaś, że puch był twoim pomysłem na pomnik Korczaka: „Wymyśliłam coś w rodzaju szklanego domu, w którego środku nieustannie krążyłby puch. To miało być nawiązanie i do domu, i do ciepła, i do Holocaustu. Pomysłu na konkurs nigdy nie zgłosiłam, ale puch jakoś mi zapadł w pamięć”. Masz taki niezrealizowany pomysł na działanie w poznańskiej synagodze?

Kiedy weszłam do synagogi, przy okazji wystawy podsumowującej działalność Galerii ON, uderzyła mnie obecność dwóch osobnych wejść, dla kobiet i mężczyzn. Prowadziły one do przebieralni. Skojarzenie z oddzieleniem części kobiecej i męskiej w synagogach narzucało się samo. Pomyślałam o pokazaniu dwóch podwójnych portretów kobiety i mężczyzny, różniących się nakryciami głowy. Jedna para to kobieta w peruce i mężczyzna w kipie na głowie. Głowy drugiej pary zdobią dwa pływackie czepki, stanowiące obowiązkowy ubiór użytkownika basenu. Krótka historia budynku z Wronieckiej.

Która z akcji przy Próżnej była dla ciebie szczególnie ważna, którą odebrałaś najbardziej osobiście i emocjonalnie?

Duże wrażenie zrobiła na mnie praca Kasi Krakowiak *Waga*. W stopień schodów wiodących do pokoju na piętrze zrujnowanej kamienicy wbudowana była niewidoczna dla widzów waga. Każdy musiał na nią wejść. Na tablicy wiszącej na ścianie pokoju można było obserwować zmieniającą się ogólną wagę zwiedzających wystawę ludzi. Wyświetlana w pewnym momencie masa ciał przekroczyła 75 ton. Praca prosta i wstrząsająca, jakże aktualna na wszelkich wojnach świata. I nie tylko.

„Pomiędzy książką o Umschlagplatzu Jarosława Marka Rymkiewicza a *Nocą żywych Żydów* Igora Ostachowicza, między rokiem 1988 a 2012, świadomość historii północnej dzielnicy Warszawy wzrosła wielokrotnie (choć równie uprawnione byłoby zdanie, iż ta świadomość w wielu przypadkach po prostu

wreszcie się pojawiała)” – tak poznańska badaczka Beata Przymuszała zaczęła tekst o Muranowie w polskiej literaturze najnowszej.

Część Warszawy, gdzie mieściło się duże getto, została prawie całkowicie zmieciona z powierzchni ziemi. Po wojnie powstały całe dzielnice, w których ludzie mieszkają na ruinach. Mam też od dawna pomysł na obnażenie tej przestrzeni, odkrycie jej warstw podziemnych. Chciałabym wykopać pionowy głęboki szyb o prostych ścianach. Szyb powinien być podświetlony od dołu, a widz–przechodzień stawałby na szklanej tafli zakrywającej go i miałby możliwość przestudiowania, obejrzenia „warstw geologicznych” terenu warszawskiego getta. Widoczny jest płaskowyz, który kryje zasypane ruiny getta. Myślę, że brak pamięci o przeszłości przedwojennej i wojennej miasta w Warszawie jest po prostu niemożliwy do zaakceptowania.

Poznań ma inną sytuację.

Bo zostało kilka miejsc kojarzących się z historią poznańskich Żydów, a i tak miasto nie chce pamiętać o tych nielicznych miejscach, które dopominają się o pamięć.

W krótkich filmikach *Joga* bohaterem jest twój brat – pracownik dużej firmy komputerowej, który regularnie ćwiczy jogę i chodzi do katolickiego kościoła. A jednak bywa, że przypomina mu się grubiańsko o tym, że miał matkę Żydówkę. Jak myślisz, skąd ta polska schizofrenia, która przypomina twojemu bratu, że jest Żydem, i jednocześnie każe zapomnieć o przeszłości budynku albo – mam wrażenie, gdy patrzę na jego wrak – nawet o samym budynku.

Nie tylko mój brat spotkał się z antysemicką postawą w Poznaniu. Ja również. Tyle że w jego wypadku komentarz na temat jego żydowskości wygłosił właściciel sklepu z deskami, a ja spotkałam się z antysemickimi komentarzami swobodnie wygłaszanymi przez przedstawicieli poznańskiej elity artystycznej i akademickiej. Kiedy zareagowałam i powiedziałam, że jestem Żydówką, zapadła cisza i potem usłyszałam pytanie, czy nie boję się takiego wyznania w Poznaniu. Zapytałam prowokacyjnie, czy mają zamiar donieść na mnie na gestapo.

Poculi się nieswojo, czegoś ich nauczyłaś?

Nie przypuszczam, żeby było im wstyd. Rozchodząc się, szepnęli mi na pocieszenie, że właściwie to oni nienawidzą Arabów. I cóż zrobić z takim wyznaniem? Ludzie o poglądach antysemickich nie kojarzą lub nie

chęć kojarzyć Żydów z konkretną religią, kulturą, dorobkiem intelektualnym. Ich niechęć jest irracjonalna, skierowana przeciwko szeroko pojętemu obcemu.

Synagoga w Poznaniu jest dla miasta symbolem obcego?

Arabowie to też obcy.

Nie chcę cię pytać o nazwiska żywych, którzy byli twoimi przewodnikami po zglądzonej świecie szteti. Chciałabym natomiast spytać o książki, które cię po tym świecie „narodu księgi” oprowadzały.

Właściwie wszystko, co się ukazuje w tak zwanym temacie żydowskim, staram się czytać. Bardzo interesują mnie pamiętniki i dzienniki pisane na gorąco w czasie wojny. Najpierw czytałam zapiski Adama Czerniakowa, potem *Spowiedź* Caleka Perechodnika, pamiętnik Dawida Rubinowicza, archiwum Emanuela Ringelbluma, dzienniki Anny Frank. Interesuje mnie zderzenie naszej wiedzy o Zagładzie z opisem przeżyć ludzi niemających szerszej świadomości tego, co się dzieje. Opisywali narastającą grozę, starali się wyciągać wnioski z biegu wydarzeń, zasłyszanych opinii, własnego doświadczenia, które nijak nie przystawało do ich sytuacji. Oczywiście, w tym kontekście zadają sobie pytanie, jaki przypadłby mi los, gdybym urodziła się o pokolenie wcześniej w religijnej rodzinie Żydów warszawskich, jaką była moja rodzina.

Paul Celan pisał do swojej nieżydowskiej przyjaciółki Brigitte Eisenreich: „Żydziej wreszcie”. Prosił tym samym o empatię, uwrażliwienie. Dziś podobna empatia szybko przechodzi w kicz, powierzchowną celebrowanie zainteresowania żydowskością, spłaszczanie. Nie drażni cię filosemityzm w takim wydaniu?

Mam przekonanie, że nawet najbardziej powierzchowny filosemityzm jest czymś dobrym, choćbyśmy zzymali się na jego kiczowatą formę i opaczne rozumienie tego, czym są kultura i religia żydowska. To dobry wstęp do pogłębiania wiedzy. Ważne jest, aby nasze relacje znormalniały, co niewątpliwie jako pozbawieni kompleksów Polacy i Żydzi jesteśmy w stanie osiągnąć.

Jak sama dokończyłabyś zdanie z twojej pracy: „Wyjechałam z Polski bo...” (2008). Nie żałujesz, że wróciłaś?

Ja w 1984 roku nie wyjechałam z Polski jako Żydówka. To były inne powody. Nie żałuję że wróciłam. Jestem w tej chwili na tyle silna, że konfrontacja z antysemityzmem dopinguje mnie raczej do działania. Widzę w Polsce

coraz więcej objawów szacunku i otwartości na różnorodność kulturową i etniczną. Jestem tym zachwycona i cieszę się, że mogę uczestniczyć w dobrych zmianach.

Poznań–Warszawa, styczeń 2014

A ty dlaczego nie śpiewasz?

Rozmowa z Katarzyną Kuczyńską-Koschany

Niemalże wszystkim rozmówcom zadają to samo pytanie: dlaczego zajęli się tematem Żydów?

Prywatną pobudką dla mnie był antysemityzm w rodzinie. Zgodnie z rozpoznaniem Marii Janion: albo jest się Żydówką/Żydem, albo takie zainteresowanie pojawia się jako reakcja na doświadczanie antysemityzmu gdzieś blisko. Długo sobie nie zdawałam sprawy, że można robić coś złego, nie zauważając braku Żydów. Całe dzieciństwo spotykałam się ze sformulowaniem: „porządni ludzie, ale Żydzi” (co opisał Tadeusz Mazowiecki), z tym że ich inny świat przypomina Cyganów. Bo przecież nie mówiło się: Romów. Taka enklawa. Wszystko było tajemnicą. Dlaczego mówi się w ten sposób, mimo że ich nie ma? – myślałam. Natknęłam się więc na równanie z samymi niewiadomymi. Jeszcze całe studia nie zwracałam na to uwagi, choć zawsze denerwował mnie każdy przejaw dyskryminacji, czasem przecież istniejący jako powszechna norma, akceptowana społecznie. Nie wiedziałam, do kogo miałabym pójść, co poczytać, pewnie zresztą niewiele było takich tekstów. I to jest dziwne, bo powinnam zainteresować się głębiej już przy *Weiserze Dawidku*. Po artykule Błońskiego. Denerwowałam się strasznie, gdy mój dziadek mówił, że ktoś zmienił nazwisko, by się przechrzczyć.

Ten dziadek dał ci na absolutorium słownik noblistów?

W 1994 roku – dobry prezent na koniec studiów, co? Szeptem konfesyjnym powiedział: „A ilu tam Żydów, dziecko”. Takie miał zmartwienie.

Na Skrzypku na dachu byłaś?

Byłam późno, nie od razu, i też usłyszałam w rodzinie, że jeśli to przedstawienie napisane według tekstu żydowskiego, nie może być dobre. Postponowanie, sugerowanie, że to, co żydowskie, jest drugiej kategorii, kazało mi zacząć szukać.

Po omacku.

Po omacku.

Kiedy ty – chętnie pływająca – zaczęłaś w strukturze dawniejszego Poznania dostrzegać jego obraz z synagogą zamiast pływalni?

To o wiele prostsze. Nas zawozili na Wroniecką ze szkołą – powszechna praktyka w końcu lat 70. To rodzaj hamartii, winy niezawinionej. Na Wronieckiej nie nauczyłam się zresztą pływać, co uważam za pierwszą i odruchową intuicję, że tam się nie da. I nie sądzę, że jakiegokolwiek dziecko weszło do synagogi i nie poczuło, że to dziwne miejsce. Szczególnie jeśli było na jakichś innych pływalniach. Ta przy Wronieckiej bardzo się od nich różniła, coś w niej było nie z tego świata.

Wydałaś właśnie książkę z cytatem z wiersza Cwietajewej w tytule: „Все поэты жиды”. Antytotalitarne gesty poetyckie i kreacyjne wobec Zagłady oraz innych doświadczeń granicznych. Czy zgodzisz się na formułę: budynek poznańskiej synagogi jest Żydem architektury?

Trzeba by się odwołać do tych wszystkich sformułowań, które stały się aforystycznymi wyrzutami sumienia naszej kultury.

Że obce słowa to Żydzi języka (Adorno), że wszyscy poeci to Żydy (Cwietajewa).

Zatem obce miejsca to także Żydzi. To, co prawda, nie brzmi dobrze, czujemy, że zostało przeniesienie ze świata literatury, z tych fraz Cwietajewej i Adorna.

Jak osadzić się w myśleniu o tym budynku? Sam środek miasta...

W naszym domu od dawna mówi się i pisze o synagodze. A ostatnio przejeżdżałam tam tramwajem z moim 14-letnim synem, który chce zostać architektem. I on pyta: „A co to za brzydki, zaniedbany budynek?”. Tyle mu wcześniej mówiliśmy: o *Marszu tyłem*, o synagodze–pływalni; nie przyswoił. Bo jest coś nieprzyswajalnego w tym budynku. Czy istnieje możliwość zmiany myślenia o nim? Nie jest powszechnym wyrzutem sumienia, bo inaczej nie wypisywano by na nim antysemickich hasel, nie zamalowano by tablicy z nazwą skweru rabina Akiby Egera. Zaczęłam myśleć, że to skandal. Ale to także skandalon w znaczeniu etymologicznym słowa. Greckie σκανδαλον – *skandalon* – oznacza ruchome siła, ruchomy kij lub spust pułapki, nie wiemy, że w nią wpadniemy, przeszkadza nam w przejściu. Francuzi mówią, gdy tłumaczą to słowo z greckiego, o *pierre d'achoppement*, my o potykaczku, Niemcy nazywają to stolpersteinem. Przejeżdżamy, przebiegamy i się potykamy o miejsce.

To budynek jako jeden z niewielu w Polsce jednocześnie żydowski i niemiecki. Przemysław Czapliński powiedział, że mamy – w sensie językowym – tylko żydowskie i ponemieckie mienie. Ale rzadko się zdarza, że to samo miejsce wchodzi w kompilację tych dwóch przypisań własności. I jeśli mam kontynuować tę metaforę rozstawionych pułapek i skandalonu, to powiedziałabym, że zastawiły je nazistowskie Niemcy, desakralizując miejsce. A my – choć ta bezwolność nie da się niczym wytłumaczyć – zostaliśmy wrzuceni w tę pułapkę, wpadliśmy w nią.

Przychodziłaś do synagogi wtedy, gdy precyzyjnie ułożono ze świeczek na wodzie gwiazdę Dawida. Często sztuka wchodzi w miejsce, którego nie może wypełnić żadna religia.

Nie da się przywrócić świętości w synagodze. Próba artystyczna Janusza Marciniaka zdarzyła się zamiast. W miejsce tego, co nieprzywracalne. Drugi raz znalazłam się w tłumie w synagodze–pływalni, gdy śpiewano żydowskie i chrześcijańskie pieśni religijne. Obok mnie stała nieznamiona pani, do dziś nie wiem, kim była. Kiedy śpiewano te żydowskie pieśni, spytała mnie: „A ty dlaczego nie śpiewasz?”. Przypomniało mi się zdanie z *Panien z wilka* Jarosława Iwaszkiewicza, „Dlaczego nie przechodzisz?“, które główny bohater, Wiktor Ruben, słyszy inaczej, niejako anamnetycznie, erotycznie, tak jak chce słyszeć: „Dlaczego nie przychodzisz?”. Spytała tak, jakby była pewna, że jestem Żydówką... To był dla mnie moment intuicyjnego utożsamienia, bez wpadnięcia w pułapkę filosemityzmu. Nie mogłam jej powiedzieć: nie śpiewam, bo nie umiem. Ona właściwie miała rację, to, że nie umiałam śpiewać pieśni, było wyłącznie moim brakiem.

Pisałaś w „Miasteczku Poznań” o żydowskich filmach wyświetlanych w synagodze, o *Dybuku*, o filmie na temat serników żydowskich w Izraelu i żydowskich śpiewach...

Było coś niezwykłego w tym, jak dwa płynne tworzywa – taśma filmowa i woda – się spotkały. Widzisz, moje spotkania w synagodze układają się w jakiś porządek. Najpierw zobaczyłam przy Wronieckiej gwiazdę Dawida, z szacunkiem ułożoną z żywego światła, potem nie śpiewałam, a później oni śpiewali za mnie.

Czy ten ptak kała gniado, co je kała,
Czy ten, co mówić o tym nie pozwala?

Czy ten żył za mnie, co nie zna mej winy,
Czy ów, co nawet zna onej przyczyny?

Na stronach 70-71 pocztówka ze zbiorów Michała Łukomskiego.

Posen

Kl. Gerberstraße



Synagoge



Nie kalając poznańskiego gniazda, wiele razy wracaliśmy jednak w rozmowach do tego budynku, który upada na naszych oczach, gdy tymczasem wielu innych poznaniaków zdaje się – eufemizm – umiarkowanie zażenowanymi. Masz poczucie, że w naszym mieście „obca bywa nawet pustka po Żydach” (sformułowanie Joanny Tokarskiej-Bakir)?

Mam. Ale mam też poczucie, że jednak zrobiliśmy krok do przodu. Już się potknęliśmy. Dlatego świetny jest ten wiersz Ryszarda Krynickiego *Miasto*, o którym to wierszu kiedyś usłyszałam, że jest niemoralny. On tymczasem jest niezwykle moralny. My się już potknęliśmy i już wiemy w zbiorowej świadomości, że tam nie może być pływalni.

Mam wrażenie, że tych, którzy się potknęli, jest tylu, co czytelników poezji, „będzie tych osób chyba dwie na tysiąc”...

Może masz rację, może to podobne złudzenie do tego, gdy w środowisku ludzi czytających mamy wrażenie, że czytają wszyscy, a później się okazuje, że poza tą wąską grupą właściwie nikt nie czyta.

Widziałaś budynek synagogi w Czerniowcach, przemienionej w kino–teatr. Jak o nią się potknęłaś? – będę kontynuować twoją metaforę.

A widzisz, w Czerniowcach się mniej potknęli, nie ma jeszcze tej świadomości. Nazwano budynek neologizmem: kinogoga, zaślaniając i jednocześnie – przez język – odsłaniając identyfikację tego miejsca. Bo samo miejsce jest skandalem w tym nowym, potocznym znaczeniu, a nowe słowo opisuje los takich budynków. My się potknęliśmy i już wiemy, że synagogi–pływalni nie moglibyśmy zmusić do „upublicznienia”. W Czerniowcach istnieją obok siebie synagogi: funkcjonująca i te niedziałające, w ruinie, te zaślonięte–przerobione, które biorą udział w procedurze niepamiętania. W kinogodze grano właśnie film *Romeo i Julia*.

Jest trudną rzeczą odziedziczyć coś, co zostało naruszone, zesakralizowane.

Łatwiej by było – oczywiście nie jestem za tym, żeby było łatwiej – gdyby to był sprofanowany budynek religii, która dla wszystkich jest oczywista. A tu najpierw trzeba wykonać pracę myślową i autoedukacyjną, że jak coś jest żydowskie i sprofanowane, to już na zawsze sprofanowane. Trzeba iść tyłem, żeby sobie uświadomić, skąd się wziął ten drugi testament. Że Jezus, gdyby się zgubił w świątyni – zgubiłby się w takiej świątyni. Że kultura żydowska też jest nasza, że nasze są Biblia hebrajska i Biblia chrześcijańska.

Jaką funkcję pełni, twoim zdaniem, dywiz w przekładzie Cwietajewej pióra Seweryna Pollaka: „ży-dowska dzielnica”?

W oryginale Cwietajewej nie ma dywizu w słowach „jewriejskij kwartał”, czyli „ży-dowskie dzielnice”, ale akurat tę intuicję Seweryna Pollaka uważam za bardzo trafną i po-Zagładową, świadczącą poza tym o wrażliwości.

Myślę, że to podobne do okrzyków kiboli. Jak kibole skandują przeciw innym kibolom, to dzielą słowo: Wi-dzew, Ży-dy! Jakoś tak by było... Niechęć, nie chcę powiedzieć „hańba domowa”, bo to sformułowanie ma w Polsce inne utrwalone znaczenie, ale niechęć, nienawiść domowa. Pseudokibice jednej drużyny nienawidzą tych, którzy kibicują drugiej, stosują inwektywy, a uparte skandowanie, dzielenie na prosty rytm wbijający się w głowę, w szalenie prosty sposób tworzy złudzenie więzi, wspólnoty.

Hitler to *terrible simplificateur* (jak go nazywał Carl Jakob Burckhardt) – okropny upraszczacz, wszystko symplifikował.

Jest w tym coś z okrzyków pogromowych.

Bo *Poemat kresu* jest niezwykle emocjonalny, zwłaszcza część, w której się pojawia opis żydowskich dzielnic i słowa dotyczące konieczności podzielenia przez każdego wrażliwego człowieka tego, co jest żydowskim losem. Cwietajewa pisała kilkanaście lat przed Zagładą. Jej wrażliwość mogła się budować na doświadczeniach czarnej sotni i pogromów. Ale też, po prostu, poeci wiedzą wcześniej...

Historię warszawskiego Muranowa odsłaniano w ostatnich latach gorliwie i – jak pisała Beata Przymuszała – świadomość północnej dzielnicy Warszawy „wzrosła wielokrotnie”. Myślisz, że niepamiętanie w Warszawie byłoby niebezpieczniejsze niż w Poznaniu?

Byłoby inne. W Warszawie wszędzie pełno tej pustki, całe dzielnice. A w Poznaniu, po pierwsze, społeczność żydowska była mniejsza, po drugie – nie było po wojnie Żydów, którzy mieliby wykonać pracę żaloby. Być może ona się dokonuje w najdziwniejszy z możliwych sposobów. W Warszawie mieszkają pogrobowcy getta, potomkowie, ci, którzy byli w getcie przez chwilę, zdołali się ukryć po tzw. aryjskiej stronie, ci, co podczas Zagłady byli dziećmi. Żyje też kolejne pokolenie. A w Poznaniu: wielka pustka, długotrwałe milczenie. I potem nagle ludzie, którzy zdecydowali, że trzeba tę adopcijną żalobę odbyć, żalobę przeciw temu, co nazistowskie, przeciw *Blut und Boden*, przeciw temu, co wcześniej współtworzyło pruskość. Kult pracy w Poznaniu nie był kultem pracy żaloby. I to może być szansa dla pamięci, czy raczej postpamięci: pamięć i żaloba osób, które się na to świadomie zdecydowały. To inny wybór, niż zostać w żalobę wpisanym, niż urodzenie

w jakiejś rodzinie lub religii. Połacie pamięci i połacie miasta w Warszawie. U nas, w Poznaniu: drobne punkty i adresy, które można by zaproponować, co się zresztą robi, choćby organizując spacer po żydowskim Poznaniu. Ale być może są to punkty świetlne.

Poznań, 7 stycznia 2014

Możliwe do odczytania.

Rozmowa z Wojciechem Wilczykiem

Jakie sygnały o zaniedbanej żydowskiej przeszłości wysyłała do pana okolica z lat szkolnych?

Urodziłem się w krakowskich Dębnikach i tam spędziłem pierwsze lata swojego życia. Była to dzielnica raczej zaniedbana, można powiedzieć, że w jakiś sposób peryferyjna, bo nie wybudowano wtedy jeszcze mostu Grunwaldzkiego, który łączy ją teraz z Kazimierzem. Przecięta zabudowa tego miejsca, zwykle parterowa lub dwukondygnacyjna, oraz peryferyjna topografia wysyłały jednak w moją stronę jakieś sygnały. Wtedy ich nie rozumiałem, ale je dobrze zapamiętałem. Tak się złożyło, że miejsca – czy przede wszystkim domy – na które zwracałem uwagę jako dziecko, były w jakiś dziwny i tajemniczy sposób inne. Podczas pracy nad książką *Niewinne oko nie istnieje*, kiedy szukałem w Krakowie żydowskich domów modlitwy, zorientowałem się, że wspomniane obiekty najprawdopodobniej musiały być przed 1939 rokiem własnością żydowską. A więc nawet taka peryferyjna i mało spektakularna zabudowa krakowskich Dębnik zawierała informacje możliwe do odczytania...

W synagodze w Opocznie mieściło się kino Tęcza, w Chełmie – restauracja w stylu kowbojskim. W przedsionku synagogi w Dąbrowie Tarnowskiej, przy ulicy Berka Joselewicza, modlili się po wojnie ocaleni Żydzi, a dziś ulega ona dewastacji. Przynajmniej tak było w 2010 roku, kiedy po raz pierwszy czytałam i oglądałam pana album *Niewinne oko nie istnieje*. Czy śledził pan późniejszy los byłych synagog i domów modlitwy, czy po wydaniu pana publikacji (albo z jej powodu) los dla któregoś z tych miejsc zaczął się odmieniać?

Nie przypuszczam, żeby jakiegokolwiek prace renowacyjne miały związek z publikacją *Niewinnego oka*. Procesy decyzyjne zapadają tu chyba na zupełnie innym poziomie. Chociaż książka miała dwa wydania, to łączny nakład nie przekroczył dwóch tysięcy egzemplarzy... Nie jest to więc siła rażenia tygodnika opinii. Czasem docierają do mnie informacje o dalszych losach tych budynków, dzięki komenta-

rzom pojawiającym się na moim blogu. Czasem, jadąc samochodem, nadkładam drogi, żeby zobaczyć, jak się miewa sfotografowana synagoga. Tak więc np. wiem, że Książu Wielkim dach się niedługo zawali, że w Nowym Korczynie się zawalił (budynek ostatnio odnowiono, jednak bez rekonstrukcji dachu), że w Szydłowcu w domu modlitwy przy dawnej garbarni nie działa już Jerycho Pub, lecz dom kultury, że synagoga w Wolsztynie spłonęła (budynek ten stał w pierzei ulicznej i spalił się „bezsłatnie” dla sąsiadujących domów...). W sieci widziałem zdjęcia pięknie odrestaurowanych obiektów w Dąbrowie Tarnowskiej, w Ostrowie Wielkopolskim i Wielkich Oczach. Może dobrym pomysłem byłoby powtórne sfotografowanie tych wszystkich budynków po dziesięciu latach od publikacji albumu, byłby to ciekawy – jak myślę – eksperyment, a zarazem rodzaj bilansu.

Jakieś szczególne wspomnienia zostały panu z fotografowania budynku przy Wronieckiej w Poznaniu?

Do książki weszło zdjęcie fasady ze śladami po zdjętym chwilę wcześniej napisie PŁYWAŁNIA MIEJSKA. Ale gdybym teraz decydował o wyborze, to wziąłbym raczej kadr, na którym widać ścianę wschodnią synagogi i zlokalizowany tam wtedy, dość upiorny w wyglądzie, parking strzeżony. Miejsce ogrodzone zardzewiałą siatką, oczywiście z budką strażnika i szlabanem ...



Fot. Wojciech Wilczyk.

Wspomina pan, jak w Gniewoszowie komendant straży pożarnej zakrzykiwał: „Nic tu pan nie znaajdzie”. Co pan znalazł dla siebie podczas pracy nad fotografowaniem dawnych żydowskich budynków modlitewnych i synagog, szukając ich śladów?

Podczas pracy nad projektem zacząłem czytać sporo literatury poświęconej nie tylko architekturze obiektów kultowych judaizmu i historii polskich synagog, ale też teksty analizujące zjawisko antysemityzmu w Europie oraz relacje polsko-żydowskie. I czytając świetną książkę Anny Wolff-Powęskiej *A bliźniego swego... Kościoły w Niemczech wobec „problemu żydowskiego”*, natknąłem się na przytaczane przez autorkę fragmenty antysemickich wypowiedzi i manifestów działaczy ruchu volkistowskiego, które do zdumienia przypominały całkiem współczesne tyrady rodzimych przedstawicieli katoprawicy, tyle że wymierzone w osoby o orientacji homoseksualnej. I to było jak niespodziewane uderzenie w twarz: mechanizm wykluczania kogoś ze społeczności, napiętnowania i odhumanizowania jest w obu przypadkach dokładnie taki sam.

Życie po życiu którego ze sfotografowanych obiektów zdało się panu najsmutniejsze?

Trudno wybrać tutaj jednego reprezentanta. Podczas pracy nad *Niewinnym okiem* wygląd tych budynków najpierw wprawiał mnie w zdumienie, bo przeróżnych adaptacji i przebudów dokonywano zwykle „systemem gospodarczym”, w kiczowatej stylistyce typowej dla rodzimego prowincjonalnego budownictwa. Po kilkunastu miesiącach działania dopadło mnie jednak przygnębienie, ponieważ z otoczenia tych obiektów, z kontekstu ich lokalizacji zaczęła do mnie coraz mocniej przemawiać historia ludzi, którzy je wzniesli, modlili się w ich wnętrzach i których wymordowano w ramach *Endlösung der Judenfrage*. Jakoś pod koniec pracy zahaczyłem o Treblinkę i idąc przez teren byłego obozu, tam, gdzie na betonowej pokrywie grobów (zabezpieczającej miejsca pochówku przed „poszukiwaczami złota”) ustawiono granitowe głazy na kształt cmentarnych macew, zacząłem czytać umieszczone na nich nazwy miejscowości. I były to zwykle miejsca, które już odwiedziłem w poszukiwaniu budynków synagog. To mnie zmroziło. Puste i zaniedbane miejsca, które dostrzegąłem w polskim krajobrazie, przestały mieć dla mnie charakter anonimowy.

Wspomina pan, że chodząc po dawnych dzielnicach żydowskich rodzinnego Krakowa, uświadomił sobie wizualne paralele z najwcześniejszymi wspomnieniami. Wiele domów przy ulicy Różanej ozdabiały tabliczki z napisem MZBM (Miejski Zarząd Budynków Mieszkalnych) i ZBM (Zarząd Budynków Mieszkalnych). „Chociaż rodzice wyjaśniali mi sens tych skrótów, długo nie wiedziałem, co tak naprawdę oznaczają. Podczas zbierania dokumentacji do opisów

synagog znalazłem informację o prywatnym domu modlitwy, który mieścił się w kamienicy przy Rynku Dębnickim”. W pana książce znajduje się niemal trzydzieści obiektów z Krakowa. Ma pan wrażenie, że to najbardziej oswojone ze swoją żydowską przeszłością i teraźniejszością polskie miasto?

Nie wiem, jak jest do końca z tym oswojeniem, ale to chyba jednak kwestia ostatnich kilkunastu lat. Jeżeli weźmiemy do ręki dość znany album Henryka Hermanowicza *Kraków. Cztery pory roku*, wydany po raz pierwszy pod koniec lat 50. XX wieku, to nie zobaczymy w nim zdjęcia żadnej kazimierskiej synagogi... A jest to bestseller, mający sześć wydań i wielotysięczny nakład. Żydowskie zabytki Kazimierza nie istnieją też we wznawianej wielokrotnie *Sztuce Krakowa* Tadeusza Dobrowolskiego. To prawda, że zespół synagogałny przetrwał niemiecką okupację w niewiele uszczuplonym stanie liczbowym, ale trzeba też pamiętać o Synagodze na Górcie (stojącej na końcu ulicy Szerokiej, tuż obok Starej Synagogi), którą krakowianie rozebrali w czasie okupacji, zainspirowani krążącą plotką, że w murach tego obiektu ukryte jest złoto. No i o tym niekoniecznie się pamięta. Pewne zmiany zaczęły następować pod koniec lat 80., kiedy wystartował Festiwal Kultury Żydowskiej, czemu towarzyszyły wystawy fotograficzne i publikacje, a sama impreza, której od początku szefuje Janusz Makuch, miała wtedy też bardziej edukacyjny charakter. Dla mnie ważnym doświadczeniem była wystawa *Świat przed katastrofą. Żydzi krakowscy w dwudziestoleciu międzywojennym*, pokazywana w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie w 2007 roku. Byłem wtedy w trakcie realizacji *Niewinnego oka*, więc niejako w temacie, a jednak zaskoczyły mnie prezentowane tam zdjęcia budynków, które dobrze znałem z widzenia, ale nie wiedziałem, że były przed wojną własnością różnych żydowskich organizacji, stowarzyszeń czy fundacji.

Zdaniem Aliny Calej antysemityzm „nie jest [...] przypadłością dziedziczną”, to „rodzaj paranoidalnej wizji rzeczywistości, objawiającej się obsesyjnym skupieniem na koncepcji Żyda zbiorowego, postrzeganego nie jako osobowość, lecz mityczna grupa, niezróżnicowana i działająca celowo, nawet nieświadomie”. Czego nowego o polskim antysemityzmie nauczyła pana praca nad *Niewinnym okiem*?

Mocno mnie zdziwiła żywotność antysemickich stereotypów funkcjonujących na poziomie potocznego języka, które ich użytkownicy chyba odziedziczyli po antenatach. Dało to znać o sobie podczas rozmów z lokalsami, jakie miałem okazję odbyć podczas robienia zdjęć (nigdy sam nie rozpoczynałem tych konwersacji). Dlatego też w pewnym momencie zdecydowałem się spisywać te dialogi i włączyć później do książki, jako rodzaj komentarzy świadków moich poczynań. Czytając wtedy dość intensywnie – jak już wspominałem – literaturę poświęconą antysemityzmowi, zdałem sobie też sprawę z istotnej roli Kościoła katolickiego w przypadku kształtowania tej „paranoidalnej wizji rzeczywistości”. Wystarczy przeczytać

nienawistne artykuły z okołokościelnych gazet z dwudziestolecia międzywojennego cytowane w książce Rolanda Modrasa *Kościół katolicki i antysemityzm w Polsce w latach 1933–1939*, której publikacja została zresztą zupełnie zignorowana (jedyna recenzja tej pracy ukazała się „Tygodniku Powszechnym”).

Rafał Jakubowicz powiedział mi przy okazji pracy nad książką o synagodze: „Warto zobaczyć cykl fotografii Wilczyka, by zdać sobie sprawę ze skali zjawiska. Niewiedza nie zwalnia z poczucia odpowiedzialności”. A Łukasz Baksik pytany, czy – podobnie jak pan – spotykał się z przejawami agresji, odpowiedział: „Mam trochę inne doświadczenia niż Wojtek. Moje rozmowy miały inny charakter, bo bardzo często przecież wchodziłem na czyjeś podwórko. [...] Częściej mówię o tych rzeczach pozytywnych niż negatywnych, choć pewnie było ich tyle samo”. Pana projekt wracał w niemal wszystkich rozmowach, jakie przeprowadziłam. A jakie są pana punkty odniesienia – prace artystyczne, naukowe, które dotyczą wypartej przeszłości żydowskiej, nie tylko w Polsce?

Prawdę mówiąc, realizując *Niewinne oko*, nie myślałem o innych projektach... Zacząłem szukać podobnych przedsięwzięć dopiero wtedy, gdy robota była już skończona, wystawa otwarta i książka wydana. Tak trafiłem np. na album Dirka Reinarta *Deathly Still. Pictures of Concentration Camps* z minimalistycznymi fotografiami niemieckich obozów koncentracyjnych i ośrodków zagłady, wykonane w latach 1987–1993 przez fotografa z RFN. Prawdziwy unikat! Ale już na początku pracy, kiedy jesienią 2006 roku fotografowałem synagogi w Żarkach, Działoszycach, Wolbromiu i Zawierciu, miałem przeświadczenie, że zdjęcia powinny być – jak dalece to możliwe – werystyczne.

Podczas samego procesu fotografowania zdarzają się momenty działania czysto intuicyjnego?

Owszem, ale nie zawsze dobrze się to przekłada na jakość zarejestrowanego materiału. Trzeba pracować precyzyjnie, więc do odlotów o parareligijnym charakterze podchodzę ze sporym dystansem.

Kraków–Poznań, 2013

Nie chcę być aptekarzem słów.

Rozmowa ze Zbigniewem Pakułą

Pan potrafi wskazać ślady po mezuzach na poznańskich kamienicach.

Świata, który pani przywołuje, nie ma od ponad siedemdziesięciu lat. Ale są w Poznaniu osoby, którym nie brakuje pewności siebie, gdy mówią: żydowski świat można wskrzesić. To bajki, mrzonki. Ja mogę jedynie wskazać na ślady, zamazane, ulotne. Czasem to przedmioty, a częściej mikrohistorie, opowieści.

Poproszony o spacer dawnym żydowskim Poznaniem, którędy wytyczyłby pan drogę?

Taki turystyczny produkt „spacer po żydowskim Poznaniu” miałby w końcu swoje walory edukacyjne i turystyczne. Ale nie wszyscy muszą mieć nań apetyt. Raczej należą do tych, którzy za długo jedli toksyczne potrawy i nie potrafią się już bawić na podwórku pamięci. Ale też nie przekreślam tęsknoty innych za światem rabinów, za żydowskimi świętami, kuchnią z cymesem i gefiltefis�, mezuzami na framugach drzwi. Tylko że to sentymenty. Nie ma i nie będzie tego świata w Poznaniu. Jest natomiast miejsce na inspiracje żydowskim dziedzictwem, ale też pewnie na kiczowate jego podróbki. Na żydowski butik, obrażający pamięć.

Bałuty, Nalewki, rewitalizowane dzielnice żydowskie w Krakowie, we Wrocławiu, w Lublinie. Dlaczego wiemy o nich więcej niż o żydowskiej przeszłości Poznania?

Żydowska społeczność przed wojną była w Poznaniu nieliczna. Ile z niej mogło przeżyć? Dwieście–trzysta osób. Zbyt mało, by mogli zaznaczyć tu po wojnie swoją obecność, zbyt mało, by mogli na miasto oddziaływać z perspektywy swoich nowych ojczyzn. Nić ciągłości została na zawsze przerwana. Nie odwróci tego stanu rzeczy skromna, kilkusobowa społeczność żydowska, przyznająca się do swojej tożsamości dopiero od jakichś piętnastu lat, a żyjąca obecnie w Poznaniu. To powojenni przybysze z różnych stron Polski. Czy można więc mówić

o odrodzeniu żydowskiego życia? Chyba nie, raczej o pojawieniu się niezwyklego korowodu postaci, krążących po Poznaniu, tych pół-Żydów, ćwierć-Żydów i nie-Żydów. Ich obecność to niezwykle interesujące zjawisko, podobnie jak reakcja poznaniaków na ich pojawienie się w przestrzeni miasta. Ale czy ta nowa koegzystencja, budząca często ogromne zdumienie i wątpliwości, jest podstawą do nadziei i optymizmu? Czy jest zapowiedzią powrotu? Nie, tamten świat przestał istnieć. Możemy jedynie za nim tęsknić. Rafael Scharf mawiał, że chociaż bramy raju są dla nas zamknięte, to „nie zwalnia to nas z przywileju stukania do nich”. Więc stukamy, jak umiemy.

Poznań przypomina pęknięte naczynie.

Mogę pochylić się nad tymi skorupami, wskazać ślady jego dawnych mieszkańców, rozsiane po całym mieście. Od śladu po mezuzie po nazwiska żydowskich dzieci uczących się w poznańskich szkołach. Większość z nich zginęła w krematoriach. Teraz miasto zaludniają ich cienie. W tym sensie żydowscy mieszkańcy miasta nas nie opuścili, a my mieszkamy na cmentarzu. W języku hebrajskim nazywanym *beit chaim*. Dom życia. A jednak życia!

Stolperstein, kamień potykacz, kamień pamięci – tak nazwał niemiecki artysta Gunter Demnig pomniki ofiar nazizmu, wmontowane w bruk betonowe kostki z tabliczką, na której wyryto nazwisko upamiętnionej osoby, daty jej urodzin i śmierci oraz notę o jej losie. Jak reaguje pan na taki sposób zachowania w mieście pamięci o jego byłych mieszkańcach?

Szanuję ten pomysł i jednocześnie podzielam wątpliwości jego przeciwników. Wokół jego koncepcji toczyła się w Monachium długa debata, gdy w 2004 roku rada miasta nie udzieliła zgody na instalowanie kostek z tabliczką. Zastrzeżenie budził fakt deptania po nich, zamiast oddawania szacunku tym, których śmierć te znaki pamięci miały uczcić. Z drugiej jednak strony interesujące jest, że projekt Demniga odwołuje się do codzienności, a nie do patosu pomników i tablic pamiątkowych. Przywołuje nazwiska mieszkańców, zwyczajnych sąsiadów. Zginęli, nie mają tu grobów, jedynie tabliczka z ich imieniem i nazwiskiem może przypomnieć nam o prześladowanych. Ciekawe, że wśród tabliczek na ulicach Berlina są takie, które zawierają poznańskie nazwiska. Urodzonych nad Wartą przywołuje się w miejscu, do którego zawędrowali, szukając życiowej pomyślności. Jeden Stolperstein kosztuje blisko sto euro, gdyby miał to być kamień instalowany przez samego Demniga. Ciekawe, ile osób byłoby gotowych sponsorować ich instalacje w Poznaniu?

Gdzie wmontowałby pan w bruk pierwsze trzy tabliczki? Do kogo by należały?

Miałbym dokonać wyboru wśród tysięcy zamordowanych poznaniaków? To nie wydaje się możliwe. A jednak, Demnig miał pomysł: trzeba wzbudzić w sobie chęć poznania dawnych żydowskich mieszkańców miasta. Gdy nazwisko przestaje być anonimowe, łatwiej podjąć decyzję. Oddałbym hold tym poznaniakom, o których opowiadały mi w Izraelu ich ocalałe dzieci. Czasem tak sugestywnie, że stali się moimi sąsiadami. Jak mógłbym teraz o nich zapomnieć!

A zatem – z kim pan najbliższej sąsiaduje?

W piątkowy wieczór nie znajdę w Poznaniu sąsiadów, u których paliłaby się szabasowa świeca. Nie spotkam mężczyzn wracających z synagogi do domu przed zmrokiem. Mówimy więc tylko o pamięci. Znajduję w niej miejsce dla wielu postaci. Idy Milewicz i jej męża Shaloma. Chodzę z nimi kibucowymi alejkami i słucham, z jaką dumą opowiadają o swoich wnukach. Jak wspominają Amosa Oza, który w kibucu miał wieczór autorski. Słucham Shaloma, gdy opowiada o swoich wykładach w Jerozolimie i nie ukrywa dumy z własnego kraju. Zaglądam do Heńka Kronenberga, który mieszkał na Wildzie, a teraz przy la Guardia. Do Firy Sochaczewskiej, której mąż, Mendel, przed śmiercią zdążył upamiętnić swoich bliskich z miasteczka Żuromin. „Co to za drzewko?” – zapytam Firy, patrząc na obrazek, który wygląda, jakby go namalowało dziecko. To dzieło Mendla. „Załóż okulary, to zrozumiesz”. Więc robię to, co każe Fira, i wtedy na każdym drobnym namalowanym listku dostrzegam wyryte imię lub nazwisko. Mendel, który w Auschwitz pracował przy krematoriach, widział, czym jest piekło. Chodził wciąż w piątek do synagogi w Ramat Gan, szukając pocieszenia po stracie swoich rodziców i licznych braci. Aż w końcu namalował to drzewo. Pamiętam, jak w zwykły dzień wyruszał z Firą do ich „interesu”. Wciąż do nich zachodzę, by kupić torebkę, której już dzisiaj nikt nie nosi, szal, którego dzisiaj już nikt nie założy, krawat pamiętający lata 50. Byli jednymi z ostatnich, którzy tak handlowali w Ramat Gan. Trzymali się życia. A Fira nigdy nie zrealizowała swojego marzenia, by zajrzeć do Poznania. Gdy z niego wyjechała, znalazła się w łódzkim getcie, potem w Auschwitz, Bergen Belsen, następnie w Szwecji, z której wyjechała do Izraela. Czy pan wie, że ja z nimi nie spaceruję po Poznaniu?

Dzięki nim i pamięci wędruje pan do Izraela?

Codziennie. Jestem z nimi w ich kraju. Siedzę na ławce w kibucu u Madzi Auerbach; jem humus z Noachem w tej małej knajpce, obok kantoru, na placyku za bramą króla Dawida; z Jurkiem oglądam wystawę opowiadającą o powstaniu Tel Awiwu. Z Anną z ulicy Mickiewicza oglądam park

Rothschilda, bo to przecież jedna z największych atrakcji Rishon le Zion. Tak to się w mojej głowie ułożyło. Dla mnie zawsze najbardziej interesujące było ich życie w Izraelu. Ich trudne życie pionierów i ich duma z bycia w kraju.

Pracował pan przez kilkanaście miesięcy w muzeum byłego obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem.

To przejmujące doświadczenie.

Tam powstał pierwszy w Polsce obóz zagłady.

Pierwszy i najdłużej działający. Miesiącami, o różnych porach, spacerowałem po polanach lasu rzuchowskiego. Po kilku tygodniach dostrzegłem ten inny odcień trawy rosnącej na powierzchni zasypanych dołów, wypełnionych popiołami ofiar. Ślad Zagłady. Przywołam jeszcze scenę z filmu Claude'a Lanzmanna *Shoah*. Występuje w niej Szymon Srebrnik, ocalony trzynastoletni więzień Chełmna. Szymon w filmie wraca do miejsca zbrodni i do miejsca pracy – tu czyścił zęby z resztek ciała, wyrywane wcześniej zamordowanym. Teraz jest tu spokojnie i sielsko. Nagle, spacerując, Srebrnik zatrzymuje się i mówi: „To było tutaj”. Tylko on dostrzega ślady zbrodni w miejscu, które coraz bardziej staje się własnością przyrody.

Właśnie Lanzmann jest autorem często cytowanego zdania o zmaganiu się ze „śladami śladów po śladach”.

To trafne spostrzeżenie. Zrozumiałe dla tych, którzy szukają *śladów* i chcą je dostrzec. A dla większości nie jest to takie oczywiste. Miejsca w Chełmnie i lesie rzuchowskim to przecież największy żydowski cmentarz w Wielkopolsce. Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, jak bardzo jesteśmy od niego odwrócenii? Czy wie pani, że od kilku lat nie przyjechała tu z Poznania żadna grupa szkolnej młodzieży? Nie tak dawno, mniej niż dwadzieścia lat temu, funkcjonowała tu jeszcze spółdzielnia rolnicza, prowadzono skup żywca, handlowano nawozami. To zbezczeszczonej ziemia. Dla Wielkopolan wyrzut sumienia.

Jakimi drogami dochodził pan do prawdy o Zagładzie Żydów oraz ich obecności w Poznaniu?

To znaczy, że pyta pani o nieobecność tematu Zagłady w moim życiu. Gdy się pojawił, miałem osiemnaście lat. Czytaliśmy utwory Borowskiego i Nałkowskiej, a po lekcjach cieszyliśmy się swoją młodością. Nie potrafiłem tego skleić. Mieszkałem w małym miasteczku. Na studia wyjechałem. Byłem jeszcze studentem, gdy kiedyś, odwiedzając rodziców, zapytałem: „Mamo, kto przed

wojną mieszkał w domu, na który z okien naszego mieszkania spoglądałem codziennie, przez całe swoje dzieciństwo?”. „To była synagoga”, odpowiedziała. „Tu mieszkali Żydzi? Co się z nimi stało?”. Nie usłyszałem odpowiedzi – wtedy, czterdzieści lat temu. Zaczęliśmy rozmawiać dopiero kilka lat przed jej śmiercią. O tym, dlaczego jej bracia zmienili w roku 1945 nazwisko. O cukiernicy od zakochanego w niej żydowskiego chłopca. Gdy rozmawialiśmy, miała blisko dziewięćdziesiąt lat. Kiedy pytałem, oboje wiedzieliśmy, że jest już za późno. Powiedziała jedynie: weź cukiernicę, dbaj o nią.

Jak nazywa się pana rodzinne miasto? Dowiadywał się pan później, jak wyglądała owa synagoga i co dokładnie się z nią stało?

Nowy Tomyśl nie jest rodzinnym miastem mamy. Urodziła się w Brodach i Galicja jest jej ojczyzną. Natomiast synagoga w Nowym Tomyślu została przebudowana po wojnie, przez lata były w niej biura, teraz mieści się w jej wnętrzu market odzieżowy. Ze świadomości mojego pokolenia właściwa funkcja budynku została całkowicie wymazana. W szkole na wielonarodową historię miasta nie było miejsca. Milczeli także dorośli. Ale lata mijają i w ubiegłym roku zauważyłem w Święto Zmarłych pierwsze palące się przy byłej synagodze lampki.

W tamtych latach pojęcie „rodzinne miasto” oznaczało dla mnie tylko miejsce, które trzeba opuścić. A krainą, ku której się zwracałem, była Galicja i Kraków. Czulem, że dzięki mamie mam paszport do tego miejsca, prawo do czucia się także obywatelem południowej Polski. Nie było to trudne, bo żyła siostra mamy, mieszkająca przy Urzędniczej, a na Kazimierzu, przy Bożego Ciała, mieszkały bardzo stare ciotki. Wchodziło się do nich po drewnianych schodach i zewnętrznym balkoniku, charakterystycznym dla tamtejszej zabudowy. Z dziecięcych lat pamiętam jedynie zapach mieszkania na Kazimierzu i herbatę z mlekiem, której nie cierpiałem. Żyli też kuzynowie mamy w Wadowicach, Kalwarii Zebrzydowskiej, Suchej Beskidzkiej.

Zatem to przez Kraków odkrył pan żydowski świat.

I to w latach, kiedy Kazimierz był opuszczoną dzielnicą. Tutaj znalazłem swoich przyjaciół, mieszkających głównie w Izraelu. Byłem, od początku lat 90., świadkiem ożywienia przestrzeni żydowskiej dzielnicy. Pierwsze festiwale, zapal Janusza Makucha i Krzysztofa Gierata, działania profesora Gierowskiego, wydarzenia organizowane przez Joachima Russka w Centrum Kultury Żydowskiej – to był naprawdę przełom w polsko-żydowskich stosunkach. Zaprzyjaźniłem się z wieloma osobami, które urodziły się w Krakowie lub z miastem były mocno związane. Rafael Scharf, Natan i Yakow Grossowie, Ryszard Loew, Lea Shinar, nieżyjąca już Miriam Akavia – to tylko kilkoro z nich. I tak oto bliższa stała mi się galicyjska historia mojej rodziny. Zainteresowanie żydowską

przeszłością Poznania i Wielkopolski przyszło znacznie później. Może dlatego, że moje nikłe zainteresowanie miejscem nad Wartą wynikało z rezerwy, jaką odczuwałem i wciąż odczuwam w stosunku do poznańskiego klimatu. Do miejsca nazywanego nie bez powodu Beocją, które tak bardzo przenika duch praktycyzmu i inteligenckiego konformizmu.

Jeżdżąc do Izraela, poznawał pan początkowo tylko polskojęzyczne środowisko Żydów.

Aktywnych, twórczych, skupionych wokół polskiej gazety i rocznika „Kontury”. Wtedy także zaprzyjaźniłem się z Łucją Pinczewską-Gliksman, urodzoną w Opatówku pod Kaliszem. Na podstawie historii jej życia, opisaną przez mnie w „Gazecie Poznańskiej”, Marek Nowakowski z poznańskiego oddziału TVP wyreżyserował film o rodzinie Pinczewskich, właścicielach fabryki lalek w Opatówku. Łucja, absolwentka przedwojennej polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim, ocalała, uciekając do Rosji. Stamtąd z armią Andersa dostała się do Palestyny. Gdy o myślę o Łucji, przypomina mi się historia o tym, jak rejestrowała w Tadżykistanie Polaków. „Pewnego dnia – opowiadała – podszedł do mnie Żyd z długą brodą. Usiadł obok, by opowiedzieć z sentymentem o Polsce. Zdziwiona, przerwałam jego zwierzenia, mówiąc: »To ja mogę tęsknić, bo wychowałam się w polskim języku, ukończyłam polski uniwersytet. A ty jesteś z żydowskiego sztetla. Musiałeś znać głównie polskich antysemitów. Dlaczego teraz mówisz dobrze o Polsce?«. A on na to: »Często źli byli nasi bracia Polacy, ale zawsze dobra była nasza matka Polska.«”

Łucja Pinczewska-Gliksman po wojnie zamieszkała w USA. Gdy zmarł jej mąż, przyjechała do Izraela. Początkowo mieszkała z matką w Jaffo, później, aż do śmierci przy ulicy Chen, zaledwie kilka kroków od placu Króli Izraela. Z mieszkania słyszała zawsze okrzyki demonstrantów zbierających się na tym centralnym placu Tel Awiwu. „Teraz pokój” – skandowano. To były dobre lata. Pamiętam, że i jej udzielał się ówczesny optymizm, wiara w pokojowe rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Tak było do dnia, w którym usłyszała najpierw przekłete strzały, a później ryk karettek i wozów policyjnych. Zamordowano premiera. Plac zmienił nazwę na kikar Rabin.

Gdy ją poznałem, żył jeszcze Leo Lipski. Mieszkał u niej, potrzebował już wtedy całodobowej opieki. Przyjaźnili się ze środowiskiem paryskiej „Kultury”, a w Tel Awiwie tworzyli pierwszą ligę literatury pisanej w języku polskim w Izraelu. W latach 90. wszyscy byli jeszcze w dobrej kondycji. Organizowano wieczory poetyckie, zapraszano na odczyty, spotykano się z twórcami zapraszonymi z Polski.

Z Łucją Pinczewską-Gliksman kojarzy się panu także pierwsze spotkanie z Idą Fink.

Odwiedziny u „białowłosej damy z Opatówka” zawsze były wzruszające. Łucja potrafiła być ironiczna, złośliwa, serdeczna, ale też trochę frywolna. Swoich ulubieńców chętnie częstowała koniakiem, by dzięki niemu łatwiej podróżować w czasie. Tego dnia, w którym umówiłem się z Idą Fink w cukierni przy placu Królów Izraela, byłem wcześniej u Łucji. W dobrym nastroju, częstując mnie koniakiem, snuła rodzinną opowieść o dzieciństwie w Opatówku. Jej wzruszenie stało się moim tak bardzo, że gdy dotarłem do Idy Fink, przez długą chwilę nie mogłem rozpocząć rozmowy. Pamiętam jej zdziwienie, gdy zobaczyła przed sobą niemego dziennikarza, deklarującego wcześniej chęć rozmowy.

Ida Fink była nadzwyczajną pisarką i bardzo ciepłym, skromnym człowiekiem. Rozmowa z nią nigdy nie była banalna czy powierzchowna. Poznałem ją także z innej strony, gdy razem z Miriam Akawią pracowały na rzecz Yad Vashem, pomagając opracowywać wnioski o przyznanie medalu Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

W Poznaniu zamieszkał pan pod koniec lat 80.

Wtedy o historii polskich Żydów i Holokauście wiedziałem już dużo. Śladów obecności i Zagłady poznańskich Żydów nie musiałem więc długo szukać. Wtedy też stanąłem przed urodzonymi w Poznaniu Izraelczycami, którzy przeżyli wojnę w gettach i obozach. Opowieści ocalonych, niosące w sobie ślad traumatycznych wydarzeń, okazały się najpoważniejszym wyzwaniem. Niosły przecież pytania o to, jak otworzyć się na cierpienie. I czy udzielam ich opowieściom schronienia czy też jedynie poszukuję dziennikarskiego materiału.

Szukając śladów, musiał pan zmierzyć się także z doświadczeniem pustki i nieobecności.

Gdybym miał w kontekście Zagłady opowiedzieć o tym doświadczeniu, zaprowadziłbym wszystkich na stadion przy ulicy Dolna Wilda. Przez lata wojny funkcjonował tam obóz pracy dla Żydów. Więźniowie żyli w strasznych warunkach, pod gołym niebem, byli mordowani, wieszani w publicznych egzekucjach. W latach 80. przy stadionie postawiono skromny obelisk upamiętniający ofiary. Później pojawił się w tym miejscu bazar. Budy z kurczakami z różna zasłoniły pomnik. Po latach protestów znaleziono „praktyczne”, jakże poznańskie, rozwiązanie. Przeniesiono pomnik w inne, oddalone od stadionu miejsce, zostawiając budy handlarzy. To niebywałe.

Dlatego od lat apeluje pan, by obszar zajmowany przez stadion stał się centralnym miejscem pamięci o Zagładzie poznańskich i wielkopolskich Żydów.

Jak w Łodzi, Warszawie czy Krakowie należy oddać tę bolesną przestrzeń ofiarom. Ale nikt nie chce o tym słuchać.

W książce *Siwe kamienie* poświęcił Pan rozdział ulicy gminy Poznań w Tel Awiwie. Kto z dawnych poznańskich rodzin mieszka w Rehov Kehilat Pozna?

Żeby odkryć uliczkę poświęconą poznańskiej gminie, trzeba być albo przyjacielem Miriam Akavii, albo wytrwałym turystą. Jest ona bowiem położona na północy Tel Awiwu, w dzielnicy Neot Afeka. I chociaż jest bardzo elegancka i piękna, nie stała się atrakcją turystyczną. Za rzeczkę Yarkom jeździ się bowiem przede wszystkim na uniwersytet albo na imprezy targowe. Ja zazwyczaj cel miałem inny. Wsiadałem w autobus nr 24 przy Ibn Gevirol i wysiadałem przy Szlonsky, skąd już było zaledwie kilka kroków do Miriam, mojej izraelskiej muzy, i do jej domu, stojącego przy Rehov Kehilat Żytomir. W tej małej, wyodrębnionej dzielnicy wszystkie uliczki są poświęcone pamięci żydowskich gmin w Polsce, tej sprzed 1939 roku. Odnajdziemy więc gminy Białystok, Kijów, Żytomir... Jest miejsce i dla Rehov Kehilat Pozna. Czy mieszka przy niej ktoś związany z Poznaniem? Raczej wątpię, chociaż w Izraelu wszystko jest możliwe. Ale w pobliżu jest – był jeden z najlepszych poznańskich adresów – mieszkanie Roli Sochaczewskiej. Od Miriam zaledwie kilka minut drogi. Rolę już dobrze znałem, spotykaliśmy się u jej siostry w Ramat Gan albo u Jurka Janowskiego. Jej radość życia budziła we mnie zdumienie – wiedziałem przecież o tym, co spotkało ją w czasie wojny, a jej życie w Izraelu też było usłane cierniami. Może dlatego Bóg wynagrodził ją synami, pięknym wnukami i słodkimi prawnukami.

Pewnego razu, będąc u Akavii, postanowiłem zajrzeć do Roli. Miriam i jej mąż Hanan, jak zawsze mocno zatroskani o polskiego turystę, a sądząc, że bardziej z ciekawości, postanowili mnie do Roli odprowadzić. Minęliśmy Rehov Kehilat Pozna, by po chwili stanąć pod domem Roli. Już na nas czekała. Połowa wizyty przebiegła na dworze, bo Akawiowie („Ależ nie, nie wejdziemy, musimy jak najszybciej wrócić do siebie...”) i Rola nie mogli się nagać; jak opowiedzieć o całym swoim życiu, tęsknocie za Krakowem i Poznaniem w ciągu kilku chwil? Minęło wiele minut, kiedy Miriam z Hananem postanowili wrócić na swój Żytomir, położony na pierwszym piętrze. Zostaliśmy z Rolą sami. Rozpoczęła się kolejna opowieść...

Wróćmy na Rehov Kehilat Pozna.

Mapę Tel Awiwu można porównać do palimpsestu. Jest w nim i warstwa polska, polscy poeci, muzycy, pisarze, politycy, gminy żydowskie. Gdy otworzymy plan Poznania, warstwy żydowskiej czy niemieckiej próżno szukać.

Jak dawni żydowscy mieszkańcy Poznania wspominają dziś miasto swojego dzieciństwa?

Co to znaczy „dziś”? Jest już tylko kilka osób, które omija anioł śmierci, bo tak się krzątają po świecie i wciąż są zajęci codziennymi sprawami, pomimo dziewięćdziesięciu lat życia. Dzisiaj mogę raczej wspominać ich wspomnienia. Dodatkowo na ten proces nakładają się moje doświadczenia i poszukiwania. Jak wspominałem, poznańskich Żydów mieszkających w Izraelu poznałem co prawda wiele lat temu, ale poszukiwałem wtedy innych tematów i raczej wśród krakowskich Żydów. Przyszedł w końcu moment, że stanąłem przed poznaniakami, by spisać ich wspomnienia. Byli gościnni, serdeczni. Później zrozumiałem, że dziennikarzowi z Poznania chcieli raczej opowiadać o tym, co w Poznaniu było dobre. Z uprzejmości. Nietrudno o miłe wspomnienia, gdy miało się w przedwojennym Poznaniu dziesięć–piętnaście lat. Wiele tych osób nigdy po wojnie Poznania nie odwiedziło. Żyli lub żyją tylko wspomnieniami czasu, który był jeszcze poskładany. Gdy żyli mamusia, tatuś, wujkowie, ciotki, kuzyni, koledzy i koleżanki. Chodzili do szkoły żydowskiej, działali w Haszomer Hacair (często w tajemnicy przed rodzicami i zawsze w tajemnicy przed dyrektorką szkoły, Propstową). Mieli swoją bibliotekę, klub sportowy, żydowską kawiarnię. Rodzice najczęściej handlowali, nie zawsze z powodzeniem. Wszyscy, o których pisałem, przyjechali do Poznania z prowincji, z nadzieją na dorobienie się, ucieczką przed małomiasteczkową biedą. Był wśród nich Abram Melamedson, który przyjechał do Poznania z Brzezin, małego miasteczka, w którym żyło i pracowało tysiąc dwieście żydowskich zakładów krawieckich. Czy w takim towarzystwie, wśród tylu krawców można się było dorobić? Nie! Więc Melamedson uciekł z Brzezin i otworzył sklep przy Starym Rynku w Poznaniu. Minęło kilka lat. Nadszedł rok 1938 i Melamedson uciekł po raz kolejny. Tym razem z Poznania do Palestyny. I nie z powodu krawców, lecz z powodu antysemityzmu.

Jego córka Fira zamieszkała nieco później w Jerozolimie.

Zmarła w 2014 roku, mając dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Zajmowała dobry adres przy ulicy żydowskiego filozofa, kilka kroków od Żydowskiej Agencji. Znaliśmy się od zawsze, nazywałem ją swoją jerozolimską babcią. We wspomnieniach Firy Poznań jest gwiazdką na niebie. Gdy opowiadała, antysemickie ekscesy przegrywały z życiem wypełnionym spotkaniami z chłopcami, podkochującymi się w niej, pięknej dziewczynie z Wronieckiej. Ale nie każdy tak wraca do Poznania. Jej koleżanka Hania Auerbach (też uciekła przed wybuchem wojny do Palestyny, ale wbrew woli rodziców) pamiętała głównie upokorzenia i czosnek czy cebulę znalezione w szkolnej paczce, którą obdarowywały się dzieci przed Bożym Narodzeniem. Nie zapomnę tej rozmowy. Siedzieliśmy przy stole, w jednym z malutkich domków w kibucu Alef, z którego już uleciało wszelkie życie. Gdy Hania opowiadała o Poznaniu, na stole wspomnień rosła przeklęta góra czosnku i cebuli, „dar serca” polskich koleżanek. Rosła z każdą minutą i godziną rozmowy, a żal dopeśniał się tęsknotą za rodzicami i siostrami: Salą, Bałą i Rysią, których już nie spotkała.

Za dotykiem matki, za psotami brata Maksy w ich mieszkaniu przy Garbarach, na trzecim piętrze. Gorycz tej rozmowy wciąż mnie prześladowuje.

Czy ważne miejsce w ich wspomnieniach zajmuje synagoga?

Zaskakująco mało o niej opowiadali. Większość moich rozmówców identyfikowała się z Ha-Szomer ha-Cair, organizacją pionierów marzących o wyjeździe do Palestyny. Owszem, synagogę odwiedzali w wielkie święta. W Jom Kippur szli do synagogi z rodzicami. No cóż, każdy chciał mieć alibi. W ich domach było zazwyczaj miejsce na szabat, rzadziej na kuchnię koszerną. Miejsca na modlitwę więcej było w domu Bronka Bergmana niż w domu Henryka Kronenberga czy Zygmunta Baumana. W ich życiu bardziej liczyła się instytucja, czyli gmina żydowska, niż rozmodlona synagoga.

Ale zawsze byli w jej pobliżu.

Kiedy gmina organizowała pomoc dla wyrzuconych z Niemiec Żydów, to zrozpaczonych ludzi mieszkających w obozie w Zbąszyniu chętnie przyjmowali pod swój dach. Korzystali z biblioteki gminy, a czasem, gdy bieda była nie do zniesienia, z pomocy materialnej.

Kiedy Bronisław Bergman po latach przybył do Poznania, zakolała do drzwi swojego dawnego mieszkania. Zajmująca je kobieta zostawiła go w tej przestrzni, by mógł po raz ostatni pobyc w tych samych ścianach, w których spędził dzieciństwo.

Bronka i Julitę, jego żonę, poznałem ponad dwadzieścia lat temu. Napisałem o nim reportaż do „Gazety Poznańskiej”. Ciekawe, że wtedy nie budziło to większego zainteresowania. Dzisiaj wszyscy szukają Żyda, jakby chcieli się nobilitować, wyróżniać, a może zamazać w sobie dziedziczną pamięć, mieć jakieś alibi. Spotkaliśmy się po raz pierwszy w mieszkaniu profesora Albrychta, niezwyklej i barwnej postaci. Pamiętam, że jeszcze wtedy pracowałem z magnetofonem, brakowało nam czasu na dłuższą rozmowę. A jednak, co mnie nie opuszcza do teraz, to jego wzruszenie i łzy, co dla dziennikarza bywa dość trudne. A nawet wyczerpujące.

Bergman przyjeżdża do Poznania prawie każdego roku. Spotykamy się przy pomidorówce, ugotowanej przez moją żonę; w Ratuszu, by wspólnie oglądać obraz Knorra z rabinem Egerem („pamiętam jego fotel, stał w beit ha midraszu”) czy na wspólnym spacerze po Poznaniu z Jurkiem Herszbergiem, który przyleciał tu z Londynu, by Bronka spotkać. Wciąż Jurka widzę w hotelowym pokoju. Jest poranek, a on, już w drzwiach, przejęty, woła do mnie: „Nie żyje księżna Diana”.

Pojawia się przy takich opowieściach pewien niepokój związany z wiarygodnością pamięci.

Myślałem o tym często. Przez ponad dwadzieścia lat przyjaźni z wieloma osobami zauważyłem pojawiające się różnice w powtarzanych przez nie wspomnieniach. Szybko zrozumiałem, że nie chcę być aptekarzem słów. Po latach dowadywałem się o tajemnicach związanych z ekstremalnymi przeżyciami z czasów Shoah, powojenną traumą. Nie mówiono mi początkowo o nich, tak jak podczas naszych pierwszych spotkań nie wspomniano o antysemityzmie w Poznaniu. Dla dziennikarza wiele tych wątków było bardzo interesujących. Tymczasem ja dość wcześnie powiedziałem sobie: nie będę opowiadał o wszystkim! Niech wiele bolesnych spraw pozostanie zasłoniętych. W ten sposób przestałem być dziennikarzem.

Poznań, 2014–2015

Nasze podwórko.

Rozmowa z Januszem Marciniakiem

Podczas sesji w Muzeum Martyrologicznym w Żabikowie powiedział pan, że najczęściej zajmujemy się tematem żydowskim z prywatnych pobudek. Czy pana zainteresowanie tymi treściami wiąże się z dzieciństwem, spędzonym na podwórzu przy ulicy Śniadeckich, gdzie odkrył pan w piasku kość z usytuowanego tam niegdyś cmentarza?

Tak. Podwórko okazało się zniszczonym cmentarzem żydowskim. Wiele lat później nawiązałem do tego doświadczenia z dzieciństwa w książce *Co Żydzi zrobili?* (Fundacja Pogranicze, 2001), książce o empatii i przeciwko antysemityzmowi. Później namalowałem moje podwórko i inne motywy związane z obecnością, a właściwie z nieobecnością Żydów w cyklu obrazów. Staralem się iść po śladach, które zostawiła przeszłość. Jedną z moich wystaw miała nawet tytuł *Ślad to pytanie* (Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie, 2005). Moje prace, książka, katalogi, fotografie, grafiki, obrazy, instalacje, performance'y, są – w pewnym sensie – judaicami, które rekompensują brak judaiców. Są próbą wypełnienia pustki po świecie i ludziach, których już nie ma. To puste miejsce jest wyzwaniem dla pracy żaloby i pracy pamięci. Ale forma pamięci nie może być zawsze taka sama. Pamięć musi być odświeżana, aby narracja o Zagładzie nie strywalizowała się i miała współczesny kontekst, bo tylko tak pamięć przetrwa. Przetrwa, jeśli będzie oparta na odnawianym pokoleniowo zaangażowaniu. Każde pokolenie powinno mieć własną sprawę z Zagładą i w ogóle z przeszłością. My jesteśmy ostatnimi świadkami bezpośrednich świadków Zagłady.

A skąd moje zainteresowanie Żydami? Urodziłam się w 1981 roku w Poznaniu, w rodzinie bez żydowskich korzeni. Od jakiegoś czasu zajmuję się m.in. poezją Żydów. Z setek wystaw, które widziałam, najgłębiej zapadła we mnie zobaczona jeszcze na początku liceum *I ciągle widzę ich twarze. Portrety Żydów polskich...* w Galerii u Jezuitów. Ważnym przeżyciem było dla mnie odwiedzenie po raz pierwszy poznańskiej synagogi – pływalni, w której pokazywał pan *Atlantydy*.

Wydaje mi się, że pani też ma swoje „podwórko”. Może jest nim wystawa, o której pani wspomina, a może coś innego. Wiele zawdzięczamy współczesnej kulturze empatii. Podobno pojęcie dobra jest starsze od pojęcia boga, od religii i etyki. Platon uważa, że we wszystkim decydujące znaczenie ma wybór moralny, że „winien ten, co wybiera”. Stanisław Brzozowski dodaje: „Niepokalanego nie ma nic: kto chce niepokalaności, chce kraść, kraść samą duszę. Życie jest mordem, jest okrucieństwem, jest deptaniem w proch. Nie można przeżyć dnia, nie dźwignąwszy winy tej albo innej”. Nawiązuję do problemu wyboru moralnego, do poczucia winy i odpowiedzialności. Trudno o tym mówić. To się czuje albo nie. Poczucie winy jest święte najbardziej wtedy, kiedy z określonych etycznie powodów przyjmujemy winę za coś, czego nie zrobiliśmy. Katolicy powinni to rozumieć najlepiej (np. dzięki Kazaniu na Górze), ale nie zawsze rozumieją.

Zatem owe „prywatne pobudki” biorą się ze współczucia. To odruch. Empatia i pamięć dotyczą nie tylko ludzi, ale także ich dzieł i świata, w którym żyjemy. Można współczuć miejscu, które jest zniszczonym cmentarzem, lub budynkowi, w którym kiedyś była synagoga, książkom, obrazom, pejzażowi... Prawdziwa empatia jest bezwarunkowa. A pamięć to jedna z form empatii. Emmanuel Lévinas – filozof empatii – napisał: „Pamięć dokonuje rzeczy niemożliwej: po fakcie bierze na siebie bierną przeszłość i zaczyna nad nią panować. Pamięć jako odwrócenie czasu historycznego stanowi istotę wewnętrzności”. W ostatnim zdaniu Lévinas ma na myśli indywidualne życie wewnętrzne.

Mam tylko jedną uwagę. Także do samego siebie. Angażując się w przedłużanie pamięci zbiorowej o ciemnej stronie historii, starajmy się równocześnie pamiętać o jasnej stronie życia. Radość życia jest immanentną cechą kultury żydowskiej. Ci, którzy zginęli podczas Zagłady, nie chcieli być ofiarami, kochali życie. Broniek Bergman, który przeszedł przez piekło Zagłady, a jego życie przypomina scenariusz filmu sensacyjnego, często powtarza, że „życie jest piękne”.

Na jednym z obrazów pokazuje pan Bronisława Bergmana. Towarzyszył mu pan podczas odwiedzin Poznania.

Broniek Bergman ma doskonałą pamięć. Bardzo szybko role odwróciły się i z oprowadzającego stałem się oprowadzanym po przedwojennym Poznaniu. Podłożem tej doskonałej pamięci jest jego miłość do miasta, w którym urodził się i spędził dzieciństwo. W 2011 roku zrealizowałem 50-minutowy film do instalacji *Hagada*, w którym Bergman opowiada o swoim życiu w Poznaniu i – na czym bardzo mi zależało – o synagodze. Czasem dostaję od niego e-maile, jak ten: „Pozdrów ode mnie trawę w Poznaniu. Powiedz jej, że jej zapach na wieki pamiętam (Leśmian)”.

Mnie Bronisław Bergman polecił pozdrowić Sołacz, notując w e-mailu: „... U nas słońce tak kojąco świeci jak chyba tylko w Poznaniu. A trawa tak pachnie jak na Sołaczu czy w Gołędzinie. Oj, pamiętam, pamiętam...”. Jakimi drogami dochodził pan do prawdy o Zagładzie Żydów oraz ich obecności w Poznaniu?

Nie jestem historykiem. W moim przypadku dochodzenie do prawdy o Zagładzie szło w parze z pracą artystyczną – na własne „zamówienie”. I naturalnie łączyło się z moim życiem osobistym. Zaczęło się, jak już powiedziałem, na podwórku... Bardzo dużo zawdzięczam ludziom, których spotkałem w dzieciństwie i w młodości, rozmowom i korespondencji z nimi. Jestem dłużnikiem wrażliwości mojej żony i naszych dwóch synów. Ogromne znaczenie miały i mają dla mnie książki, filmy, wystawy, koncerty i obecność w niektórych miejscach pamięci. Przyjaźniłem się z Józefem Czapskim, dla którego jednym z największych autorytetów był Janusz Korczak. Erudyta Czapski chyba najtrafniej ocenił znaczenie literackie *Pamiętnika Korczaka*. Przez Czapskiego poznałem Jeanne Hersch. Jacek Waltoś i Jacek Bomba sprawili, że zaprzyjaźniłem się z Janiną Haubenstock oraz nawiązałem kontakt z naukowcem i poetą Yehudą Knoblerem. Knobler przeżył Zagładę i jest, moim zdaniem, kontynuatorem Icchaka Kacnelsona. Dzięki Janinie korespondowałem z Rafaelem Scharfem i poznałem Ericha Dauzenrotha. Trudno mi wymienić wszystkich przyjaciół i znajomych na gruncie mojego zainteresowania kulturą żydowską. Lena Stanley-Clamp – dyrektorka European Association for Jewish Culture, Jerzy i Elżbieta Ficowscy, Jerzy Giedroyc, który opublikował bez skrótów mój tekst o antysemityzmie w „Kulturze”, kiedy nawet „Gazeta Wyborcza” i „Tygodnik Powszechny” nie chciały go przyjąć. Krzysztof Wodiczko z jego koncepcją pomnikoterapii i pracy artystycznej w przestrzeni publicznej, Andrzej Niziołek – zaangażowany w przybliżanie historii Żydów poznańskich, ks. Witold Broniewski ze Stuttgartu, który sfinansował wydanie mojej książki *Co Żydzi zrobili?* Posłowie do tej książki napisał ks. Romuald Jakub Weksler-Waszkinel. Krzysztof Czyżewski z Fundacji Pogranicze, Krzysztof Czerwiński – biznesmen, meloman i kolekcjoner sztuki, który pod wrażeniem pobytu w Izraelu napisał i wydał książkę. Jarosław Przyborowski – założyciel Fundacji Signum, z którym odwiedziłem Irenę Sendler. Krzysztof Kwiatkowski – autor rekonstrukcji wyglądu Nowej Synagogi, i jego brat – Leszek, który jest wykładowcą w Zakładzie Hebraistyki UAM i wybitnym tłumaczem. Nie zdołał wymienić wszystkich. Przyjaźnię się także z dwoma świadkami Zagłady: Bronkiem Bergmanem i Dawidem Malkiem.

Oni prowadzili pana do prawdy o Zagładzie. Ci ludzie i książki?

W latach 60. byłem dzieckiem i czytałem podsuwane mi przez mamę książki dla dzieci, między innymi Korczaka. Wtedy jeszcze nic nie wiedziałem o samym Korczaku i Zagładzie. Moi rodzice rozwiedli się, kiedy miałem siedem lat. Zostałem z mamą. Ojciec nie utrzymywał ze mną kontaktu. Z tego powodu nie wiem

wszystkiego o moim pochodzeniu w linii ojca. Z ortodoksyjnego punktu widzenia nie jestem Żydem, bo moja mama nie jest Żydówką. A zatem mojego zainteresowania kulturą żydowską nie da się wytłumaczyć pochodzeniem.

Najlepszą drogą do poznania prawdy o Zagładzie są książki. Ale nie wszystkie. Miałem w rękach i takie, których lekturę przerwałem, i już do nich nie wróciłem. Moi najważniejsi z najważniejszych żydowskich pisarzy to Janusz Korczak, Emmanuel Lévinas i Piotr Rawicz – autor *Krwi nieba* (*Le sang du ciel*, Paris 1961, Gallimard).

W związku z Rawiczem, który jest mało znany w Polsce, chciałbym coś powiedzieć o etyce. To nie będzie referat naukowy. Zacznę od tego, że – moim zdaniem – najważniejszą kategorią ontologiczną i etyczną jest bezbronność. Od dawna upominam się o zrozumienie jej znaczenia. Próbowałem pisać o niej w esejach, a nawet na moich obrazach. W ramach cyklu *Obrazy do czytania* powstał obraz *Bezbronność*, który – jak wszystkie obrazy z tego cyklu – stanowi pracę otwartą. To znaczy, że może istnieć równocześnie jako projekt samego siebie, wydruk cyfrowy, projekcja z rzutnika lub plazmy, strona internetowa. *Obrazy do czytania* zostały napisane nie tak, jak pisze się ikony, lecz dosłownie. Próbowałem znieść granicę między pisaniem a malowaniem, czyli między tekstem a obrazem. Przyjąłem założenie, że obraz może być także formą publikacji tekstu. Tekstowi w obrazie *Bezbronność* nadałem formę dialogu o książce *Krew nieba* Rawicza.

Przytoczy pan fragment tego tekstu?

Tak. Oto fragment dialogu o bezbronności i *Krwi Nieba*:

„Czy zgodzisz się, że ona może być zinterpretowana jako esej o nagim życiu i o tym atrybucie nagiego życia, którym jest bezbronność? Ciężko doświadczona bezbronność człowieka pojedynczego. Bezbronność bezbronna, beznadziejna, przepelniona strachem i rozpaczą – elementarna kategoria ontologiczna i przedmiot bezwarunkowej etyki. Nie abstrakcyjna, lecz rzeczywista bezbronność Żyda podczas wojny, kiedy obrzezanie mężczyzny – znak religijnej przynależności do judaizmu – było znakiem śmiertelnego napiętnowania. Okaleczenie na znak przymierza z Bogiem i włączenia do wspólnoty łączyło się, rzecz jasna, z niezamierzonym przez tę religię wydaniem naznaczonego śmierci. Ułatwiała antysemitom, nazistom, szmalcownikom, wszelkiej maści skurwysynom rozpoznanie ofiary. Najintymniejsza część ciała mężczyzny była miejscem, przez które w jego życie wchodziła nie tylko religia, ale też pustoszący to życie strach przed rozpoznanem, lęk przed śmiercią, cierpieniem i poniżeniem.

– Tak, ale ja nie myślałem o bezbronności, kiedy czytałem *Krew nieba*. Dla mnie »historia fiuta«, bo tak Rawicz nazwał swoją powieść, jest historią miłości życia za wszelką cenę i jednocześnie otwartym tekstem religijno-filozoficznym. To dekonstrukcja na wiele lat przed postmodernizmem. Wstrząsającym, wręcz bluźnierczym określeniom, jak choćby nazwaniu Boga najwyższym Kapo, odpowiadają i tłumaczą je równie wstrząsające obrazy. Narzuca się skojarzenie z Dostojewskim, a z nim

myśl, że świat według Rawicza jest jeszcze bardziej zdemistyfikowany. Ty mówisz o bezbronności, a ja mówilibym o beznadziejności i absurdalności życia przeciwstawionych logice i racjonalnym, wymyślnym sposobom ucieczki przed cierpieniem i śmiercią. Moim zdaniem paradoks tej książki polega na tym, że ona wyraża niemożliwość życia i jednocześnie możliwość pisania o nim”.

Wróćmy do Poznania. Ma pan wrażenie (ja czasem mam...), że żywsza jest w Poznaniu raczej legenda o skradzionej hostii niż pamięć o obecności tu Żydów, nabożeństwach w synagodze, cukierni Hirschlika...?

Upiór antyjudajizmu, który karmi się kłamstwem o kradzieży hostii przez Żydów i wykorzystywaniu przez nich krwi dzieci chrześcijańskich do produkcji macy, ciągle straszy w kościele pw. Najświętszej Krwi Pana Jezusa i w kościele Bożego Ciała, gdzie niedawno odbyła się promocja wznowienia *Najświętszych trzech Hostii* – antysemickiej książki Mieczysława Noskowicza z 1916 roku. Legenda o profanacji hostii to apokryf na podłożu antyjudajizmu. Niestety, sprzyja on współczesnemu antysemityzmowi. Dlatego dobrze, że spotkał się z odpowiednią reakcją, którą było usunięcie z kościoła pw. Najświętszej Krwi Pana Jezusa tablicy upamiętniającej profanację hostii i publiczne zdezawuowanie tej legendy. Wiadomo, że Jan Paweł II uczynił wiele dla zbliżenia wyznawców chrześcijaństwa i judaizmu. Wydaje mi się, że jest lepiej z pamięcią o żydowskim rozdziale w historii Poznania. Ale antysemityzm nadal istnieje.

„Nie zdołałem ocalić / ani jednego życia // [...] więc krążę po cmentarzach, których nie ma” – te słowa z wiersza Jerzego Ficowskiego towarzyszą pana *Tryptykowi Jedwabne*. A ich druga część zdaje się całkiem osobiście za Ficowskim powtórzona. Odwiedza pan swoje podwórko z lat dziecińczych, cmentarz żydowski w Trzcielu. Czego pan szuka w tych miejscach, czego od nich oczekuje?

Kiedy idę w odwiedziny do mojej mamy, zawsze zaglądam na moje podwórko, które od 2008 roku jest starannie utrzymanym cmentarzem. Spotykam się z przeszłością, z moim dzieciństwem i młodością. Bo z tym miejscem łączy mnie nie tylko sprawa cmentarza. Miejsca, które odgrywają ważną rolę w naszym życiu, wchodzą w nas i nosimy je w sobie jako obrazy, dźwięki, zapachy i myśli. Sprawa cmentarza została zamknięta, więc teraz to miejsce nie jest dla mnie takim ciężarem, jakim było kiedyś.

Miasteczko Trzciel znalazło się na mojej uczuciowej mapie dzięki Janowi Sawickiemu, który prawie dwadzieścia lat temu zaprosił mnie do Rybojadów. To wieś w pobliżu Trzciela. Zacząłem tam organizować plenery dla studentów, a potem – przy wsparciu Fundacji Signum – Spotkania Sztuki i Działań Społecznych oraz Warsztat Radości Życia dla dzieci. Cmentarz żydowski w Trzcielu „odkryła” jedna

z moich studentek. Ja „odkryłem” budynek tamtejszej synagogi. Jak podaje Wirtualny Sztetl, po I wojnie światowej gmina żydowska w Trzcielu była tak mała, że już od lat 20. nabożeństwa nie odbywały się w synagodze. Budynek został sprzedany miastu i przeznaczony na siedzibę straży pożarnej. Teraz znajduje się w nim remiza Ochotniczej Straży Pożarnej. Niestety, na budynku nie ma choćby skromnej tablicy pamiątkowej. Chciałbym, żeby te miejsca, a przede wszystkim cmentarze, pozostały nienaruszone i były traktowane z szacunkiem.

Kilka lat temu – z inicjatywy Renaty Rogozińskiej – pojechał pan do Babimostu, aby razem z dziećmi mieszkającymi w tej miejscowości ułożyć gwiazdę Dawida ze zniczy w dawnym budynku babimojskiej synagogi oraz porozmawiać o żydowskich sąsiadach, których już nie ma.

W tym budynku po II wojnie światowej mieścił się dom kultury, a obecnie jest on siedzibą jakichś firm handlowych. To, co dziś stanowi zachodnie kresy Polski, przed wojną stanowiło terytorium Niemiec. Podczas „nocy kryształowej” w 1938 roku większość synagog w Niemczech stała się obiektami ataku ze strony nazistów. Wtedy zniszczono, na przykład, synagogę we Wrocławiu. Trudna do zrozumienia jest współczesna obojętność wobec losu synagog i cmentarzy żydowskich. Pamiętam wrażenie, jakie wiele lat temu zrobił na mnie zniszczony cmentarz żydowski w Obornikach Wielkopolskich, ale też zniszczony cmentarz ewangelicki niedaleko Góry Śląskiej. Polacy oburzają się na akty wandalizmu, do których dochodzi na polskich cmentarzach na Ukrainie i Litwie. Ale czy tak samo oburza ich wandalizm na cmentarzach żydowskich lub niemieckich i na rosyjskich mogiłach wojennych w Polsce? O potrzebie pamięci i szacunku można i trzeba rozmawiać także z dziećmi.

Pana instalacje w budynku przy Wronieckiej to misteria pamięci: w 2004 roku położył pan na tafli wody gwiazdę Dawida, dwa lata później pokazywał pan projekt *Alfabet*, a 9.09.1939 składał się ze zniczy położonych na wodzie, które odwzorowywały wygląd nieba nad synagogą w dniu i godzinie ostatniego nabożeństwa. Czy to miejsce podczas pracy w nim i z nim wytwarzało jakąś specyficzną aurę?

To miejsce ma aurę. Aby ją poczuć, trzeba wiedzieć, co w nim było. Napięcie, choć inne, czuje się na Stadionie im. Edmunda Szyca. Ale też trzeba wiedzieć, że naziści urządzili tam obóz pracy dla Żydów i dokonywali egzekucji. Czasami znaczenie mają miejsca bez żadnej reprezentacji. Pozornie zwyczajne i niewinne. Na obrzeżach wsi Trzaskowo, niedaleko Owińsk, w dawnym parku dworskim jeszcze w latach 90. rósł stary krzak głogu jednoszyjkowego. Miałem dziadków w Trzaskowie, do których w dzieciństwie jeździłem na wakacje. Kiedyś jedna z wówczas najstarszych mieszkanki tej wsi, która zauważyła, że lubię słuchać jej wspomnień,

opowiedziała mi o wydarzeniu z czasów wojny. Otóż pewnego razu do Trzaskowa przyjechali ciężarówką Niemcy i na skraju parku zakopali ludzkie zwłoki. Czyje i ile ich było? Nie wiadomo. Potem ktoś posadził w tym miejscu glóg. Dziś myślę, że jeśli naprawdę jest tam grób masowy, to mogą w nim być pochowani pacjenci Zakładu Psychiatrycznego w Owińskach, których Niemcy zamordowali w ramach akcji T4. Źródła historyczne mówią o około 1100 ofiarach. Ich ciała pochowano w wielu grobach masowych. Może krzak głogu w Trzaskowie był czułym i dyskretnym pomnikiem na jednym z nich.

Budynek Nowej Synagogi nazwał pan w eseju „samoistnym i największym pomnikiem Holokaustu w tej części Europy”. Jakie inne miejsca Europy pełnią dla pana tę funkcję, miejsca pamięci, pomnika pamięci o życiu i Zagładzie Żydów, które wskazałby pan jako *pendant* dla tego budynku?

Odniesieniem dla rozważań o projekcie nowej Nowej Synagogi (nowa Nowa Synagoga to tautonim) może być koncepcja World Institute for the Abolition of War Krzysztofa Wodiczki. Napisałem o tym we wspomnianym przez panią eseju. Dla mnie zdesakralizowany i zniszczony budynek Nowej Synagogi już jest pomnikiem Holokaustu. Niedawno ktoś powiedział, i jedna z gazet to powtórzyła, że z tego budynku można zrobić coś w rodzaju Tate Modern. Takie podejście, moim zdaniem, stanowi przejaw braku empatii i bezdusznego pragmatyzmu. To samo dotyczy zamiaru umieszczenia w nim hotelu. Ten budynek nie był elektrownią i nie jest miejscem indyferentnym historycznie. Należy do kontekstu Zagłady. Muszę dodać, że za jedną z moich aktualnie najważniejszych prac uważam wspomniany esej. Ta praca istnieje jako tekst, któremu towarzyszą dwa związane ze sobą zdjęcia pierwotnego i współczesnego wyglądu budynku synagogi pod tym samym niebem, i przedstawia pewną wizję przeznaczenia tego budynku. Dodam, że materia języka pisanego jest mi bardzo bliska. Może najlepiej ilustruje to projekt pomnika Holokaustu w Atlantic City, w którym najważniejszą rolę odgrywają litery alfabetu hebrajskiego i tekst. Aby odpowiedzieć na pani pytanie, musiałbym znać wszystkie miejsca pamięci w Europie, a tak nie jest. Polecam newsletter *Judaica Europeana Jewish Collections Online* i tworzący się portal żydowskich muzeów, archiwów i bibliotek w Europie (www.judaica-europeana.eu). W Internecie można znaleźć różnej wartości strony poświęcone pomnikom Holokaustu na całym świecie. Niektóre (np. www.museumoffamilyhistory.com/whm.htm) są ciekawe, bo dotyczą cmentarzy w miejscach trudno dostępnych.

Za merytorycznie najważniejsze uchodzą takie muzea jak, na przykład, United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie, Jüdisches Museum w Berlinie i Yad Vashem w Jerozolimie. Myślę, że do tego grona dołączy Muzeum Historii Żydów Polskich. Zapewne większość muzeów żydowskich to najbardziej pożyteczne edukacyjnie pomniki Holokaustu. Wyjątkowym muzeum jest Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Osobna sprawa to pomniki symboliczne, czyli rzeźby. Istnieje bardzo dużo złych rzeźb pomnikowych w ogóle, a więc, niestety, także dużo złych rzeźb poświęconych Zagładzie. Holocaust Memorial w Miami Beach na Florydzie przypomina swoim poziomem estetycznym to, co u nas można zobaczyć w Licheniu. To, że jest tak wiele złych, ilustracyjnych, kiczowatych i trywializujących Holocaust rzeźb pomnikowych, rzuca cień na kulturę empatii, o której mówiliśmy wcześniej. Oczywiście, można powiedzieć, że Zagłady nie da się wyrazić artystycznie, ale to nie może być usprawiedliwieniem dla braku jakości estetycznej. Na szczęście są też przykłady bardziej udanych prób wyrażenia tego, co tak trudno wyrazić. Pomnik w Bełżcu. Wiedeński pomnik Ofiar Holocaustu (Mahnmal für die 65.000 ermordeten österreichischen Juden und Jüdinnen der Shoah) autorstwa Rachel Whiteread. Pomnik Szarych Autobusów Horsta Hoheisela i Andreasa Knitza. Berliński pomnik Pomordowanych Żydów Europy, który zaprojektował Peter Eisenman. Ważną częścią berlińskiego monumentu jest centrum informacyjne.

Mówiąc o rzeźbach, dotykamy szerszego zjawiska, którym jest sztuka podejmująca temat Zagłady. Ta sztuka, w jej najlepszych przejawach, powinna być stałym elementem pracy pamięci. Wracam do muzeów. Obok takich miejsc jak piękne i z założenia tradycyjne Muzeum w Tykocinie, którego siedziba znajduje się w odbudowanej Wielkiej Synagodze, muszą istnieć inne miejsca pamięci. Potrzebne są placówki, które dokumentują, edukują i prowadzą badania interdyscyplinarne z elementami politologicznymi. Dobrym przykładem jest Muzeum Topografii Terroru (Topographie des Terrors. Dokumentationszentrum NS-Zwangsarbeit) w Berlinie. Mieści się ono tam, gdzie kiedyś była siedziba gestapo i SS. Opowiada o eksterminacji Żydów, Sinti, Romów, homoseksualistów, osób chorych umysłowo i więźniów politycznych. Dyrektorem tej instytucji jest rabin Andreas Nachama. To syn kantora Estrongo Nachamy (1918–2000), którego nagranie *Modlitwy za ofiary Holocaustu (El Male Rachamim)* było częścią mojego performance'u *Alfabet*. Głos kantora poraża pięknem. Kontrast pięknej formy muzycznej i smutnej treści literackiej (melorecytacja nazw obozów koncentracyjnych) wywołuje wielkie i trudne do opanowania wzruszenie. Nieco inaczej działa, choć też tchnie smutkiem, Chopin w wykonaniu Władysława Szpilmana. Mówię o tym, bo częścią pracy pamięci powinna być również muzyka i poezja.

W Niemczech trwa akcja oznaczania miejsc związanych z nieżyjącymi ofiarami nazizmu.

Polega ona na wmurowywaniu w te miejsca kamieni z metalową tabliczką, na której jest wygrawerowane nazwisko ofiary. Jej pomysłodawca Gunter Demnig nazwał swój projekt *Stolpersteine* (kamienne potykacze). Jest ich już około 20 tysięcy. Coraz mniej podoba mi się ten pomysł. Drażni nachalnością i mechanicznością założenia, postawieniem na ilość. A ilość w tym przypadku nie przechodzi w jakość. Ten projekt spłyca i fetyszyzuje pamięć o Zagładzie.

Znacznie głębszy sens ma pomnik, w którym także została wykorzystana kostka brukowa i poziom ulicy. Mówię o *2146 kamieniach* – pomniku przeciwko rasizmowi (*2146 Steine*) Jochena Gerza z 1993 roku, który znajduje się na placu Niewidzialnego Pomnika (Platz des Unsichtbaren Mahnmals) w Saarbrücken. Nazwy 2146 cmentarzy żydowskich, które istniały przed II wojną światową w Niemczech, zostały wyryte na kostkach, którymi jest wyłożony plac przed ratuszem. Ponoć początkowo realizacja pomnika przebiegała w tajemnicy i była nielegalna. Pod osłoną nocy wymieniano czyste kamienie na kamienie z naniesioną na nich inskrypcją. Umieszczano je tak, aby inskrypcja znalazła się na spodzie, czyli była niewidoczna. Artyście pomagali studenci z lokalnej Hochschule für Bildende Kunst. Ostatecznie władze zalegalizowały pomnik i nadały placowi adekwatną nazwę. Odwrócenie inskrypcji w stronę ziemi jest symboliczne. Pomnika „nie ma” i jednocześnie „jest”, jak to, czemu został poświęcony.

Dziś wiele artystycznych działań trwa dzięki różnym formom dokumentacji.

Dzieje się tak za sprawą fotografii, filmu i Internetu. Umieściłem fotografię mojego projektu pomnika dla Janusza Korczaka, nad którym pracowałem w latach 90., na okładce książki *Co Żydzi zrobili? W ten sposób pomnik został „zrealizowany”* i pracuje, choć w specyficznym miejscu i formie.

Czy budynek Nowej Synagogi jako pomnik potrzebuje odniesień?

Myślę, że sam mógłby stać się odniesieniem dla innych miejsc pamięci, służyć badaniom, edukacji, prowokowaniu dyskusji i krytycznej obserwacji świata, w którym żyjemy. Bo troszcząc się o pamięć, troszczymy się o przyszłość. Chodzi o to, co dzieje się dziś i co może wydarzyć się jutro. Przecież na Bliskim Wschodzie i nie tylko tam ciągle słychać głosy wzywające do zniszczenia Izraela i wymordowania wszystkich Żydów.

Czasowy charakter moich instalacji i performance'ów w synagodze wynikał z czasowości dostępu do budynku, ale zawsze starałem się pokazać go jako permanentny pomnik Zagłady. Nie tylko ja chciałem, żeby powstała nowa Nowa Synagoga i była aktywną instytucją pamięci. W eseju o koncepcji przeznaczenia budynku napisałem, że ZWGŻ (Związek Wyznaniowy Gmin Żydowskich w RP) mógłby nieodpłatnie przekazać go na ten cel, który jest przecież ważnym celem publicznym. To byłoby kontynuacją wspólniejszej tradycji żydowskiej działalności społecznej i najlepiej wyrazem pamięci o wszystkich pokoleniach poznańskich Żydów.

Poznań, wrzesień 2012

Co znaczy ten napis?

Rozmowa z Rafałem Jakubowiczem

Kiedy po raz pierwszy czytałam i oglądałam album Wojciecha Wilczyka *Niewinne oko nie istnieje*, zastanawiałam się, czego są winne oczy tych, którzy oglądali twoją prezentację *Berechat sechija*?

Pływalnię zrealizowałem w 2003 roku, a po raz pierwszy pokazałem w 2006 na wystawie w Centrum Żydowskim w Oświęcimiu, również w synagodze, w której po wojnie funkcjonowała hurtownia dywanów. Przeniesienie poznańskiej synagogi–pływalni do oświęcimskiej synagogi, do niedawna jeszcze hurtowni, było – w moim odczuciu – znaczącym gestem. Później pokazywałem *Pływalnię* jeszcze kilka razy – w Dvir Gallery w Tel Awiwie, w Motorenhalle Project Center of Contemporary Art w Dreźnie, w Galerii HIT w Bratysławie, w UBSM Belgradzie oraz w Muzeum Architektury we Wrocławiu, które funkcjonuje w dawnym kościele, co również stwarzało interesujący kontekst. Ale zdecydowanie najważniejszy był ten pierwszy pokaz, w Oświęcimiu.

Wystawa pośrednio wpisała się w toczącą się wówczas na łamach poznańskiej „Gazety Wyborczej” dyskusję o przyszłości poznańskiej synagogi.

Dyskusję, która została wywołana kuriozalnym artykułem Marcina Libickiego, wówczas posła do Parlamentu Europejskiego. Zaproponował on miastu odkupienie budynku synagogi–pływalni od Gminy Wyznaniowej Żydowskiej i zburzenie jej, gdyż, jego zdaniem, jest ona pozbawiona walorów estetycznych. Poza tym, twierdził Libicki, ówcześni Żydzi uważali się za Niemców, a nie Polaków, synagoga miała górować nad kościołami, w czym dostrzegł on wyraz kulturkampfu, zakładającego ograniczenie wpływów polskich i katolickich.

Odpór dali mu wówczas związani z Poznaniem historycy sztuki, m.in. Adam Labuda i Piotr Piotrowski.

To ważne, bowiem Libicki pod swym głupim i haniebnym tekstem podpisał się, jak pamiętasz, również jako historyk sztuki. Potem twierdził, że dyskusja została zideologizowana, a on – źle rozumiany. Trudno w ogóle zrozumieć, że ktoś, kto studiował historię sztuki, mógł coś tak kompromitującego napisać. A jednak. Jesteśmy w Polsce, w Poznaniu, mieście o silnej endeckiej, nacjonalistycznej i również, niestety, antysemickiej tradycji. Chyba tylko w ten sposób można wytłumaczyć fakt, że pływalnia w synagodze tak długo funkcjonowała.

Masz wrażenie, że w Poznaniu antysemickie resentymenty trafiają na podatny grunt?

Pozwól na taką odpowiedź: na początku 2012 roku poznańskie wydawnictwo Wers wznowiło antysemicką książkę Mieczysława Noskowicza *Najświętsze trzy Hostie* o sprofanowaniu przez Żydów hostii w Poznaniu. Jej promocja odbyła się w związanym z tą średniowieczną legendą kościele Bożego Ciała. Sala katechetyczna nie pomieściła wszystkich chętnych, książki rozeszły się błyskawicznie, a proboszcz był – jak to określił – „wniebowzięty”, że wydarzenie odniosło taki sukces. Również w 2012 roku oblano czarną farbą pomnik upamiętniający Żydów – ofiary hitlerowskiego obozu pracy na dawnym stadionie miejskim, znajdującym się przy ulicy Królowej Jadwigi.

Przywołałaś realizację Wojciecha Wilczyka *Niewinne oko nie istnieje* – kolekcję fotografii przedstawiających polskie synagogi, niektóre kompletnie zniszczone, inne zamienione w punkty handlowo-usługowe, nie tylko na prowincji. Przywykliśmy, że tak po prostu jest, nie dostrzegamy problemu. Historia tych miejsc została wyparta, tak jak wyparta została pamięć o Żydach. Warto zobaczyć cykl fotografii Wilczyka, by zdać sobie sprawę ze skali zjawiska. Niewiedza nie zwalnia z poczucia odpowiedzialności.

Czy coś szczególnego zostało w tobie z fotografowania budynku przy Wroneckiej? Skąd wziął się pomysł zrobienia tego napisu i zdjęcia? Mijasz to miejsce codziennie, w drodze do pracy, prawda?

I w końcu postanowiłem coś z tym zrobić, wykonać interwencję. Zresztą podobnie było również z innymi moimi pracami. Wybrałem projekcję świetlną z uwagi na jej subtelność. Ale ważny był również aspekt prawny. Bo działanie miało charakter partyzancki, nie szukałem żadnego oparcia instytucjonalnego, nie chciałem robić z tego projektu wydarzenia artystycznego, art eventu.

Nikogo nie informowałeś?

Nikogo nie informowałem, nikogo też nie zapraszałem. Zresztą nie wiedziałem, do ostatniej chwili, czy w ogóle uda się wyświetlić napis – nie było wcześniej

żadnej próby. Pomogli mi przyjaciele i koledzy. Użyliśmy profesjonalnego projektora świetlnego oraz estradowych przedłużaczy, które pozwoliły na dostarczenie prądu z niedalekiego budynku Akademii Sztuk Pięknych, ponieważ nikt w pobliżu nie chciał nam użyczyć dostępu do gniazdka. Akcja odbyła się o zmierzchu 4 kwietnia 2003 roku. Dokładnie sześćdziesiąt trzy lata wcześniej, 4 kwietnia 1940, zerwano linami gwiazdy na kopułach, następnie zarządzono przebudowanie gmachu na krytą pływalnię, która przetrwała nie tylko nazistów, ale również okres peerelu. Z pływalni wielu poznaniaków chętnie korzystało również po zmianie systemu, aż do września 2011 roku. Obiekt został zamknięty z uwagi na zły stan techniczny, ale można odnieść wrażenie, że rolę odegrało również otwarcie Term Maltańskich w październiku 2011 roku oraz przygotowania miasta do zbliżającego się Euro 2012. Wróćmy jednak do samej pracy. Na elewacji budynku, nad polskim napisem „Pływalnia Miejska” wyświetliliśmy napis w języku hebrajskim הייחשתתכיבר (*breichat schija*), co znaczy po prostu „pływalnia”.

Czyli właściwie cały zabieg polegał na przełożeniu słowa „pływalnia” na język hebrajski, a projekcję widzieli tylko pasażerowie przejeżdżających obok tramwajów i samochodów oraz przypadkowi przechodnie.

Niektórzy pytali nas, co znaczy ten napis. Wielu nie wiedziało, że pływalnia to dawna synagoga, byli zaskoczeni. Ktoś, wyraźnie pijany, podszedł i zaczął wygrażać, krzycząc, że nigdy tu nie było synagogi i nigdy nie będzie. Zależało nam głównie na dokumentacji fotograficznej oraz zapisie wideo. Dlatego akcja trwała krótko, może godzinę. Częścią pracy jest też film dokumentujący wnętrza – wejście dla kobiet, wejście dla mężczyzn, przebieralnia, natryski, basen. Trudno uniknąć natrętnych skojarzeń... *Pływalnia* to bardzo ważna dla mnie praca, również jako strategia wejścia w relację z miejscem, z niewygodną pamięcią.

Ile razy zdarzyło ci się odkryć, może przypadkowo, że dobrze ci znane miejsce, które wydaje się neutralne, oswojone, ma przemilczany cień?

W Swarzędzu działa ośrodek kultury. Znajduje się na terenie żydowskiego cmentarza, o czym mało kto wie, bo nie ma tam żadnej tablicy pamiątkowej czy informacyjnej. Widziałem, że ktoś położył kamień na murze, przy płocie. W czasie wojny macewy z tego cmentarza wykorzystano do budowy dróg i ulic oraz linii kolejowej Poznań–Warszawa, a teren zamieniono w park dla Niemców. Po wojnie Swarzędzkie Fabryki Mebli wybudowały tam żłobek. Po cmentarzu nie został żaden ślad. Zdjęcie przedstawiające budynek dawnego żłobka w pięknej zimowej scenerii zdobi swarzędzki kalendarz na 2011 rok. Okazało się, że cmentarz jest już na tyle zapomniany, że jego widok można zamieścić w kalendarzu jako zwyczajny krajozobraz z ciekawą architekturą. Myślałem nawet o tym, żeby się do tej sytuacji odnieść. Podobnie zepchniętych w niepamięć cmentarzy żydowskich jest w Polsce wiele.

Obecnie przyszłość poznańskiej synagogi jest niejasna.

Pojawiły się plany budowy w tym miejscu hotelu, które na szczęście zostały zaniechane. Widziałem koszmarne kiczowatą wizualizację, z czymś na kształt kopuły. Całość przypominała rodzimy postmodernizm lat 90. Gdyby rzeczywiście powstał luksusowy hotel – niewykluczone, że pływalnia wróciłaby do synagogi, co byłoby ironią losu. Mam jednak nadzieję, że nic z tego nie wyjdzie. Uważam, że to miejsce należy zachować właśnie w takiej surowej, okaleczonej formie, w jakiej obecnie się znajduje, bez zabiegów upiększających – dobudowywania kopuły, architektonicznych przeróbek. Budynek, jako świadectwo historii, jest bardzo wymowny. Wystarczy tylko przeprowadzić gruntowny remont. Prosta bryła, szlachetność szarego betonu i szkła. Warto wrócić do projektu Centrum Judaizmu i Tolerancji, bo to był, jak dotąd, zdecydowanie najlepszy pomysł.

Chciałabym zagadnąć cię o inne akcje wizualne w budynku byłej Synagogi Wielkiej. Podczas Malta Festival Poznań w 2010 roku grupa uczestników przeszła „krokiem raka” z katedry na Ostrowie Tumskim pod synagogę, minęła widmowy minaret Joanny Rajkowskiej. Dalej: *Tęsknię za tobą*, *Żydzie Rafała Betlejewskiego*, projekty Janusza Marciniaka. I wreszcie Mediations Biennale (2012). Czy któreś z tych wydarzeń, rozpisanych na przestrzeń budynku lub wokół budynku przy Wronieckiej, wywołało twój aplauz?

Janusz Marciniak w swoich realizacjach w interesujący sposób wykorzystuje infrastrukturę pływalni, by upamiętnić dawną synagogę. Działanie Joanny Rajkowskiej miało zupełnie inny charakter – *Marsz tyłem* to głos wsparcia inicjatywy budowy *Minaretu*, czyli *Pocztówki z Jenin*. Uważam, że źle się stało, że *Minaret* nie został zrealizowany, choć mam wobec niego sporo zastrzeżeń, niezrozumiałe są dla mnie m.in. odniesienia do Jeninu, czyli wpisanie poznańskiego projektu w konflikt izraelsko-palestyński.

To temat na inną rozmowę.

Masz rację. Z kolei *Tęsknię za tobą*, *Żydzie Rafała Betlejewskiego* to dla mnie przykład działania o charakterze populistycznym, rodzaj dość przaśnego eventu. Wspomniałaś też o Mediations Biennale 2012. Wiele spośród eksponowanych w Nowej Synagodze prac można było czytać w kontekście historii budynku, co wywoływało ciekawe interakcje. Jednak mam wątpliwości, czy to miejsce można wykorzystywać jako kolejną stałą przestrzeń ekspozycyjną Poznania, ponieważ jego realność stwarza niezbyt dominujący kontekst. Odczułem to podczas jubileuszowej wystawy, zorganizowanej przez Galerię ON. Większość prac – z wyjątkiem kilku, m.in. Krystyny Piotrowskiej i Mirosława Bałki – nie odnosiła się do miejsca, nie wchodziła z nim w żadną relację. Świętowano 35-lecie galerii, nie zwracając specjalnie uwagi

na kontekst. On tymczasem, jak można się było spodziewać, przytłoczył wystawę swym ciężarem. Tego rodzaju przedsięwzięcia wymagają, w moim przekonaniu, neutralnej przestrzeni, typu *white cube*. Zatem, jeśli tworzyć projekty wystawowe – to tylko z uwzględnieniem historii miejsca.

Od początku lat 90. artyści chętnie realizują projekty *site specific*. Jakie kojarzysz ważne interwencje artystyczne w przestrzeniach posynagogałnych?

Jedną z najbardziej kontrowersyjnych interwencji artystycznych w przestrzeniach posynagogałnych była chyba instalacja Santiago Sierry *245 Cubic Meters*, zrealizowana w nieczynnej Synagodze Stommel w niemieckim mieście Pulheim, na peryferiach Kolonii. Artysta wykorzystał gumowe węże, które doprowadzały spaliny z sześciu pracujących silników samochodowych do wnętrza synagogi. Widzowie mogli wchodzić do środka pojedynczo, w maskach gazowych, eskortowani przez strażników, mogli tam przebywać tylko pięć minut. Projekt okazał się międzynarodowym skandalem medialnym.

Widziałem odsłonięty w 2000 roku pomnik Rachel Whiteread upamiętniający austriackich Żydów zamordowanych przez hitlerowców, usytuowany przy wiedeńskim Judenplatz, nad miejscem, gdzie odnaleziono fundamenty synagogi, spalonej i zburzonej podczas pogromu w 1421 roku. Pomnik Whiteread to jasny prostopadłościan, obłożony wyrzeźbionymi w kamieniu książkami, wstawionymi grzbietami do środka – negatyw biblioteki.

Skoro jesteśmy przy pomnikach... słowo ma korzenie w staropolskim „pomnieć”, „pamiętać”. W polszczyźnie więc twoje prace w istocie są chyba pomnikami. Choć z angielskim *a monument* już niewiele mają wspólnego, bo odręcza cię monumentalność. Na przykład *Seuchenspergebiet* (billboard) i *Meerschaum* pojawiły się efemerycznie – dziś dysponujemy zdjęciami. Czasem wręcz dajesz odbiorcy tylko kadr, by potraktował go jak zdrapkę, by dorał się do pokładów przeszłości, włączył ruch przypominania i asocjacji (jak z monogramem Ewy Braun w Zamku Cesarskim w Poznaniu), wykorzystujesz takie powidoki. To twój ulubiony artystyczny gest, znak firmowy? Podobnie jak twoje pocztówki, kartki z widokami tego, czego nie widać?

Staram się, by moje projekty nie miały monumentalnego czy też komemoratywnego charakteru, a raczej krytyczny lub demitologizujący. Dlatego znacznie bliższe jest mi twoje określenie „powidok”. Myślę, że dobrze opisuje ono moje działania. W przypadku projektu z 2007 roku, zrealizowanego w ramach konkursu *Spojrzenia*, sponsorowanego przez Deutsche Bank, odniosłem się do niechlubnej przeszłości niemieckiego banku, ale projekt był przede wszystkim działaniem typu *site-specific*, krytyką przedsięwzięcia wspólnie firmowanego przez instytucję wystawienniczą oraz finansową. W salach ekspozycyjnych Zachęty została

wykuta, a następnie zagipsowana nazwa oraz logo banku. Postal tylko gruz na podłodze oraz zdjęcia dokumentujące proces realizacji, zamieszczone w folderach przypominających materiały reklamowe banku. Identyfikacja wizualna sponsora została – dosłownie – odcisnięta w murach szacownej instytucji, czyli Narodowej Galerii Sztuki. Wspomniałaś neon *EB*, który powstał specjalnie na wystawę *Stan wewnętrzny* w Centrum Kultury „Zamek” w 2006 roku, dotyczącą przebudowy wnętrz dokonanej pod okiem Alberta Speera. Neon przedstawiał monogram zaprojektowany przez Alberta Speera dla Ewy Braun, przypominający motyla lub czterolistną koniczynkę. Potem projekt nieoczekiwanie znalazł kontynuację, gdy przypadkowo w Izraelu znalazłem bardzo podobny motyw wizualny znanej tam marki odzieżowej Bagir.

W jednej z nowszych prac, *Das Seine. Forschungsprojekt*, którą zrealizował z tobą serbski artysta Nikola Radič-Lucati w Galerii Piekary w Poznaniu w 2011 roku, odniosłeś się z kolei – poprzez historię Franza Ehrlicha – do mitu Bauhausu.

Franz Ehrlich w latach 1927–1930 studiował w Bauhausie, po ukończeniu szkoły pracował w biurze projektowym Waltera Gropiusa, został aresztowany w 1935 roku jako komunista, a w 1937 roku trafił do obozu w Buchenwaldzie, gdzie zaprojektował bramę przyszłego obozu Zagłady, ze słynnym napisem „Jedem das Seine”, wzorując się na charakterystycznej typografii Bauhausu, wypracowanej przez Joosta Schmidta (przypominającej też alfabet Herberta Bayera, notabene również współpracującego z hitlerowcami). W 1939 roku, gdy był już wolny, poproszono go, by zajął się rozbudową obozu, na co przystał, przyjmując obozowy etat. Gdy uruchomiono machinę śmierci Buchenwaldu, Ehrlich został wysłany do Sachsenhausen, gdzie również pracował nad rozbudową obozu. Po II wojnie światowej był on jednym z najbardziej znanych i prominentnych projektantów, głównym architektem NRD, podobnie jak Albert Speer w III Rzeszy.

Nikola Radič-Lucati w prezentowanej na tej wystawie pracy pt. *As they stand* dokonał zaskakującego zestawienia fotografii zabudowań nazistowskiego obozu Sajmište w Belgradzie ze zdjęciami południowych obrzeży Tel Awiwu, przy granicy z Jaffą.

Tam rozpoczęła się budowa miasta i przebiegała linia w czasie pierwszej wojny izraelsko-arabskiej w 1948 roku. Skojarzenie mogło być z pozoru odległe. Modernistyczne, bauhausowskie zabudowania belgradzkiego Sajmište oraz Tel Awiwu okazują się jednak zadziwiająco podobne od strony wizualnej. Łączy je surowa forma. Mają bowiem zakotwiczenie ideologiczne w latach 20. i 30. XX wieku. Sajmište znaczy „obszar wystawy” (*fairground*); w 1937 roku wzniesiono

nowoczesne pawilony targowe, kompleks kilku budynków skupionych wokół wieży, które później stały się częścią obozu Semlin Judenlager. Narodowe pawilony wystawowe, kwintesencja nowoczesności, znalazły ponowne zastosowanie jako fabryka śmierci. Trudno nie dostrzec w tym fakcie wymiaru symbolicznego; modernistyczny projekt stał się bowiem miejscem eksterminacji. Centralny obiekt Sajmište, reprezentacyjna wieża, atrakcja wystawy, okazała się doskonale spełniającym swą funkcję quasi-panoptikonem, manifestacją bezwzględnego oka władzy, dozorującego ofiary. Mieściła się w niej komendantura obozu oraz archiwum. Realizacja *As they stand* Nikoli Radiča-Lucatigo dotyka związków między nowoczesnością a Zagładą, o czym pisał Zygmunt Bauman.

„Każde pokolenie powinno mieć własną sprawę z Zagładą i w ogóle z przeszłością. My jesteśmy ostatnimi świadkami bezpośrednich świadków Zagłady” – tak w rozmowie o synagodze powiedział mi Janusz Marciniak. Dlaczego zajmujemy się Zagładą? Przeraża, fascynuje, mamy swoje prywatne historie rodzinne, interesuje nas jako społeczny problem... ?

Pływalnia pośrednio tylko dotyczy Zagłady. Jest to praca o amnezji mieszkańców Poznania. Podobnie wcześniejsza *Arbeitsdisziplin*, która przywołuje mroczną historię Volkswagena, budzi skojarzenia z obozem koncentracyjnym, ale zarazem dotyczy współczesnego wyzysku korporacyjnego. W przypadku *Pływalni* charakterystyczne prysznice, natomiast w przypadku *Arbeitsdisziplin* plot z drutem kolczastym oraz komin wystarczają, by pojawiły się fatalne skojarzenia – są to bowiem klisze, które natychmiast rozpoznajemy. Ale przecież nie jest to ani komora gazowa, ani obóz koncentracyjny.

Te obrazy mamy wdrukowane, nie sposób się od nich uwolnić.

Dlatego określenie „powidok”, którego kiedyś użyłaś, wydaje mi się trafne. Jestem zwolennikiem przepracowywania historii na gruncie sztuki, ale nie mogę powiedzieć, że czuję się „świadkiem bezpośrednich świadków”, jak to określił Janusz Marciniak, ani też „poświadkiem”, jak to kiedyś określił Mirosław Bałka. Cień Zagłady ciągle wkrada się i prześladowuje pozornie neutralne sfery codzienności, na co nie mamy żadnego wpływu. Wiele lat temu w gazecie przeczytałem, że w Niemczech chciano wyprodukować kuchenki gazowe o nazwie Zyklon, jednak koncern Bosch Siemens, gdy pojawiły się protesty, wycofał wniosek o ochronę takiego znaku towarowego z uwagi na skojarzenia z niemieckim gazem Zyklon B. Przedstawicielom koncernu było przykro, że ich wniosek patentowy mógł kogoś obrazić.

Nasuwa się skojarzenie z pracą Toma Sachsa z 1998 roku.

Jasne, *Giftgas Giftset* to projekty opakowań perfum (Chanel, Hermes, Tiffany & Co.), dla których pierwowzór stanowiły właśnie pojemniki z cyklonem B, co – jak mogłoby się wcześniej wydawać – stanowiło ewidentne nadużycie wobec pamięci ofiar. Tymczasem rzeczywistość okazała się bardziej zaskakująca, wyprzedzając wyobrażenia proponowane przez radykalną sztukę.

W ostatnich miesiącach nierzadko w wypowiedziach kierujesz uwagę na ulicę Średzką w centrum Poznania, gdzie niedawno powstało getto kontenerowe.

Czyli, jak to eufemistycznie zwykły określać władze miasta, „osiedle socjalne”. Miejsce to znajduje się stosunkowo blisko centrum, ale urzędnicy bardzo sprytnie wybrali lokalizację – trudno tam trafić. Warto jednak wybrać się na ulicę Średzką, by na własne oczy przekonać się, jak wygląda projekt z takim uporem lansowany przez władze miasta. Rząd kontenerów na odosobnionym, zapuszczonym placu, otoczony wysokim murem, monitorowany przez kamery. Nie trzeba wykazać się szczególną wrażliwością ani ponadprzeciętną wyobraźnią, by uruchomić maszynę skojarzeń. Nasuwają się same. „Apel środowiska kultury w sprawie polityki mieszkaniowej”, który napisaliśmy jako poznańskie środowisko związane z kulturą, spotkał się z niezwykle protekcyjną odpowiedzią, czego się, szczerze mówiąc, spodziewaliśmy. Za projektem „socjalnych osiedli kontenerowych” stoją nie tylko interesy deweloperów, ale również potężna maszyna propagandowa miasta, określająca zalegających z czynszem nieszczęśników, którzy tam trafili i w przyszłości trafią, jako „trudnych lokatorów”, co niektórzy ochoczo podchwytują, nazywając ich z kolei „nierobami” i „menelami”. Takiego języka używa się nawet oficjalnie, w mediach.

Nie trzeba czytać Klemperera, by domyślać się, do czego taka dehumanizacja na poziomie języka może w konsekwencji doprowadzić.

Jak pisała Judith Butler, istnieją „podmioty”, które nie do końca da się uznać za podmioty, istnieją też „życia”, które nie do końca uznaje się za życie. Urząd Miasta posłużył się strategiami reklamowymi, by napiętnować ubóstwo. Na ulicach Poznania w ramach konsekwentnie prowadzonej kampanii Programu Przeciwdziałania Procederowi Żebractwa pojawiły się billboardy z komunikatem „Żebractwo to wybór, nie konieczność”. Co więcej, wyprodukowano wyjątkowo perfidne antyżebracze gadzety, np. samochodowe odświeżacze powietrza oraz żetony do wózków na zakupy, wyposażone oczywiście w stosowne hasło: „Nie ma dających – nie będzie biorących”. Urzędnicy nie zadali sobie trudu zrozumienia, dlaczego ludzie decydują się na tak rozpaczliwy krok. Ich zdaniem żebracy powinni budzić tylko niechęć i obrzę, no i oczywiście zejść z widoku, ponieważ swoją obecnością

psują estetykę centrum. Gdy czyjegoś życia nie postrzegamy jako mającego wartość, skazuje się je – zwróciła uwagę Butler – na brzemień głodu, zatrudnienia poniżej kwalifikacji, braku prawa głosu, wystawiając na przemoc i śmierć. Obecnie największy problem stanowi właśnie dyskryminacja ekonomiczna, wykluczenie ze względu na biedę. Środowiskiem, które od początku nie tylko monitoruje sprawę osiedla kontenerowego, ale także nagłaśnia problem, są aktywiści z poznańskiego Rozbratu. W 2011 roku ich budzący kontrowersje plakat z motywem nawiązującym do formy bramy w Auschwitz I wywołał publiczną dyskusję.

Również artyści muszą znaleźć język, który pozwoli skutecznie wejść w ten konflikt, ponieważ apele nie przynoszą – jak widać – żadnego rezultatu. Kontenerowe getto biedy funkcjonuje w centrum Poznania. I niewykluczone, że będą powstawać kolejne. Już bez protestów, bez zadawania niepotrzebnych pytań. Z milczącym przyzwoleniem społeczeństwa.

Wracając do dyskusji wokół poznańskiej Nowej Synagogi – czy można było przypuszczać, że w 2006 roku jakiś polski polityk pozwoli sobie wystąpić z postulatem jej wyburzenia? Sądziłem, że te czasy mamy już za sobą.

Poznań, marzec 2013

Pokój z widokiem na. Rozmowa z Bartłomiejem Krupą

Pływałeś w budynku przy Wronieckiej. Kiedy dowiedziałeś się, że niegdyś w tym miejscu modlili się poznańscy Żydzi?

Grzebię w pamięci i nie jestem pewien. Ale to musiało się stać dosyć późno, przypuszczam, że dopiero pod koniec liceum (jestem z rocznika, który zaczynał studia w latach 90.). W pierwszej–drugiej klasie jeszcze chodziłem do tej pływalni z kolegą, którego ojciec prowadził klub nurkowy z siedzibą przy samym Starym Rynku. Na przełomie liceum i studiów zrozumiałem, że to coś etycznie podejrzanego.

Jesteś rodzonym poznaniakiem.

Tak, wszystkie szkoły tutaj pokończyłem. Ale tematyka żydowska niemal w ogóle nie była w mojej szkole poruszana. Pamiętam tylko lekturę *Początku Szczypiorskiego* w klasie maturalnej. Powieść wywarła wtedy na mnie duże wrażenie. Dziś oceniam ją krytycznie.

Już w czasach szkolnych interesowała cię tematyka żydowska?

Zajmowała mnie w ramach szeroko pojętej martyrologii. Od dziecka interesowałem się obozami koncentracyjnymi. Mam anegdotę: moi rodzice są aktorami, urządzali czasem przyjęcia. Pamiętam, gdy przyszedł do mojego pokoju jeden z aktorów Teatru Nowego, wtedy jeszcze pracował w Polskim. Bawiłem się żołnierzami. Spytał, co to za bitwa. Odpowiedziałem, że to żadna bitwa, ale Dachau. Spojrzał z niepokojem i dociekał, jakie Dachau. Przeczulem, że odpowiedziałem nie tak, więc poprawiłem się, że jednak Buchenwald. Spytał później rodziców, czy wszystko ze mną OK. Więc zaczęło się to bardzo wcześnie.

A, powinienem dodać: bawiłem się w ucieczki z obozu, nikogo nie paliłem! Przez całą podstawówkę i liceum czytałem wspomnienia. Ale zobacz: mogłem się tym interesować i właściwie nie dotrzeć do sedna tematyki żydowskiej.

Jakoś sobie tłumaczysz specyfikę tych wczesnych zabaw?

Nie wiem, to było atrakcyjne. Na pewno dostała się w moje ręce książeczka z serii „Żółte tygrysy” Ministerstwa Obrony Narodowej: *U progu śmierci* z 1986 roku, historie z różnych obozów. Szczególnie drastyczny był opis obozu dziecięcego w Łodzi. Czytając go, musiałem mieć siedem–osiem lat. Żołnierzkami na pamiętnej imprezie bawiłem się mniej więcej w tym samym czasie.

Córce, Uli, kupiłeś obrazkowe książki o Holokauście, np. *Dym z ilustracjami Joanny Concejo i tekstem Antona Fortesa*? Mama każe w niej chłopcu zamykać oczy przy aktach obozowego brutalizmu, „by nie śniły mu się smoki”.

Strategicznie: nie kupiłem. Pewnie i tak sama do nich dotrze. Przy takiej bibliotece ojca to raczej nieuniknione.

Skąd to do ciebie przyszło?

To o tyle dziwna historia, że kiedy zacząłem się ujawniać z tematami żydowskimi, zrobiło się tajemniczo w domu. Moja rodzina zawsze funkcjonowała w okolicach getta. Ojciec pochodzi z Łodzi, urodził się po wojnie, w 1948 roku. Ale babcia i stryj, już nieżyjący, mieszkali na pograniczu getta łódzkiego przez całą okupację. Dziadek nie, bo walczył w armii Andersa. I kiedyś poszedłem do stryja, a ten pokazał mi jakieś dziwne monety, z getta, niektóre bardzo wartościowe. Podobno po likwidacji getta łódzkiego pełno się ich wałało po ulicach i sporo dzieciaków, w tym mój stryj, się nimi bawiło. Dostawałem podobne informacje cały czas, później odsłaniało się drugie dno, nabierały nowego sensu. Moja matka na przykład kończyła studium przy Teatrze Żydowskim w Warszawie, zresztą jest koleżanką Goldy Tencer, zna jidysz. Nie zajmowałem się tym. Interesowałem się bardziej literaturą Skandynawii i powieścią detektywistyczną, a z historii – II wojną i obozami. Wychowywałem się na osiedlu Kopernika, a więc niedaleko Lubonia. Chodziłem do Żabikowa na wycieczki z psem i jeździłem na rowerze. Babcia jednego kolegi ze szkoły podstawowej mieszkała bardzo blisko tego obozu, również w czasie wojny.

Nie zadawałeś rodzinie rozstrzygających pytań?

Nie zadawałem, ale często się nad tym zastanawiałem, w różnych wariantach, w tym i najbardziej skrajnych, myślałem na przykład o możliwym utajonym żydostwie ojca. Rodzina matki na papierze jest szlachecka, z Lwowszczyzny. O rodzinie ojca prawie nic nie wiem, żałuję, że nie mogę już porozmawiać z moją babcią. Bo dziadkowie z drugiej strony w okupacji byli blisko getta w Krakowie (babcia pochodzi z Poznania, dziadek urodził się w Łodzi), trafili w okolice dzielnicy Ka-

zimierz. O ile w Łodzi było ciężko, babcia, mama taty, szefowała tam w fabryce krawieckiej, którą przejęli Niemcy, musiała dziewczyny ratować przez wywózkami, o tyle od strony rodziców mojej mamy obraz okupacji jawi się zupełnie inaczej. Zabawy w bryczkach, wycieczki do Borku Fałęckiego, nieustanna impreza. Dziadek był w wywiadzie AK i pracował w Krakowskich Zakładach Sodowych Solvay, nawiasem mówiąc, w tym samym czasie pracował w nich też Jan Paweł II. Dziadek z kolegą, w ramach działań „dywersyjnych”, kradli tam Niemcom materiały. Generalnie żyli na wysokiej stopie. Żydzi nie mieścili się w ich horyzoncie, to był zupełnie inny świat. Jak zdążyłem podpytać babcię (zmarła w tym roku) o stosunek do Żydów w poznańskim domu (mój pradziadek był znanym dentystą wykształconym w Berlinie, zaś prababcia prowadziła dom, mieszkali w kamienicy przy ulicy Kraszewskiego) – to nie mówiono inaczej niż: ta Żydowa. Inna sprawa, że pradziadek był typowym poznańskim endekiem, z kolei moja babcia pełną optymizmem osobą, która się bawiła życiem, poważne tematy przechodziły obok niej. Pięć lat okupacji w Krakowie, gdzie trafiła z rodzicami po wysiedleniu z Poznania, a wspomnienia jak z imprez studenckich.

Mówiłeś, że czytałeś pasjami powieści detektywistyczne. Kiedy zacząłeś być detektywem po życiu i Zagładzie Żydów w Polsce?

Naukowo zacząłem się tym zajmować w początkowym etapie studiów, to były też początki anglojęzycznych lektur na ten temat. Wtedy dzięki profesor Ewie Domańskiej – jej inspirującym zajęciom zresztą zawdzięczam to, że w ogóle zostałem na historii – na pierwszym roku studiów dokonałem odkrycia, że obóz koncentracyjny jest czym innym niż obóz zagłady. Niby zawsze to przeczuwałem. Jak idą więźniowie rampą, to Polacy idą do obozu, a Żydzi są mordowani. Ale wtedy zrozumiałem, że to dwie zupełnie różne opowieści. Cały czas interesowałem się też teorią historii i historią historiografii, w których ważnym tematem okazało się, jak pisać o Zagładzie i budować o niej syntezę. Na kanwie tego szerokiego tematu zaczęło się moje zainteresowanie Zagładą *sensu stricto* i już pracę na trzecim roku poświęciłem przedstawieniom Holokaustu. A gdy pisałem pracę magisterską, mieszkałem na terenie Auschwitz. Spałaś tam kiedyś?

Nie, ale opowiadała mi Lena Piękniewska o oczyszczeniu i osobliwej witalności, z jaką wróciła z tego miejsca.

Wydajesz się zdziwiona, a ja ją doskonale rozumiem: w tamtym okresie mojego życia po raz pierwszy byłem naprawdę szczęśliwy. Niesamowite doświadczenie egzystencjalne. Pewnie od dawna mieszkałem w tym świecie i dopiero tam poczułem się jak w domu.

Pokoje gościnne zorganizowano w byłych koszarach SS. Zamieszkałem na parterze, w pokoju z widokiem na szubienicę, na której powieszono po wojnie komendanta

Rudolfa Hössa. Najbardziej przerażającą konkluzją, jaką stamtąd wyniosłem – ale nie jest ona żydowska, tylko obozowa – jest to, że czułem się tam znakomicie, czułem się zadomowiony, nie chciałem wracać do Poznania. Wstawiałem o siódmej, parzyłem kawę, o ósmej szedłem do archiwum, wszystkie notatki robiłem odręcznie. Pracowałem jak automat. Facet, który tam mieszkał przede mną, fotograf z Warszawy, nie wyłączył w nocy światła i spędził jedną noc, nie wytrzymał więcej. Nie jest to świadectwo mojego kombatanctwa i dzielności, tylko pewnej fascynacji.

Masz na półce album Wilczyka?

Bardzo cenię tę książkę i robotę, którą wykonał. Mam też książkę Piotra Foreckiego ze zdjęciem Wilczyka na okładce.

Z Piotrem Foreckim się przyjaźnicie. Poznaliście się na „tej” płaszczyźnie?

Gdy z Przemkiem Czaplńskim organizowaliśmy sesję o Zagładzie, podszedł do niego doktorant wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa, później przysłał abstrakt, spotkaliśmy się, bo zajmował się dość długo tym samym co ja i miał zbliżone poglądy. Okazało się, że doskonale się rozumiemy. Aż dziwne, że tak długo mieszkaliśmy w tym samym mieście i się nie zetknęliśmy. Odtąd spotykamy się regularnie. W Oświęcimiu zorganizowaliśmy wspólnie sesję o Tadeuszu Borowskim.

„tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny / roztrzaskane szybki synagog” – to, oczywiście, nie Borowski, ale Józef Czechowicz w *Żalu*. Jakie teksty literackie są, według ciebie, najlepszym przewodnikiem po świecie dawnych polskich Żydów oraz ich Zagłady?

Najważniejsza po polsku książka i jedna z ważniejszych w ogóle to *Kamień graniczny* Piotra Matywieckiego, hermetyczna, trudna, jest białym krukiem, aukcje na allegro osiągają zawrotne sumy. Matywiecki dokonał czegoś fundamentalnego, pokazał na długo przed Agambenem, jak zagłada nicościuje świat. Większość interpretacji tej książki posłała w stronę biograficzną i to akurat niedobrze. Psychoanalityczno-biograficzne ślady kazały traktować to dzieło – nie esej, nie powieść, ale rozprawę filozoficzną – jako swoiste katharsis.

Miałem różne przygody z książkami, najpierw się podobały, później blakły. Tak było z *Umschlagplatzem*. Dziś mam z nią problem. To, co się działo z Rymkiewiczem, jakoś mi ją zepsuło. Cenię *Tworki* Marka Bieńczyka, ale dziś ta powieść nie wydaje mi się już tak świeża. Poczułem przesyty tego rodzaju pisania. Przeważnie jestem dość krytyczny. Nie lubię Primo Leviego, Améry mnie nie przekonuje, może dlatego że ukazał się w Polsce bardzo późno. Dan Pagis, jeśli mówimy o poezji, to dla mnie ktoś ważny.

„Zagłada to pęknięcie wywołujące działanie” – tak mówi Rainer Mahalamaki, architekt budynku Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie. Owo pęknięcie oddziela życie polskich Żydów od Zagłady. Co jest dziś trudniejsze – dociekanie o Zagładzie czy życiu Żydów?

W drugiej połowie lat 80. XX wieku zaczęło się odzyskiwanie Żydów, ale nie przez pryzmat Zagłady, lecz przez pryzmat międzywojnia, pojawiły się opowieści o dwóch społecznościach sąsiadów, którzy u siebie kupowali w sklepach i się lubili, taka sielankowa wizja.

Jankiel im przygrywał.

To była konsekwencja zmęczenia wojną polsko-jaruzelską, próba obrania trzeciej drogi. Do późnych lat 90. takie spojrzenie dominowało, zwłaszcza w historiografii, powstało około dwustu książek pisanych przy użyciu nostalgicznych kluczy. Zagłada nie była w nich obecna.

Z punktu widzenia historycznego w Poznaniu Zagłada to temat czysty, bo nie u nas się to pęknięcie dokonało. Był, oczywiście, obóz przejściowy na stadionie przy dzisiejszym Multikinie, robotnicy żydowscy meliorowali kanał Warty, dzięki temu dziś nie mamy powodzi, które były czymś normalnym do XVIII/XIX wieku, gdy woda zalewała aż Stary Rynek. Tutejszych Żydów przerzucano do Generalnej Guberni i tam Zagłada się dokonywała. Z perspektywy Poznania jest właściwie niewidoczna, choć nad nim się unosi, bo oni przecież nie wrócili.

Trudno więc pisać o przedwojennym Poznaniu w kategoriach Władimira Toporowa. Poznańskie teksty nie są zwierciadłem tamtego miasta, „konstrukcją, za pomocą której dokonuje się przejście *a realibus ad realiora*” (przeł. B. Żyłko). Umiesz sobie odtworzyć w wyobraźni tamten Poznań, sprawdzić jego więzi z dzisiejszą morfologią miasta?

Po wojnie moi dziadkowie zamieszkali w Warszawie, spędzałem tam wszystkie wakacje i święta. Szybko wyczułem, że to miasto jest złożone jak palimpsest. Od razu złapałem, gdzie szukać żydowskich ulic. Szybko więc zacząłem sobie wyobrazać, jak mógł wyglądać Poznań, jego dzielnice. Warszawa nauczyła mnie spojrzenia na przestrzeń jako złożoną z różnych warstw, uczyła rozpoznawania dzielnic i głównych sensów. Ale nasączenie ich szczegółami może się chyba odbyć tylko w rozmowach, jakie prowadziła z Zwi Steinitzem czy Baruchem Bergmanem. Mnie doświadczenie czyste ze świadkiem się nie zdarzyło, tylko doświadczenie osobiste z rękopisami świadectw. Od pewnego czasu zacząłem się zastanawiać, co się z tą Zagładą dzieje. Stała się już przecież mitem założycielskim Izraela i jest nieustannie zawłaszczana. Boję się tego momentu, w którym dyskurs tłumi doświadczenie indywidualne. To na przykład doprowadziło do wzrostu nacjonalizmu izraelskiego.

Prezentując materiał *Kołysanek na wieczny sen* podczas koncertu w byłej synagodze przy Wronieckiej, wyświetlano przedwojenne zdjęcia poznańskich Żydów ze zbiorów Firy Melamedzon. Zdjęcia bez patosu, bez traumy.

Wiele osób dociera do tego miejsca. Alina Molisak, która napisała doskonałą monografię Wojdowskiego, powiedziała mi kiedyś, że ze względów psychologicznych musiała odejść od Zagłady i tym sposobem zajęła się dwudziestolecie. Strategia opowiadania o Zagładzie sprzed Zagłady swego czasu popularna była też w prozie. W *Zagładzie* Piotr Szewc nie pisał wprost (jedynym sygnałem jest tytuł), co się z wszystkimi jego bohaterami stanie, a oddawał pełnię życia, ze smakami i obrazami, sferą fatyczną i namacalną.

Dziś wprowadzenie takiego stylu w przestrzeń opowieści to nic nowatorskiego. Gdy trafiłem do Oświęcimia na kwerendę archiwalną, dosyć świeżą sprawą była wystawa w zachowanej tzw. centralnej saunie.

Zanim odeszli.

Właśnie tak. Sauna to budynek na terenie Brzezinki, w którym więźniowie żydowscy się rozbierali, tuż przed dokonaniem Zagłady. Wchodzisz jako widz i pomysł polega na tym, byś nie dotykał tej przestrzeni. Idziesz po szklanych płytach, wąskim przejściem, które cię dyscyplinuje i wszyscy pokonują drogę Żydów, widzą te oryginalne napisy niemieckie (tu się rozbieracie, tu jesteście badani). W ostatniej sali, ze szkła, co multiplikuje obraz, widnieje gigantyczna ściana z fotografiami, częściowo znalezionymi w bagażach więźniów (bo mija się też walizki), częściowo odzyskanymi czy wykupionymi. Wszystkie pochodzą pewnie z międzywojnia. Pokazują Żydów, o których wiemy, że zginęli w Brzezince. To sceny rodzajowe, o jakich mówiłaś, portrety. Pamiętam doskonale zdjęcie dwójki dzieci, chłopiec, trochę starszy, i dziewczynka, on w stroju ułana, ona w białej, niemal komunijnej sukience, trzymają się za rączki, uśmiechnięci. Obok sceny w powozach. Przy niektórych zdjęciach udało się ustalić tożsamość i zdjęcia zostały opatrzone podpisem.

Zdjęcie chłopca z misiem i książką. Zdjęcia ślubne.

Ta wystawa była objawieniem, nowym sposobem ukazywania Zagłady w przestrzeni muzealnej, wydano album. Ekspozycja otrzymała wiele nagród. Zachęciła mnie do jej obejrzenia ówczesna wicedyrektorka, Teresa Świebocka, dzięki której się tam w ogóle znalazłem. Opowiadała mi o niej z poczuciem, iż to coś, co rewolucjonizuje sposób spoglądania na obóz.

Mam jednak wątpliwość związaną z uderzeniem tekstów z lat 80., takimi relacjami, które tłumili reakcje antysemitki Polaków, bo pokazywały sielankowy świat polsko-żydowski. To później zostało wywrócone na nice przez Jana Grossa i badania

Centrum nad Zagładą Żydów. Pojawił się problem, że powrót do świata Żydów rodzi kontekst ideologiczny.

Miło się czyta, ale dlatego, że jest miłe, jest niebezpieczne?

„Życie jest piękne” – napisał ci Baruch Bergman. Ale wiadomo, nie dla wszystkich. Mam z tym w ogóle jakiś problem, że niektóre ocalone osoby są tak pogodne. Staruszka Irit Amiel na przykład: tryska życiem. Notabene, Ida Fink też nie mówiła swojej córce o Zagładzie, nie obarczali jej tym, a mąż Fink przeżył kilka obozów.

I oto fragment dla kogoś, kto pisze pierwszą monografię Idy Fink. W opowiadaniu *Julia* obrazowała ona Poznań międzywojenny: „W drugim roku pobytu w P. zaszły dwa wypadki, które gwałtownie osłabiły jej sympatię dla miasta, które polubiła za czystość i porządek. Starszego syna, Dawida, pobili w szkole koledzy, wołając: »bij Żyda, bij Żyda«, i chłopak od tego czasu zaczął się garbić, jakby stale czekał na cios. Drugi wypadek miał miejsce w pięknym holu filharmonii i wymowę miał równie silną, choć dyskretniejszą w formie. W przerwie recitalu znanego pianisty usłyszała Julia półgłosem wymówione zdanie: »Nawet tutaj nie można się od nich opędzić...«. Zrezygnowała z dwóch ostatnich, ulubionych sonat Beethovena (była melomanką intuicyjną, bez wykształcenia) i opuściła gmach filharmonii, by więcej tam nie powrócić”.

Rzeczywiście, chodzi o ciotkę pisarki. Siostra Idy Fink – Hela, która była także bohaterką powieści *Podróż*, potwierdziła, że chodzi o Poznań. W opowiadaniu mamy świat zgermanizowanego miasta na P., co jakoś koresponduje z gorzkim wierszem Krynickiego o mieście, które nade wszystko ceni porządek i czystość. Nie rozumiem zresztą, skąd ta strategia Fink, by kryptonimować wszystko, Zbaraż to zawsze miasteczko na Z., jedyna nazwa, która się pojawia i pozwala Zbaraż odszyfrować, to rzeka Gniezna.

Nie wiesz nic o tym, jakoby Fink była w Poznaniu?

Pracowała w Yad Vashem, jej teksty opierają się nie tylko na jej biografii. Ostatnio wykopałem w IPN-ie relację Fink z początku lat 60. z Yad Vashem, kilkanaście stron – na jej planie zbudowana została powieść *Podróż*. Można przyjąć, że tam funkcjonuje pakt referencyjny. Fink wyemigrowała w 1957 roku, wróciła w połowie lat 90., po prawie czterdziestu latach. Nie sądzę, by miała w Poznaniu jakieś spotkanie autorskie. W naszym tysiącleciu zaczęła już chorować. Osoby, które się z nią kontaktowały, mówią, że była wyjątkowa. Jak profesor Izolda Kiec, która dała mi w zeszłym tygodniu swoje zdjęcia z wizyty u Fink.

Mur używany jest w Polsce, by wyrazić nienawiść. Rafał Betlejewski wykorzystał go do tego, by ogłosić *Tęsknię za tobą, Żydzie*. Co sądzisz o tej interwencji?

Towarzyszy mi ta sama ambiwalencja, o której już mówiłem, mieści się ona w tym samym problemie, moim osobistym. Tęsknię za nimi, tęsknię w wymiarze dobrego multi-kulti, mając świadomość, że jest w tym wiele z opowieści badaczy. Nasze miasto nigdy nie było multi i kulti, żyły tu trzy kultury – niemiecka, polska, żydowska – mocno od siebie odseparowane. Tęsknię, bo dobrze czuję się w miastach, gdzie spotykam wiele kolorów. Ta akcja jest anarchizująca i na swój sposób ważna, ważniejsza niż kiczowaty gest podpalenia stodoly. Mądrze wdarła się w przestrzeń miejską.

Gadałem ze Zbigniewem Liberą, który gościł na wspomnianej już konferencji. Przyjechał na nią jako klasyk reprezentacji Zagłady, twórca *Lego*, czegoś wyjątkowego. Ale mieszkał w tamtym czasie w Atenach i poszedł właśnie w stronę akcji ulicznych, które zachwiały porządkiem miejskim.

Kibicuję akcjom w synagodze, ale późno zacząłem się uczyć sztuki wizualnej, właściwie dopiero wtedy, gdy zacząłem prowadzić zajęcia na temat sztuki najnowszej. Sam dość szybko miałem zajęcia z profesorem Piotrowskim, który nam mówił, co się dzieje wokół pływalni przy Wronieckiej.

Pewne sprawy wychodziły mimochodem. Wywieszenie reklamy kuchenek gazowych na pływalni było momentem, w którym życie przekraczało sztukę. Albo reklama Abnormals Gallery przy ulicy Wronieckiej: ponad dwa lata temu podczas swojej inauguracji wykorzystala projekt włoskiego artysty Maksa Papeschiego. W pobliżu synagogi zawisł billboard z dziewczyną w pozycji pin up z głową Myszki Miki, na tle flagi nazistowskiej. Niby taka kampowa krytyka antymniejszościowych stereotypów. Zaprotestowali radni poznańscy z PiS-u, więc galeria opublikowała na swojej stronie manifest na temat wolności i wkrótce wywiesiła kolejny billboard tego samego artysty – wizerunek gigantycznego transformera, który idzie przez miasto z menorą w rękę i wszystko burzy. Oto z kolei krytyka posunięć Izraela wobec Palestyńczyków.

Załapałem się na pierwszą interwencję w synagodze. Jak mówimy o mojej prywatnej historii synagogi, to było coś ważnego: śpiewał chór, na tafli wody położono konstelację ze światła. Google ma lepszą pamięć, muszę sprawdzić.

***Atlantyda* Janusza Marciniaka, w ramach dnia judaizmu.**

A widzisz. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Dziś pachniałoby mi pewnie kiczem i tanią sentymentalizacją. Potem nie uczestniczyłem w podobnych akcjach, byłem na bieżąco dzięki Piotrowi Foreckiemu, który mi relacjonował. Dziwny jest mój stosunek do przestrzeni synagogi, niepoukładany, niepoddany namysłowi. Boję się mitologizowania, ale łapałem się na punkty dosyć węzłowe.

Gdy prowadziłeś zajęcia w 2005 roku, z prozy wokół Zagłady, ich rdzeniem stały się miejsca pamięci. Studenci bardzo chętnie uciekali w te tematy.

Wszyscy chodzimy po prochach. Gdy budujemy Browar, musimy desakralizować cmentarz ewangelicki.

Właśnie przypomniła mi się historia prywatna: znam dwa nieco mistyczne miejsca namysłu, które zatraciły już swój święty charakter. Kirkut na wzgórzu w Ustrzykach Dolnych to istotne dla mnie miejsce, często tam lądowałem, jak przystało na romantycznego młodzieńca, kontemplowałem tam przyrodę. Drugim takim kirkutem, którego zobaczyłem na przełomie 1999 i 2000 roku, był ten w Zwierzyńcu, odkryty podczas wyprawy rowerowej z przyjacielem, przez Roztocze: pole z macewami, obstawione płotkiem, przy nieczynnych torach kolejowych. I nawet bez swastyk.

Sceneria jak z *Poklosia*.

Zresztą w Ustrzykach synagoga z XIX wieku zmieniona została w magazyn zbożowy. Dziś mieści się tam chyba biblioteka.

Jakieś zagrożenia wiążą się z badaniem Zagłady?

Jedno – do czego wracam jak do mantry. Gdy zbyt wiele osób się nią zajmuje, wychodzą straszne rzeczy. Nie chcę, by to zabrzmiało za mocno, ale zauważyłem, że za bardzo się te badania psychoanalizują. Studia Bojarskiej, Krawczyńskiej, Ubertowskiej zmierzają ku psychoanalizie, mnie ten język nie odpowiada. Cenię go w klasycznej Bettelheimowskiej analizie baśni. W przypadku Zagłady wszystkie takie prace wyglądają podobnie – szukają traumy, zaczynają się zlewać.

A to, że nie jesteśmy normalni, osoby zajmujące się Zagładą, to jasne. Niesie niebezpieczeństwo egzystencjalne, niebezpieczeństwo rozchwiań. Usiłujesz mieć hobby, sklepanie modeli (śmiech), a jednak Zagłada to temat obsesyjny.

Byliście niedawno na sesji, podczas której pojawiła się teza: zajmujemy się Holokaustem, gdyż nas fascynuje zło. Nie czuję tego.

Zadawałem sobie wielokrotnie pytanie o przyczynę tej fascynacji. Zajęcia akademickie były dla mnie ważną częścią dopowiadania sobie pewnych sensów. Jestem dzieckiem aktorskim, gdy występuję przed grupą, pewne prawdy się uzewnętrzniają, wychodzą na jaw. Przypomina mi się historia z *Państwa* Platona, cytowałem ją na zajęciach wiele razy. Leontios, idąc wzdłuż murów miejskich pod górę, zobaczył trupy leżące koło domu kata. Więc – pisze Platon – „równocześnie i zobaczył je chciał, i brzydził się, i odwracał, i tak długo walczył z sobą i zasłaniał się, aż go żądza przemogła i wytrzeszczywszy oczy, przybiegł do tych trupów i powiada:

»No, macie teraz, wy moje oczy przeklęte, napaście się tym pięknym widokiem«⁴⁶.
Delectatio morosa.

Ale zdarzają się zmęczenia tematem, momenty ostrych kryzysów. Gdy domknąłem doktorat, zastanawiałem się, czy nie pójść w inną stronę. Tylko jak się czymś długo zajmujesz, to szkoda to porzucać. Angażując się w przedłużanie pamięci zbiorowej na temat ciemnej strony historii, siedząc w tym wąskim gardle, staramy się równocześnie pamiętać o jasnej stronie życia.

Historycy lubują się w obiektywizmach i wypośrodkowaniu wypowiedzi. Ty chyba nie. Więc spytam: co radziłbyś dziś zrobić z budynkiem przy Wronieckiej?

Pewnie dlatego, że właściwie zawsze byłem raczej literaturoznawcą. A odpowiadając na twoje pytanie: ani nie jestem radykalnie przeciw hotelowi, ani za budowaniem pokoju Ireny Sendler, który byłby łatką, by wszystkich uszczęśliwić. Ale rozumiem: gmina ma do utrzymania duży budynek. Hotel może jest ostatnią deską ratunku. Wina, to oczywiście, leży po stronie miasta. Prowadziłem setki rozmów na ten temat. Mistrzostwa Euro, fajnie, służą promocji miasta, ale cholerną murawę wymieniano kilka razy, podczas gdy te pieniądze można by przeznaczyć na przykład na projekty edukacyjne wokół synagogi. W tym kierunku bym zmierzał. Rozumiem gminę. I pytam: gdzie jest miasto? Może nie jest nawet tak, że synagoga należy do niechcianego dziedzictwa miasta. To kultura należy do niechcianego dziedzictwa tego miasta.

Poznań, 27 grudnia 2012

46 Platon, *Państwo*, przeł. W. Witwicki, Ks. IV, 439E-440A.

Wszystko jest iluminacją?

Rozmowa z Łukaszem Baksikiem

Chciałeś kiedyś zrealizować teledysk o życiu Polaka.

Wychodzi z domu do pracy, przechodzi przez podwórko, na którym mieścił się kiedyś cmentarz żydowski, oddaje dziecko do przedszkola, przy którym znajduje się klomb zrobiony z macew, bawią się w piaskownicy z macew, po pracy kąpie się w byłej synagodze, wraca chodnikiem brukowanym z żydowskich płyt nagrobnych, siada w parku przy pergoli z hebrajskimi inskrypcjami. Wszędzie przechodzimy obok nagrobków, macewy są w naszej przestrzeni obecne totalnie.

Jest jakiś element twojej obserwacji świata, jakieś draśnięcie biograficzne, może jeszcze z lat szkolnych, które każe ci się zajmować tematem żydowskiej przeszłości, czy raczej żydowskiej zaniedbanej teraźniejszości?

Józef Kalina z *Pokłosa* musiał mieć jakąś rysę na biografii każącą mu się tym tematem zajmować. Ja zastanawiam się po latach słyszenia pytania: „Dlaczego się tym zajmujesz?”. Być może wzięło się to z tekstów antysemitycznych, które słyszałem w dzieciństwie. Siadając do stołu w nakryciu głowy, możesz usłyszeć, że tylko Żydzi siadają do stołów w czapce. Na Śląsku sprzedając coś, „pchasz to do Żyda”. Już jako dzieciak wyczuwałem pejoratywność takich komentarzy. Zajmować się tym tematem zacząłem później i wtedy zastanawiałem się, jak to jest, że podobne teksty tak gładko przychodzą. Moja ukochana babcia mieszkała pod Jasłem, a później w Jasle, gdzie przeważający procent ludności stanowili Żydzi; zmarła, gdy pisałem maturę. Po latach się zastanawiałem, jaki był jej stosunek do Żydów. Osoby z rodziny nie były w stanie odpowiedzieć mi na to pytanie.

Babcia nam opowiadała o tym, jak uczyła się jeździć na rowerze. I mówiła, że wjechała w kram „Żydka”. Chciałbym wierzyć, że to użycie bez złych intencji.

Ryszard Krynicki pisał po kupnie domu w Nowym Świecie i znalezionym tam kamieniu:

Dopiero kiedy odwróciłem go na drugą stronę, okazało się, że ten ciężki piaskowcowy krąg, wyglądający jak górna część żaren, kamień szlifierski lub studzienna pokrywa, został wycięty ze starej macewy. Z okaleczonej inskrypcji można jedynie domyślać się imienia zmarłej [...]. Nie wiem, co zrobić. W jaki wmurować go mur, skoro po najbliższym w okolicy kirkucie (w miejscowości nazywającej się niegdyś Brodziec [...]), z której zapewne pochodzi, nie pozostał żaden ślad, i nikt mi nawet nie może powiedzieć, gdzie się znajdował? Nie wiem, co wolno mi zrobić, a czego nie wolno. Nie wiem nawet, czy wolno mi być chwilowym strażnikiem nagrobnego kamienia. Nie wiem, kogo zapytać o radę, i nie wiem, czy zdążę.

Towarzyszyło ci kiedyś poczucie podobnej niemocy? Widziałeś przyszkolny cmentarz w Kazimierzu nad Wisłą, katolicki nagrobek zrobiony z żydowskiej macewy, murek dziecięcej piaskownicy w Szczecinie, pergolę w Warszawie, w parku na Olszynie Grochowskiej? Miałeś niejedną okazję, by powtarzać: „Nie wiem”.

Owo „nie wiem” jest dla mnie *clue* problemu. Mnie w tej chwili naprawdę bardziej interesuje zadawanie pytań niż dawanie odpowiedzi. W odpowiedziach na trudne pytania często kryje się uproszczenie. Na początku projektu większość problemów związanych z macewami wydawała mi się znacznie prostsza. Z biegiem czasu pytań pojawiało się jednak coraz więcej, a odpowiedzi coraz mniej.

Do dziś przechowujesz macewę przerobioną na koło szlifierskie.

Pochodzi z Kazimierza nad Wisłą i znalazłem ją na samym początku mojej historii z macewami. Niegdyś trzymałem ją na balkonie, później zaniósłem do piwnicy. To wydaje się proste i oczywiste: wziąć macewę i oddać na cmentarz. Tymczasem przytoczone przez ciebie zdanie Ryszarda Krynickiego świetnie pokazuje, że my w istocie nie wiemy, co z nimi zrobić... Akurat pod Kazimierzem znajduje się piękne lapidarium.

Chciałbyś odtworzyć któryś żydowski cmentarz?

Cały mój projekt był pomyślany jako długotrwały. I rzeczywiście, miałem taki pomysł. Ale moja rola powinna się jednak ograniczać do zwrócenia uwagi na problem. Choć wraz z Towarzystwem Inicjatyw Twórczych Ț udało mi się zwrócić kilka macew i stworzyć małe lapidarium.

Zastanawiając się, dlaczego nadal w Warszawie znajdujemy pergole, murki w parku ponad pięćdziesiąt lat temu zbudowane z macew, dochodzę do wniosku, że ciągle brakuje dwóch elementów: dostępnej wiedzy, że tak właśnie jest, i obudzenia empatii. I raczej to byłoby moim celem: dać wiedzę i wzbudzić empatię.

Pokusileś się kiedyś o interwencje związane z macewami, skrzyknąłeś znajomych, by przenieść je z miejsca „codziennego użytku”? Ile razy zrobiłeś coś więcej niż zdjęcie?

Były takie jednostkowe przypadki. Choć często miałem wrażenie, że powinienem coś więcej zrobić. Joanna Tokarska-Bakir w rozmowie uświadomiła mi kiedyś, że moja rola po prostu może się ograniczyć do zrobienia zdjęcia. A z drugiej strony nie jestem kimś, kto zajął wygodną pozycję i chce teraz budzić sumienie innych ludzi, wielkie „sumienie narodu”.

Doliczyłeś się w przedwojennej Polsce 1200 żydowskich cmentarzy. Ponad czterysta z nich przemieniło się w przestrzenie codziennego użytku (blokowiska, wysypiska śmieci)... Czy odkrywając macewy, stawaleś się jednocześnie – co chyba nieuniknione – archeologiem ludzkich losów, zrekonstruowałeś jakieś żydowskie historie?

Mam z tyłu głowy historię potomka polskiego Żyda, który przyjechał do Polski, szukał macewy i nie mógł jej znaleźć. Słyszałem o kobiecie, która na założonej w 2005 roku przez Krzysztofa Bielawskiego stronie www.kirkuty.xip.pl zobaczyła macewę i dzięki niej odnalazła swoją rodzinę w Izraelu. Ta opowieść była niezwykle inspirująca, bo pokazała, po pierwsze, jaki moja praca może mieć sens, a po drugie, że macewy rzeczywiście powinny wrócić na pierwotne miejsca. Ta kobieta z Danii napisała do Krzyśka Bielawskiego, że zobaczyła nagrobek człowieka zmarłego już po wojnie, ale widnieje na nim imię i nazwisko odpowiadające imieniu i nazwisku jej stryja. Przy tym jej ojciec był pewien, że brat zginął w Holokauście. Przyjechała do Polski, zaczęła szukać w ŻIH-u. Zatem w zwróceniu macew tkwi także tego typu potencjał. Zresztą nie dawniej niż trzy godziny temu rozmawiałem z Kanadyjczykiem, którego dziadek pochodził z Iwanisk. Jest reżyserem, mieszka w Izraelu i przyjechał tu szukać swoich śladów. Ten człowiek szuka macew przodków. Zaangażował się w budowę ogrodzenia cmentarza. Kręci też film o Iwaniskach, o swojej historii.

W książce Wojciecha Wilczyka nie tylko zdjęcia są uderzające; także zapiski rozmów z ludźmi pojawiającymi się w czasie fotografowania. Ty także spotykałeś się z przejawami agresji?

Mam trochę inne doświadczenia niż Wojtek. Owszem, były też mało przyjemne momenty. Moje rozmowy miały inny charakter, bo bardzo często przecież wchodziłem na czyjeś podwórko. Wojtek nie pytał nikogo o zgodę, bo nie musiał. A ja fotografowałem prywatne przedmioty i obiekty. Pytałem o zgodę, nawet gdy to nie było konieczne, bo stała sobie obora i mogłem ją sfotografować. Więc miałem kontakt tak naprawdę w dużej mierze z potomkami sprawców, z ludźmi będącymi bezpośrednimi użytkownikami tych przedmiotów, choć nie spotkałem żadnej osoby, która przerabiałaby macewę na „przedmiot codziennego użytku”. Wojtek spotykał przypadkowych świadków.

Częściej mówisz o rzeczach pozytywnych niż negatywnych.

Choć pewnie było ich tyle samo. Czasem chyba próbuję odczarować to, co się stało. Pamiętam sytuację, gdy wróciłem do jednego gospodarstwa, żeby ponownie sfotografować budynek. Gdy fotografowałem go po raz pierwszy, musiałem długo przekonywać gospodarzy. Kobieta powiedziała mi wtedy, że mam szczęście, bo gdyby był jej zięć, toby mi na pewno nie pozwolił. Przyjechałem dwa lata później. Musiałem powtórzyć zdjęcie, bo wszystkie zdjęcia chciałem utrzymać w podobnej konwencji, a tam akurat nie mogłem trafić na pochmurną pogodę. Zwykle czekałem na chmurę, fotografowałem o świcie albo przy zmierzchu, czego nie lubię, bo światło bardzo szybko się wtedy zmienia. O czwartej rano zacząłem rozstawiać sprzęt. Gdy zrobiło się odpowiednio jasno, o wpół do piątej pojawił się mężczyzna i od razu po jego reakcji wiedziałem, że to ten, przed którym próbowała mnie uchronić jego teściowa. Może podświadomie wybrałem świt, a nie wieczór, bo prawdopodobieństwo spotkania go było jednak mniejsze. Groził mi policją, później przemocą. Ostatecznie powiedziałem mu, co robię i po co, a on zgodził się na powtórzenie zdjęć.

Zdarzyło się, że wróciłeś po latach, a ktoś usunął macewę z pola codzienności, zwrócił ją, bo wywołałeś w nim wstyd lub empatię?

Nie. Ale w Inowrocławiu zostały wydobyte macewy – plac Obrońców Inowrocławia był nimi wcześniej wybrukowany, krawężniki z nich wykonane. W przypadku osób prywatnych raczej mi się to nie zdarzyło. Ale czuję, że jest przestrzeń do działań, by jechać, porozmawiać, pomóc ludziom sobie z tym poradzić. I pomóc w powrocie macew. Gdy wróciłem do Mogielnicy, także tam ich już nie było.

W Pszczynie, z której pochodzę, student sprząta cmentarz żydowski (zaczął jeszcze jako licealista), kosi trawę. Gdzie indziej ktoś wy dobył macewy ze strumyka.

Z podwórka w Zatorze właściciel wywiózł wiele macew, które w jego gospodarstwie wykładały podłogę obory. Żle się czuli, wiedząc o zaniedbanym cmentarzu czy kradzieży z niego i wtórnego wykorzystania nagrobków.

Które z tych miejsc są dla ciebie szczególnie dotkliwe?

Każde, które widziałem. Na pewno szczególnie pamiętam mur cmentarza katolickiego w Boćkach zbudowanego w trakcie wojny, częściowo z macew. To dla mnie przerażająca figura.

Często jednak starano się ukryć pochodzenie kamienia i macewy kładziono inskrypcjami do ziemi. Były skuwane. A na przykład w Parysowie są na zewnątrz obory. To też przerażający przypadek. Jestem niewierzący, więc metafizyka nie powinna mnie interesować; a jednak dostrzegam coś dramatycznie przewrotnego w tym, że litery hebrajskie stara się przerabiać na znaki graficzne, między nimi wstawia litery łacińskie i stawia na kamieniu krzyż.

W Topczewie znajduje się taki właśnie nagrobek: macewa z doklejonym krzyżem. Staralem się nawet myśleć, że może kryje się za tym jakaś historia. Na przykład, wyobraźmy sobie: młody Żyd, który zerwał ze swoją tradycją, umiera w trakcie wojny. A gdy umarł, rodzice postawili mu macewę. Lecz jego żona, która wiedziała o jego woli, przeniosła ją na cmentarz chrześcijański.

Kolorowe bajania. Widziałam, że spod napisu „ŚP Kazimierz Szutkowski, lat 23, prosi o Zdrowaś Maria. To pamiętka, od żony 1944” wyziera napis hebrajski: „Tu jest pochowana pani Chaja”...

Czy poznańską synagogę także można nazwać „macewą” codziennego użytku?

Nie budzi to mojego oporu, bo jest elementem tego samego zjawiska. W tabu tych macew tkwi potencjał, by mówiąc o nich, pokazać, że to przerażające zjawisko jest mocno obecne. Bezczeszczenie cmentarza chyba narusza większą świętość. I mówię to jako osoba niewierząca.

Kulturą żydowską i historią Żydów w Polsce zainteresowałeś się poprzez muzykę, po wysłuchaniu *Masady* Zorna. Mieszkałeś wówczas w Krakowie przy Szerokiej. Jak się potknąłeś o pierwszą macewę?

W Kazimierzu Dolnym na jednej z wycieczek, na które swego czasu jeździłem z żoną i z dwójką przyjaciół. Jechaliśmy z Krakowa do Lublina śladami cmentarzy i synagog. W Kazimierzu pod synagogą spotkaliśmy człowieka, który sprzedawał różne pamiętki, wśród nich menory. Zaczęliśmy rozmowę, on spytał, czy wiemy, że macewy były tutaj w okolicy używane jako kamień przy studni, na którym stawia się wiadro z wodą. Nie wiedzieliśmy, choć powinniśmy. Musiało to być tak niewiarygodne, że kiedy o tym wcześniej czytałem,

nie docierało do mojej świadomości. Ten człowiek pokazał nam macewę przerobioną na żarno. A jeszcze kilka godzin później wyjeżdżaliśmy z miasta i zobaczyliśmy na zakręcie długiej prostej drogi ogromne gospodarstwo. Podeszliśmy do studni. Kamień okazał się zwykłą płytą chodnikową. Ale kilka metrów dalej, na skraju gospodarstwa zobaczyliśmy koło szlifierskie wykonane z macewy. To tę macewę trzymałem na balkonie, a teraz mam w piwnicy.

„Cisza nie jest ciszą, białe nie jest białe, [...] a czego nie zauważamy, tego nie ma – dla nas” – napisał Georg Christoph Lichtenberg⁴⁷. Co tracimy, nie zauważając macew i synagog codziennego użytku?

Tego elementu kultury właściwie w Polsce nie ma i pustka krzyczy. Ja się na nią nie godzę. Wiele osób odpycha ten temat i nie zastanawia się, jakie ma on znaczenie. Homogeniczne jest niefajne, naturalna jest dla mnie wielokulturowość, bo uczy szacunku. Gdy nie ma żadnej mniejszości, robi się nienaturalnie. Więc można powiedzieć, że moja wystawa i książka powstały z nostalgii za wielokulturową ojczyzną. To wielkie słowo, które niewiele dla mnie znaczy.

Nie lubię uniwersalizować żydowskiego tematu, ale stosunek do tej mniejszości przekłada się na stosunek do każdej innej.

„Gdy zobaczyłem to pierwsze żarno wykonane z macewy, doznałem iluminacji” – tak napisałeś w tekście do książki poświęconej tożsamości Polaków, redagowanej przez Joannę Tokarską-Bakir. Jesteś trochę jak bohater powieści Jonathana Safrana Foera *Wszystko jest iluminacją*, amerykański Żyd jadący do byłego ukraińskiego sztetlu, Trachimbrodu, by odnaleźć kobietę, która podczas wojny ocalała jego dziadka. Nie poszukuje przy tym własnej żydowskiej przeszłości, lecz znajduje właśnie osobistą żydowską przeszłość i wraz z nią tożsamość. Ty rzucasz nowe światło na przedmioty, eksponujesz te żydowskie detale. Czy wszystko jest iluminacją?

Trudno mi powiedzieć, czy wszystko nią jest, ale niewątpliwie, zamykając oczy na pewne problemy, a może na problemy w ogóle, zabieramy sobie możliwość doznania iluminacji. I już chociażby z tego powodu nie warto tego robić.

Warszawa, 14 maja 2013

Blau.

Rozmowa z Tomaszem Pietrasiewiczem

Kiedy w latach 90. ubiegłego wieku rozpocznaleś pracę w Bramie Grodzkiej w Lublinie, nie zdawałeś sobie sprawy z tego, że w miejscu trawników i betonowego parkingu przed wojną tętniła życiem dzielnica żydowska.

Jak większość mieszkańców Lublina rzeczywiście nic nie wiedziałem o mieszkających tu Żydach. Kiedy ktoś mi o nich powiedział, zadałem sobie zupełnie zasadnicze pytanie: jak to możliwe, że ja, dorosły już przecież mieszkaniec miasta, nic o tym nie wiem? Próba znalezienia odpowiedzi zmieniła całe moje życie. Być może to właśnie moja prywatna motywacja do działania w Bramie.

Zdawałoby się z zewnątrz, że w Lublinie pamięć o pejzażu żydowskim jest pielęgnowana i potrzebna. Tymczasem sam doświadczyłeś niszczycielskich, podszytych antysemityzmem gestów.

To, co się dzieje teraz, pokazuje, że wielu ludzi chciałoby zapomnieć, że w tym mieście żyli kiedyś Żydzi i że ich zamordowano. Ja tego nie potrafię.

Widziałeś poznańską synagogę-pływalnię?

Tylko na fotografiach.

Czy któreś z miejsc Lublina wskazałbyś jako *pendant* dla tego budynku?

Moim prywatnym najbardziej dramatycznym lubelskim „pomnikiem” Holokautu jest ślad na ścianie w betonowym bunkrze, komorze gazowej na Majdanku. Właśnie w tym miejscu gazowano przywożonych Żydów. Ściana w komorze gazowej ma bardzo charakterystyczne niebiesko-fioletowe naloty. Powstały one w wyniku reakcji tlenku węgla oraz uśmiercającego więźniów cyjanowodoru z zawartymi w tynku substancjami. Po zamknięciu drzwi z górnych otworów w suficie bunkra sypano niebieskie grudki gazu, cyklonu B (blaugazu).

Ten urzekająco piękny niebiesko-fioletowy kolor jest najbardziej znaczącym śladem pozostawionym przez Zagładę w Lublinie. Ekspertyza komór gazowych przeprowadzona 26 maja 1961 roku przez Katedrę Chemii i Technologii Materiałów Budowlanych Politechniki Warszawskiej, mająca na celu ustalenie przyczyn korozji murów oraz opracowanie sposobów ich zabezpieczenia, wykazała, „że granatowe naloty na wewnętrznych i zewnętrznych ścianach komór stanowią żelaziste składniki zaprawy (żelazobeton). Reakcji tej sprzyjała obecność w atmosferze tlenu węgla, mającego w tym wypadku cechy redukujące. Świadczy to o używaniu w tej komorze cyklonu B”⁴⁸.

Gdyby twojemu teatrowi zaproponowano odpominanie przestrzeni poznańskiej synagogi – zgodziłbyś się? Jesteś przecież twórcą takich misteriów pamięci, jak *Jedna Ziemia – Dwie Świątynie*, *Dzień Pięciu Modlitw*, *Misterium Druku i Papieru*, *Misterium Ulicy Szerokiej*, *Misterium Pamięć Światła – Pamięć Sprawiedliwych*. Czy przygotowałbyś *Misterium Ulicy Wronieckiej*?

Twoje pytanie uświadomiło mi, że to, co robię, ma bardzo konkretny kontekst, związany z miejscem, w którym żyję. Moje Misteria Pamięci mają charakter lokalny – odnoszą się do Lublina i są formą pamiętania o tych, którzy tu właśnie zginęli. Widzę teraz wyraźnie, że to nie są działania uniwersalne, odnoszące się do całej Zagłady i do każdego miejsca. Dlatego nie zdecydowałbym się na zrealizowanie projektu w innym miejscu. Rozumiesz mnie, prawda?

Jak wygląda laboratorium twojego zespołu?

Dojście do ostatecznego scenariusza większości działań Ośrodka jest zawsze bardziej procesem niż ołsnieniem. Charakter wielu z nich można tłumaczyć tym, że przez wiele lat byłem związany z teatrem. On ukształtował moją wyobraźnię, stąd teatralizowanie tych działań, tworzenie pewnego rodzaju symboliczno-emocjonalnych ram, w których one się dzieją.

W marcu 2001 roku, w kolejną rocznicę początku likwidacji lubelskiego getta, z Bramy Grodzkiej w ramach akcji *Listy do getta* wysłano listy na nieistniejące już adresy przedwojennych żydowskich mieszkańców. Przesyłki wracały z adnotacjami o adresacie nieznanym bądź nieistniejącym adresie, co miało pozwolić nadawcom doświadczyć pustki, skonfrontować się z pustką powstałą po żydowskim mieście. Brama przypomniiała też inną historię z Majdanka, związaną z Elżunią. W czasie sortowania obozowego obuwia znaleziono w dziecięcym buciku kartkę z wierszem: „Była sobie raz Elżunia / Umierała sama /

48 „Zeszyty Majdanka” XX, s. 37.

Bo jej tatuś na Majdanku / W Oświęcimiu mama”. Dziewczynka napisała, że ma dziewięć lat i śpiewa tę piosenkę na melodię *Z popielnika na Wojtusia iskiereczka mruga*. 16 września 2000 roku zorganizowałaś *Jedną Ziemię – Dwie Świątynie*. Dla pustej przestrzeni, powstałej podczas II wojny po Wielkiej Synagodze, znalazłaś analogon w chrześcijańskiej przestrzeni miasta – w pustym miejscu po kościele św. Michała. Podczas misterium przenoszono do Bramy Grodzkiej ziemię z miejsc po obu świątyniach. Która z akcji animatorskich przeprowadzonych przez Bramę jest dla ciebie najważniejsza?

Bez wątplenia wciąż najważniejszym działaniem, jakie przeprowadziłem, jest Misterium Pamięci *Jedna Ziemia – Dwie Świątynie*. Jego scenariusz miał swoje źródło w fundamentalnym pytaniu o to, w jaki sposób na ziemi, na której wymordowano miliony Żydów, możemy na nowo zacząć odbudowywać relacje polsko-żydowskie i co może stać się dla nich punktem oparcia. Nadzieję na tworzenie nowych relacji dawało odwołanie się do historii ratowania w czasie wojny Żydów przez Polaków. Pokazywały one, że w czasie Zagłady byli też ci, którzy potrafili okazać solidarność z mordowanymi Żydami, udzielając im pomocy. Scenariusz misterium w sposób bezpośredni odniósł się do tych historii, a jego zasadniczym elementem było spotkanie Ocalonych i Sprawiedliwych. Do tej idei doskonale pasowała Brama Grodzka – jako symboliczne miejsce spotkania miasta żydowskiego z miastem chrześcijańskim. Misterium *Jedna Ziemia – Dwie Świątynie* było pierwszym moim działaniem przeprowadzonym w pustej przestrzeni po mieście żydowskim. Praca przy tym projekcie pomogła mi wykształcić mój własny sposób mówienia o Zagładzie.

Brama uważana jest za swoiste archiwum historii, prowadzicie przecież szereg działań związanych z historią mówioną. Czy zwracają się do was ludzie, np. prosząc o dobudowanie opowieści o losie kogoś z rodziny?

Wielokrotnie zdarzało się, że różne osoby zwracały się do Ośrodka z prośbą o pomoc przy prowadzonych przez siebie działaniach odnoszących się do pamięci o żydowskich mieszkańcach ich miejscowości. Brama była dla nich pewnego rodzaju wzorem i punktem odniesienia.

Lublin, styczeń 2015

Tam nie było żadnej synagogi

Niedawno wpadło mi w ręce zdjęcie dyplomu honorowego dla generała Józefa Hallera. Dyplom w „uznaniu i wdzięczności” – „za pełną poświęcenia uczciwą służbę Ojczyźnie i obronę Jej przed zalewem żydowskim” – wystawiła Antyżydowska Liga Obrony Wiary i Ojczyzny. Blankiet ozdabiają swastyki, pojawiające się także na pieczęci Ligi⁴⁹. Jesteśmy w Poznaniu, jest rok 1925.

Założycielem Ligi był działacz narodowo-katolicki Mieczysław Noskowicz, autor wydanej w roku 1916 w Poznaniu książki *Najświętsze trzy Hostie*. Podjął w niej wątek domniemanego „cudu eucharystycznego z czasów Władysława Jagiełły”. Publikując tę książkę, Noskowicz wracał do tematu, który miał w miesiącu imponujące antecedeny. Jednym z pierwszych śladów były polskie glosy na marginesie łacińskiego kazania Michała z Janowca, *Exemplum de una muliere, que Corporis Christi Judaeis vendidit et hoc factum est Posnaniae* (1491). Idzie to tak (wyrazy rozstrzelone to polskie słowa w tekście łacińskim):

Egzemplum o pewnej kobiecie, która Ciało Pańskie Żydom sprzedała i to miało miejsce w Poznaniu u czarnych mnichów. Otrzymujący czcigodny sakrament od owej kobiety, poszli do jednej piwnicy, tam go ukrzyżowali i nożem kłó [!] i tak iż krew Chrystusa z owej hostii konsekrowanej strzykała. Potem ją tamże wynieśli na jedno błonie i tamże

49 M. Agnosiewicz, *Aryjskie chrześcijaństwo i swastyka gen. Hallera*, <http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8700> (data dostępu: 20 VIII 2014).

została znaleziona przez pewnego pasterza. Tamże wybudowali kościół Bożego Ciała i owa konsekrowana hostia k r w a w i prawie cała⁵⁰.

Dwieście lat później scenę świętokradczego zamachu zlokalizowano w kamienicy przy ulicy Żydowskiej. W piwnicy tego domu miała się znajdować studnia, w której złoczyńcy, prerażeni stawianym przez hostie oporem, postanowili je utopić. Poświęcona legendzie pobożna broszura z 1609 roku kończy się supliką:

Ty Boże! iakżeć taką krzywdę nądrodziemy
Twoię, gdy ciężką Mękę w Poznaniu widzimy?
Ty Boże, iakoś sam iest ząwsze sprąwiedliwy,
Ty wyniszcz aż do szczętu ten národ złośliwy⁵¹.

Publikując swoją książkę o hostiach w roku 1916, Noskowicz, wzorem poprzedników, nawiązywał do bieżącej polityki: „Mimo tak wielkiego dobrodziejstwa w Polsce im wyświadczonego żydzi, nie licząc się z żadnymi względami, ani nawet poczuciem wdzięczności, do jakiej, bądź co bądź, winni byli się poczuwać wobec Polaków, na największą ich świętość, na Najświętszy Sakrament, wedle poniższej historii ściągnęli zbrodnicze swe ręce”.

Słowa te są refleksem atmosfery Poznania pierwszej połowy XX wieku. Opowiada o niej jeden z rozmówców Joanny Roszak, Bronisław Bergman, który zamieszkiwał przy ulicy Żydowskiej 32, dwa numery przed kościołem Najświętszej Krwi, wzniesionym w miejscu domniemanej profanacji. „Antysemityzm w Poznaniu był obłędem. Nie było dnia, by mnie nie obrażano. »Parszywy Żydu, skurwysynu, hej Żydzie, hamanie, weź dydy na ramię, do Palestyny«. Co tydzień musiałem płacić pięć groszy »Orłowi«, królowi ulicy Żydowskiej, za protekcję. [...]

50 XV-wieczny rękopis w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu, za: E. Belcarzowa, *Głosy polskie w łacińskich kazaniach średniowiecznych*, cz. 1, Wrocław 1981, s. 60. W oryginale: »[Żydzi nabytą od kobiety hostię] crucifixerunt et cultello kłoli, ita sanguis de illa hostia consecrata strzykala, post eam ibi deportaverunt na yedno blonye et ibi est inventa per unum pastorem”.

51 Losy i strukturę tych tekstów omawiam szczegółowo w mojej książce *Legenda o krwi. Antropologia przesądu*, Warszawa 2008, s. 302–318.

Jak przyszedł odpowiedni czas, chciałem wstąpić do harcerzy. Powiedziano mi, że tylko polskie dzieci mogą być harcerzami”. Zupełnie jak profesorowi Jedlickiemu w Warszawie w roku 1943⁵². Inny poznański profesor, Zygmunt Bauman, nawet nie próbował zostać harcerzem. Został komunistą. Tym, którzy przerywają dziś jego wykłady i protestują przeciwko nadaniu mu tytułów honorowych⁵³, wciąż trudno powiązać ze sobą te dwa fakty. Wszystko można sprawdzić w archiwach, w czasopiśmie „Pod Pręgierz” i „Pająk”.

Prace magisterskie poświęcone działalności i skutkom obu wymienionych pism stanowiłyby naturalne przedłużenie książki Joanny Roszak. Czy powstaną? Wątpię, w Poznaniu szerzy się lęk przed *delectatio morosa*. Cała nadzieja w *fascinans*. „Tak dobrze czułem się, mieszkając w Auschwitz” – mówi jeden z rozmowców Joanny Roszak, jak echo po Imre Kertész.

Jaka atmosfera panuje w dzisiejszym Poznaniu? Bronisław Bergman nie może się jej nachwalić. Może z wyjątkiem wystroju kościoła Najświętszej Krwi, gdzie wciąż można zobaczyć figury Żydów topiących hostię. Świątokradztwo, scena po scenie, można sobie też oglądać na freskach podczas nabożeństw⁵⁴. „[...] bez odniesienia do Żydów, którzy zagrażają społeczeństwu, owo społeczeństwo by się rozpadło”⁵⁵.

Aby czas jej nie zaćmił i niepamięć, książkę Noskowicza wznowiło niedawno poznańskie wydawnictwo Wers (ze wsparciem wydawnictwa Sursum Corda). Wznowienie powtórzyło sukces pierwodruku: wkrótce pojawił się dodruk wydawnictwa Rosemaria (ze wsparciem wydawnictwa Antyk)⁵⁶. Przy reklamie książki w Internecie widnieje ważne dla katolików zastrzeżenie: „Konsystorz Arcybiskupi Poznański w piśmie wystosowanym w dniu 6 czerwca 1916 r. do autora stwierdził,

52 http://wyborcza.pl/magazyn/1,132516,13847322,Bylo__jak_bylo.html (data dostępu: 21 VIII 2014).

53 http://wyborcza.pl/1,75478,14456900,Bauman_rezygnuje_z_doktoratu_wroclawskiej_uczelnii.html; http://wyborcza.pl/1,75248,14149856,Antyterrorysty_na_wykladzie_prof_Baumana_we_Wroclawiu_.html#TRrelSST (data dostępu: 21 VIII 2014).

54 Można je tam obejrzeć do dziś, v. <http://www.youtube.com/watch?v=T8TCX29o6-k#at=203,V:> <http://gazetawarszawska.com/2012/02/16/najswietsze-trzy-hostie-2/> (data dostępu: 21 VIII 2014).

55 S. Žižek, *Wniosły obiekt ideologii*, przeł. J. Bator i P. Dybel, Wrocław 2001, s. 209.

56 Za: <http://ksiazkiprzyherbacie.otwarte24.pl/3788,Trzy-Najswietsze-Hostie-Niezwykla-historia-cudu-eucharystycznego-w-Poznaniu> (data dostępu: 21 VIII 2014).

że książka *Najświętsze trzy Hostie* nie zawiera w sobie nic przeciwnego wierze świętej i dobrym obyczajom⁵⁷.

Promocja reprintu też odbyła się w kościele. „Jestem wniebowzięty, że tyle ludzi przyszło – mówił proboszcz parafii Bożego Ciała ks. Wojciech Maćkowiak. Promocję poprzedzono w piątek mszą świętą. Kościół był pełen, a salka katechetyczna nie zmieściła wszystkich chętnych⁵⁸. Nie tak dawno w kościele Najświętszej Krwi Pana Jezusa przy ulicy Żydowskiej zdarzył się jeszcze inny cud. „»Odszukano studnię, w której niewierni Żydzi zatopili Przenajświętsze Hostie, i napełniono wodą ku radości miasta, a zwłaszcza chorych, którzy pijąc ową wodę, poczęli powracać do zdrowia z wielu słabości«⁵⁹. Studnię udostępnia się w każdą Wielką Sobotę przed Wielkanocą. Antysemityzm jest dobry dla Polaków.

Czy nie dlatego mężczyzna wdzierający się na scenę akcji Rafała Jakubowicza wykrzykuje, że „nigdy tu nie było żadnej synagogi i nigdy nie będzie”⁶⁰? Osobnik, który wypowiada te słowa, jest pijany, on także nie wie, że cytuje.

Książka Joanny Roszak jest pełna takich nieoczekiwanych eksklamacji, niewinnych i perfidnych, kiczowatych i ustawiających się w kontrze do kiczu. Gromadzi różne gatunki mowy: poetycką, filozoficzną, pokutną, cyniczną, dyplomatyczną, realistyczną. Najlepiej sprawdza się ta ostatnia: „Gmina ma do utrzymania duży budynek. Hotel może być ostatnią deską ratunku”.

Książka dotyczy wrzodu pamięci, którym jest synagoga–pływalnia. Piszę „wrzód” zamiast „rana”, bo rana zakładałaby traumę. A tu nie ma żadnej traumy. Jeśli ktoś się na coś uskarża, to tylko wydelegowani przez większość „filosemici”, z powodu swojego „filosemityzmu” nękanii zresztą wyrzutami sumienia. W razie czego będzie się można na nich z dumą powołać.

57 „Za pozwoleniem Władzy Duchownej Poznań, 4 maja 1926, L.dz. 3963/26”; v.: <http://ksiazkiprzyherbacie.otwarte24.pl/3788;Trzy-Najswietsze-Hostie-Niezwykla-historia-cudu-eucharystycznego-w-Poznaniu> (data dostępu: 21 VIII 2014).

58 V. Szostak, *Promocja antysemickiej książki w poznańskim kościele*, http://wyborcza.pl/1,76842,11131533,Promocja_antysemickiej_ksiazki_w_poznanskim_kosciele.html

59 <http://wyborcza.pl/1,76842,5060855.html> (data dostępu: 21 VIII 2014).

60 Cf.: Rozmowa z R. Jakubowiczem. Chodzi o Hannę Krall, oczywiście, *Tam już nie ma żadnej rzeki*.

Fantastycznie, że Roszak zanotowała te opinie. Dzięki nim fizycznie widać upływ czasu. Niektóre wypowiedzi, jeszcze parę lat temu konkluzywne, dziś już takie nie są. „Nie rozumiem mojego narodu – pisała Izabela Filipiak w roku 1997 – [...] to nie jest nędza, nędzą można wytłumaczyć rozbijanie posągów, żeby zrobić z nich drogę, kocie łby, droga bywa dla wielu sprawą życia, przetrwania, ale tutaj to jest sprawa luksusu, miejskiej łaźni [...]. Mówię, że napelnia mnie grozą, że ludzie, którzy niegdyś tam się modlili, również poszli do łaźni”. Czy dziś, przeczytawszy rozmowę z Łukaszem Baksikiem, pisarka powtórzyłaby te słowa? „Rozbite posągi” brzmią dużo lepiej niż „macewy”, ale tylko macewy są wciąż Polsce w codziennym użytku.

Z recenzji prof. Bogusława Bakuły

Świetny pomysł i aż należy żałować, że dopiero teraz ktoś w Poznaniu zdecydował się porozmawiać ze świadkami, odnoszącymi się do istnienia żydowskiej społeczności tego miasta, jej kultury i pamięci, oraz ze świadkami świadectw, artystami, dziennikarzami, badaczami Holokaustu. W książce Joanny Roszak są dwa zasadnicze pola, które się stykają poprzez dzisiejsze realne nieistnienie żydowskiej wspólnoty i pamięć o niej. To historia żydowskiej Nowej Synagogi, zamienionej przez hitlerowców w pływalnię, wokół której trwają dzisiejsze artystyczne i społeczne zabiegi o ochronę tego miejsca. Drugi wątek uwypukla przedwojenne życie poznańskiej żydowskiej społeczności, jej relacje z Polakami i Niemcami, losy wojenne, jak również powojenne ocalałych świadków, ich dalsze losy w Stanach Zjednoczonych, w Izraelu, w Niemczech.





foto. Magdalena Maciej

Joanna Roszak urodziła się w 1981 w Poznaniu, gdzie dotąd mieszka. Pracuje jako adiunkt w Instytucie Slawistyki PAN. Autorka książek *Południk spotkania. Paul Celan w polskiej poezji powojennej*, *W cztery strony naraz. Portrety Tymoteusza Karpowicza*, *Synteza mowy Tymoteusza Karpowicza i Miejsce i imię. Poeci żydowscy języka niemieckiego*. Współredaktorka m.in. tomów na temat Ingeborg Bachmann, poezji Paula Celana, literackiego Poznania, Fernanda Pessoa, Piotra Matywieckiego i Marcina Świetlickiego. Poetka (*Tintimabuli, Lele, wewe, ladino*).

